



➤ **ŻYCIE**

✂  
NA

Marek Rabij

**MIARĘ**

W  
ab  
two

— **Odzieżowe niewolnictwo**

Marek Rabij

## **Życie na miarę**

Odzieżowe niewolnictwo



Copyright © by Marek Rabij, MMXVI

Wydanie I

Warszawa MMXVI

# Spis treści

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[\\*\\*\\*](#)

[Sorry, Shahina](#)

[Biedni szczęśliwi ludzie](#)

[Odyseja T-shirtu](#)

[Nie będziemy umierać za Mirpur](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Moim synom: Tymonowi i Ignacemu

*Często – gdy byłem już daleko – myślałem o tych dwóch kobietach, odźwiernych u wrót Ciemności, robiących na drutach jakby ciepły całun z czarnej wełny; wspominałem, jak jedna z nich wprowadza, wprowadza bez końca w nieznane, a druga bada obojętnie starymi oczami wesołe i głupie twarze.*

Joseph Conrad, *Jądro ciemności*, przeł. Aniela Zagórska

\*\*\*

Nie wiem, po co naprawdę przyjechałeś do Bangladeszu. Jeśli z dobrymi intencjami, zaklinam cię, wysłuchaj mnie.

Nie chcemy litości. Współczucie pomaga głównie współczującemu.

Nie prosimy też o jałmużnę, dopóki jeszcze potrafimy zarobić na kolację. Naprawdę potrzebujemy jedynie waszej uwagi. Nie chcę nawet myśleć, że zdajecie sobie sprawę z tego, jak tu się żyje, albo uważacie, że pogodziliśmy się już ze swoim losem. Musielibyście być naprawdę złymi ludźmi, aby tak sądzić.

Proszę cię więc, skoro już znalazłeś się tutaj, po prostu opisz wiernie, co widzisz i słyszysz. Nie współczuj, nie płacz, nie szukaj na siłę biedy i niesprawiedliwości. Wystarczy ci tej, którą spotkasz tu na każdym kroku.



Ziaul, emerytowany wojskowy, lat 84  
Dhaka, Mirpur, 4 kwietnia 2014





# Sorry, Shahina

Bóg pogrzebał Shahinę 24 kwietnia 2013 roku zaraz po śniadaniu. Gdy kilka godzin później odzyskała przytomność, połowa jej ciała spoczywała zmiażdżona pod monsturalnym żelbetowym zakalciem, w jaki zmieniła się Rana Plaza, ośmiopiętrowy budynek w Savarze koło Dhaki mieszczący pięć fabryk odzieżowych. Druga, wystająca z gruzów połówka Shahiny wyła z bólu, chwilami zagłuszając nawet warkot agregatów prądotwórczych ściągniętych przez ratowników na rumowisko. Bogu widocznie musiało się zrobić głupio, bo ponownie zesłał dziewczynie głęboki sen.

Umarła pięć dni później, w tej samej klaustrofobicznej szczelinie utworzonej przez zaklinowane kawałki stropu, z której na powierzchnię dobiegł jej pierwszy krzyk. Ratownicy przez cały ten czas nie odstępowali jej na krok, podawali tlen i wodę, przynosili z domu *khićuri*, miejscową potrawę z ryżu i soczewicy, bo ciągle miała na nią ochotę, i odganiaли międzynarodową zgraję dziennikarzy, którzy widoczną na powierzchni połówkę Shahiny pragnęli koniecznie uczynić gwiazdą najbliższych wiadomości.

Dziewczyna nie chciała widzieć nikogo poza lekarzami i garstką ludzi z ekipy ratowniczej. Gdy ból zmiażdżonych kończyn na chwilę przestał mącić jej myśli, zdołała im przekazać, że pochodzi z miejscowości Kushtia w pobliżu granicy indyjskiej i że zostawiła tam półtorarocznego synka, którego nie miała za co utrzymać. Na wypadek, gdyby Bóg jednak nie zechciał uwolnić jej spod gruzów Rana Plaza, Shahina poprosiła, by oddać dziecko do adopcji jakimś porządnym ludziom.



Rana Plaza, początek maja 2013 roku. W miejscu katastrofy codziennie zbierają się krewni pracowników, których nadal nie odnaleziono w ruinach.

Bóg nie zechciał. Najpierw uniemożliwił użycie ciężkiego sprzętu, ukrywając w gruzowisku dziesiątki nadal żyjących ludzi. Gdy zdesperowani ratownicy spróbowali w końcu piłami ręcznymi porozcinać stalowe pręty konstrukcyjne, sprawił, że iskry zapaliły rumowisko pełne tkanin, papieru, plastiku, gumy oraz łatwopalnych chemikaliów używanych przy produkcji odzieży. Zagłębienie, w którym utknęła Shahina, błyskawicznie wypełnił gryzący dym. Strażacy desperacko rzucili się w ogień, by ratować dziewczynę; czterech z nich trafiło do szpitala z poważnymi poparzeniami. W końcu zdołali zdusić płomień. Niestety, w swojej żelbetowej dziupli przestała odpowiadać na nawoływania także Shahina.

Na zdjęciu jednej z agencji prasowych z 29 kwietnia 2013 roku ratownicy wynoszą z gruzowiska zwłoki dziewczyny owinięte w czerwoną tkaninę.

Jeden z mężczyzn wtula twarz w ramiona zmarłej. Kilku innym w świetle reflektorów lśnią na policzkach łzy.

„Sorry, Shahina” – zatytułował notkę o tragedii w Savarze jeden z brytyjskich tabloidów.

\*\*\*

Kilkanaście dni później wylądowałem z fotografem Filipem Ćwikiem w Dhace, stolicy Bangladeszu, dokąd wysłała nas macierzysta redakcja. Po największej katastrofie w dziejach przemysłu odzieżowego, która oficjalnie kosztowała życie blisko 1,2 tysiąca osób, w polskim „Newsweeku” postanowiliśmy się dowiedzieć, czy podobny los nie spotkał – lub czy nie spotka w przyszłości – także ludzi szyjących ubrania dla polskich firm odzieżowych.

Bangladeska tragedia wstrząsnęła nie tylko nami. Katastrofy budowlane zdarzają się wprawdzie w każdej szerokości geograficznej, ale nieczęsto zbierają tak krwawe żniwo jak ta w Bangladeszu. Jeszcze rzadziej właściciel budynku na wieść o wypadku natychmiast próbuje czmychnąć za granicę, wiedząc z góry, co inspektorzy wykopią w dokumentach i w ruinach. Rana Plaza, zaprojektowana jako biurowiec, bez stosownych zezwoleń stała się siedzibą pięciu fabryk odzieżowych. Piętra, na których pierwotnie miały stać tylko biurka z komputerami, zawałono setkami ciężkich maszyn do kroju i szycia. Cztery górne kondygnacje – jak powtarzał w kolejnych wywiadach wstrząśnięty Ali Ahmed Khan, komendant główny straży pożarnej w Bangladeszu – dobudowano bez pozwolenia, a na ostatniej strop obciążały dodatkowo wielkie agregaty prądotwórcze i klimatyzatory.

Wkrótce po przebudowie na ścianach pojawiły się pęknięcia, niektóre głębokie na pół dłoni. Na kilka dni przed katastrofą budynek drżał już jak chory na febrę, z sufitów co chwila spadały kawałki tynku. Na parterze w popłochu zamknięto oddział banku i kilka biur, ale o ewakuacji fabryk na wyższych kondygnacjach właściciele nie chcieli słyszeć.

Zaniepokojony personel próbował strajkować. Feralnego poranka setki pracowników zgromadziły się przed budynkiem i odmówiły wejścia do środka. Nadzorcy jednak szybko złamali opór, zapowiedziawszy, że kto nie zacznie pracy na czas, straci dniówkę, a być może i posadę. Zmiana zaczynała się o ósmej. Tuż potem zabrakło prądu, na najwyższym piętrze z

warkotem obudziły się spalinowe generatory prądotwórcze i budynek rozkołysał się jeszcze bardziej.

Okolo 8.57 nastąpiło nieuniknione.



Rahina Sarkar pod szpitalem w Savarze, do którego przewożono ofiary

katastrofy Rana Plaza. Rahina miała szczęście. Na oddział trafiła tylko ze zwichniętą nogą i pękniętymi żebrami.

Tamtego poranka Rahina Sarkar zasnęła do pracy. Na śniadanie zabrakło już czasu, do termosu wrzuciła więc resztki wczorajszego dania z soczewicy i ze ściśniętym sercem pobiegła w stronę Rana Plaza.

– Z każdym dniem coraz bardziej bałyśmy się tego przeklętego budynku. Wychodząc rano do pracy, zastanawiałam się, czy najbliższy wieczór spędzę w domu, czy w szpitalu – relacjonowała kilkanaście dni po katastrofie, otoczona gęstym tłumem gapiów tkwiących nadal w miejscu, gdzie jeszcze niedawno było wejście do Rana Plaza. – Jeśli się przyłożyło rękę do ściany, czuć było, jak gmach się napina i drży, prawie jak brzuch żywej istoty. Siedziałyśmy więc przy maszynach czujne jak urwy<sup>1</sup> i co chwila zerkałyśmy, czy z sufitu nie leci wentylator albo większy kawał stropu. Dziewczyny panikowały, że może runąć cały budynek, ale mnie się to jakoś nie mieściło w głowie.

Po porannej przepychance ze zmianowymi Rahina była tak wykończona psychicznie, że perspektywa kolejnego monotonnego dnia przy maszynie do szycia wydała się jej wręcz nęcąca. Ale tamtego poranka od początku nic nie szło tak, jak powinno. Igła w jej maszynie nagle zaczęła wściekle szarpać materiał. Dziewczyna miała właśnie zawołać nadzorcę linii produkcyjnej i pokazać mu, co się dzieje, gdy coś kazało jej spojrzeć w górę.

– Kątem oka zobaczyłam, jak sufit pęka mi nad głową i pluje w moją stronę całą zawartością wyższej kondygnacji – opisywała beznamiętnym głosem i tylko rozbiegane oczy i nerwowe ruchy dłoni wygładzających w kółko ubranie świadczyły, że Rahina wciąż nie poradziła sobie ze wspomnieniami tamtego dnia. – Zawsze mi się wydawało, że jak jest katastrofa, to jest też potworny huk. A tu nic. Cisza, nie było nawet silnego wstrząsu. Moja maszyna stała tuż przy oknie. Odruchowo rzuciłam się w jego stronę.

Ocknęła się pod gruzami, nie wiedząc, ile czasu upłynęło. Twarz i oczy miała zalepione pyłem, w piersiach czuła klucie przy każdym głębszym wdechu, a w uszach huczało jej jak od głośnego wystrzału. Nie miała nawet

pojęcia, czy leży na wznak, czy twarzą w stronę ziemi, czy może głową w dół, postanowiła więc wypluć nieco śliny na policzek. Na szczęście popłynęła na brodę. Wkrótce pył zaczął opadać i promienie ostrego światła docierające z powierzchni przez azur rumowiska podpowiedziały Rahinie, że leży zagrzebana stosunkowo płytko. Gorzej z lewą stopą, która utknęła jej głęboko między stalowymi prętami konstrukcyjnymi i skrzyta pod nienaturalnym kątem bolała jak diabli.

– Nawet nie próbowałam jej uwolnić, najmniejszy ruch sprawiał mi ból. W dodatku jakiś mężczyzna leżący opodal odzyskał przytomność i zaczął strasznie jęczeć – opowiadała Rahina. – Dopiero wtedy zorientowałam się, że nie leżę w tym gruzach sama.

W dziwnej grocie z pokruszonych betonowych płyt, pośród stalaktytów i stalagmitów pogiętych prętów konstrukcyjnych, katastrofę przeżyło aż sześć osób. Rahina i zawodzący obok mężczyzna nie mogli się ruszyć, cztery inne dziewczyny nie były jednak uwięzione, a poza ranami i stłuczeniami nie odniosły poważniejszych obrażeń. Już po uwolnieniu z gruzowiska Rahina usłyszała od ratowników, że mieli szczęście. Gdy budynek zaczął się rozpadać, część piątego piętra, gdzie pracowała, jakimś cudem nie została przywalona przez wyższe kondygnacje i zsunęła się na obrzeże gruzowiska.

– Wkrótce zaczęliśmy też słyszeć ludzi biegających nad naszymi głowami, ale nadal nie wiedzieliśmy, kiedy się do nas dokopią. Jedna z dziewczyn miała przy sobie wodę w butelce. Uzgodniliśmy, że będziemy wszyscy co dwie godziny zwilżać usta – opowiadała Rahina, przekrzykując się z gapiami, którzy koniecznie chcieli uzupełnić jej relację. – Słysząc było, że na górze panuje chaos. Ludzie wspinali się po gruzach, krzyczeli, histeryzowali, ciągnęli za nogi i ręce najpłycej pogrzebanych, zwalając przy tym gruz na innych poszkodowanych. Dopiero po jakimś czasie do akcji ratunkowej włączyło się wojsko oraz strażacy. Wtedy po raz pierwszy pozwoliłam sobie na odrobinę optymizmu. Pomyślałam, że może rzeczywiście nas uratują.

Późnym popołudniem ratownicy w końcu dogrzebali się do Rahiny. Zwichniętą, jak się okazało, nogę udało się uwolnić dopiero z użyciem piły do metalu. Dziewczyna miała też problemy z oddychaniem, sanitariusze przypięli jej więc do ubrania kartkę ze skierowaniem i wkrótce Rahina wyładowała na oddziale pobliskiego szpitala z podejrzeniem złamanych żeber. Po trzech dniach wypisano ją do domu. Sale zaczynały pękać w szwach od kolejnych poszkodowanych w o wiele gorszym stanie.



– Potrzebowałam jeszcze tygodnia, żeby zebrać się w sobie na tyle, by wrócić do Rana Plaza. Nie bałam się tego, co tam zobaczę, ale tego, co usłyszę, tej wyliczanki martwych i okaleczonych koleżanek. – Oczy Rahiny jednak zaszyły łzami. – Pierwsze, co dostrzegłam, to czerwona flaga powiewająca na gruzowisku. Powiedziano mi, że to znak dla ekip rozbiórkowych, że w ruinach nie ma już żywych ludzi.

Na piątym piętrze zginęło sześćdziesięciu jeden spośród stu sześćdziesięciu pracowników. Ocalałych szybko okrzyknięto szczęściami. Piętro niżej nie przeżył nikt.



Połowa maja 2013 roku. Po ruinach Rana Plaza już prawie nie ma śladu. Mieszkańcy Savaru powtarzają z przekąsem, że budynek rozebrano równie szybko, jak go zbudowano.

Mahmud Yassin, niski barczysty czterdziestolatek o rzadkiej w tym kraju

posturze zapaśnika, znalazł zatrudnienie w ekipie oczyszczającej rumowisko. Początkowo – jak mówił – kierujący rozbiórką brali do tej roboty jak leci, młodych i starych, silnych i słabowitych. No i szybko wyszło na jaw, kto zgłosił się do pomocy ze szczerego serca, a kto chciał jedynie załapać się na darmowe jedzenie albo cenne znaleźiska w gruzach. Psy, krzywił się Mahmud. Grabić miejsce zbroczone krwią setek sąsiadów, znajomych, być może nawet krewnych?

– Z mojej rodziny nikt nie pracował w Rana Plaza, ale nie wiem, jak bardzo musiałbym być głodny, żeby przełknąć jedzenie kupione za pieniądze lub rzeczy wykopane z tych ruin. – Mężczyzna gestykułował z wściekłością.

Przez kilka pierwszych dni pracy na gruzowisku Mahmud i tak nie miał apetytu. Dla muzułmanów, którzy pochówek w ciągu dwudziestu czterech godzin od śmierci uważają za obowiązek religijny, usuwanie fragmentów ciał gnijących przez długi czas w ruinach było trudne nie tylko z powodów czysto estetycznych.

– Dźwig uniósł wielki kawał stropu. Kiedy opadł pył, zobaczyliśmy biurko częściowo wystające z rumowiska. – Mahmud przełknął głośno ślinę. – Na blacie leżało gnijące, napuchnięte ludzkie ramię, z dłonią nadal zaciśniętą na słuchawce stojącego obok telefonu. Widok był tak upiorny, że zaczęliśmy się śmiać. Opanowałem się dopiero wtedy, gdy ktoś włożył ramię do plastikowej torby i zaniósł w wyznaczone miejsce, do którego znosiliśmy wszystkie większe fragmenty ciał do późniejszej identyfikacji.

Rankiem 3 grudnia 1984 roku w indyjskim Bhopalu rozszczelnił się zbiornik zawierający czterdzieści trzy tony izocyjanianu metylu, śmiertelnie toksycznej substancji używanej między innymi do produkcji gumy. Firma Union Carbide, właściciel feralnej instalacji, podała oficjalnie, że wskutek wycieku trującego gazu zmarło około 3,8 tysiąca osób, a czterdzieści tysięcy odniosło obrażenia układu oddechowego, które uczyniły je trwale niezdolnymi do pracy. Organizacje pozarządowe od początku jednak podawały te statystyki w wątpliwość i przedstawiały własne, zebrane na miejscu dane. W 1991 roku żniwo katastrofy ostatecznie podsumowały władze indyjskie. Zmarło około piętnastu tysięcy osób, a blisko pięćset tysięcy odniosło rany. Była to więc najtragiczniejsza katastrofa przemysłowa w historii, ale w latach osiemdziesiątych nie było YouTube'a ani Facebooka,



telefonów komórkowych nagrywających obraz full HD ani całodobowych kanałów informacyjnych. Transmisję z akcji ratunkowej w Savarze świat śledził już niemal na żywo.

Do zachodnich konsumentów, dotychczas wpatrzonych bardziej w marki niż metki, nagle zaczęło docierać, że te krwawe obrazki z internetu i telewizji pochodzą z tego samego świata, z którego przyjechały ich kolorowe ubrania. Również ja ze zdumieniem odkryłem, że jakieś trzy czwarte zawartości mojej szafy pochodzi właśnie z Bangladeszu, choć do tej pory naiwnie podejrzewałem o to raczej chińskie Shenzen, pierwszą i największą strefę wolnego handlu w Chinach utworzoną jeszcze za rządów Deng Xiaopinga. Więcej szczegółów do garderobianej kwerendy błyskawicznie dorzucił Google. LPP, Redan, Big Star, nawet Biedronka – jeśli ktoś w Polsce sprzedawał odzież, mniejszą lub większą część produkcji lokował w Bangladeszu. Najwięksi producenci mieli w Dhace nawet własne biura.

Na przygotowanie relacji dla „Newsweeka” mieliśmy niecały tydzień. Mnóstwo czasu, zważywszy na to, że listę polskich marek *made in Bangladesh* można skompletować w godzinę w jednym dużym centrum handlowym. A zarazem koszmarnie mało, biorąc pod uwagę, że po wielkiej katastrofie w zakładzie odzieżowym niekoniecznie wszyscy właściciele fabryk będą zainteresowani rozmową z dziennikarzami i otwarciem przed nimi hal produkcyjnych. Rzeczywiście – z trzynastu zakładów pracujących dla polskich klientów, które udało się nam zidentyfikować w Dhace i okolicy, dwanaście nie wpuściło nas za bramę. Oficjalnie nikt nie odmawiał spotkania i ze zrozumieniem traktował pobudki, które sprowadziły nas do Bangladeszu. Na przeszkodzie zawsze stawały tak zwane obiektywne trudności.

– Akurat mamy zamknięte. W klimatyzacji i w przewodach wentylacyjnych załęgły się nam jakieś niebezpieczne grzyby – usłyszeliśmy w pierwszej fabryce. – Dezynfekcja potrwa jeszcze kilka dni, na terenie są tylko ludzie z firmy, która ją przeprowadza, i garstka pracowników administracyjnych, więc i tak z nikim nie porozmawiacie.

– Bardzo żałuję, od kilku dni leżę z gorączką – mamrotał przepraszająco do telefonu dyrektor drugiego zakładu. – Nie mam nawet pojęcia, co mnie tak rozłożyło, więc nie będę panów narażać na kontakt z jakimś subtropikalnym paskudztwem.

– Jaka szkoda, jaka wielka szkoda! – lamentował asystent kolejnego szefa.  
– Dyrektor od kilku dni bawi służbowo w Chinach. Prosił, żeby przekazać, że z przyjemnością się z panami spotka... no właśnie, do kiedy zostajecie w Bangladeszu? Tylko do piątku? Co za pech, co za straszny pech. Szef wraca w poniedziałek. To znaczy najwcześniej w poniedziałek.

– To panowie już na miejscu? I nie ma tam Rashida? Miał czekać na was w fabryce, bo ja dziś od rana jestem poza miastem. Pewnie utknął gdzieś po drodze w korku albo o was zapomniał – wzdychał do telefonu jeszcze inny dyrektor. – Najmocniej przepraszam, osobiście się policzę z tym gamoniem – zapowiedział i choć ani przez chwilę nie wierzyłem, że mówi szczerze, mimowolnie przypomniał mi się fabrykant Herman Bucholc z *Ziemi obiecanej* Reymonta, pastwiący się z byle powodu nad sekretarzem Augustem. To, co oglądaliśmy zza szyb samochodu, na każdym kroku przypominało nam właśnie reymontowską Łódź. Może z wyjątkiem dorodnych mango na straganach, bo właśnie rozpoczął się sezon na te wyborne owoce.

Tylko jedna fabryka w Dhace nie miała przed nami nic do ukrycia. Kiedyś pracowała dla polskiej marki Reporter, lecz ostatnio nie trafiały już do niej żadne zlecenia znad Wisły. Właścicielowi, na oko czterdziestoletniemu mężczyźnie w modnych okularach i o delikatnych, niemal chłopięcych rysach, dobrze patrzyło z oczu. Był wyraźnie wstrząśnięty tym, co wydarzyło się kilkanaście dni wcześniej w Savarze. Gdyby na siłę chcieć porównać go do któregoś z trójki głównych bohaterów *Ziemi obiecanej*, byłby to intelektualnie rozedrgany Maks Baum, usiłujący pogodzić rozterki moralne z ambicjami zawodowymi. Facet sprawiał wrażenie ucieszonego naszą wizytą. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego pytamy w kółko o robotników i warunki pracy, a nie o chybotliwy kurs dolara albo o cyklon, ponownie zbliżający się do wybrzeży Bangladeszu, grożąc opóźnieniem dostaw do Europy i Stanów Zjednoczonych. To były problemy, które najmocniej poruszały naszego gospodarza zaledwie kilka tygodni po hekatombie w Savarze.

– *Workers no problem* – wypalił w miejscowej angielszczyźnie.

Kiedy przeszliśmy do hal produkcyjnych, szybko zrozumiałem, co naprawdę miał na myśli. Spacer żywo przypominał dziesiątki podobnych wizytacji, w których uczestniczyłem w chińskich fabrykach produkujących dla

amerykańskich, japońskich i europejskich molochów teleinformatycznych. Podczas takiej wizyty wolno było się przejść po czystej hali fabrycznej i z bezpiecznej odległości poobserwować uśmiechniętych robotników przy liniach produkcyjnych, oczywiście bez zamieniania z nimi choćby słowa. Dla podkreślenia sterylności warunków panujących w hali kilkakrotnie kazano mi nawet zakładać biały fartuch, foliowe pokrowce na obuwie, a czasem też plastikowe okulary ochronne. O obowiązkowych bezpłatnych nadgodzinach czy innej presji na personel oczywiście nie było mowy. Fabryka firmy Foxconn, w której śmiertelnie przemęczeni robotnicy montujący sprzęt dla Apple'a zaczęli nagle jeden po drugim popełniać samobójstwa, to zdaniem organizatorów tego typu wycieczek smutny wyjątek od baśniowej reguły, do której zawzięcie przekonują swoich gości.

Szczególnie zapadła mi w pamięć jedna taka wycieczka w Shenzen. Zaprowadzono nas wtedy do pomieszczenia, w którym robotnicy mieli rzekomo odpoczywać w trakcie zmiany. Pośrodku stał stół do ping-ponga z dwiema raketkami rzuconymi niedbale na środek, pod ścianami ustawiono zaś pięć biurek z komputerami i konsolę PlayStation podłączoną do wielkiego telewizora LCD – rzecz jasna, jednej z japońskich firm zlecających fabryce produkcję. Do dyspozycji pracowników były również fotele z funkcją masażu i dwie wielkie wygodne sofy. Wszystko to nie nosiło najdrobniejszych śladów użytkowania i było pokryte warstewką kurzu, niczym scenografia sztuki teatralnej zdjętej w ostatniej chwili z afisza po gwałtownej interwencji cenzora. Z nóg i krawędzi stołu do ping-ponga nie ściągnięto nawet folii, która podczas transportu zabezpieczała go przed zarysowaniem. Trudno było pozbyć się wrażenia, że zaraz po naszym wyjeździe z fabryki pomieszczenie znowu zostanie zamknięte na klucz aż do przybycia kolejnej zachodniej wycieczki. Jeden z towarzyszących mi dziennikarzy musiał mieć identyczne odczucia, bo podszedł do telewizora i na zakurzonym ekranie wypisał palcem datę naszej wizyty, którą ozdobił emotikonem symbolizującym żart. Zmieszani gospodarze natychmiast wymienili między sobą spojrzenia z aż nadto czytelnym przesłaniem: podczas kolejnej prezentacji dla zagranicznych gości takie niedopatrzenie nie może się powtórzyć.

W Bangladeszu nie było PlayStation ani nawet stołu do ping-ponga. Przybyszów witała masywna brama zdobiona obficie brązem niczym barokowa monstrancja, wysoki pobielony mur z drutem kolczastym oraz

wpółprzytomni od upału strażnicy. Wewnątrz, na każdym z pięciu fabrycznych pięter, wielkie sufitowe wiatraki poruszały powietrze nad głowami szwaczek, na świeżo pomalowanych ścianach wisiały zaś wyglancowane gaśnice i humorystyczne plakaty przypominające o tym, że ucięte palce dłoni odrastają tylko w amerykańskich kreskówkach dla dzieci. Przez okna wpadało mnóstwo światła, zorganizowano również kącik sanitarny i małą kuchnię wyposażoną w palniki na gaz oraz podstawowe naczynia. Nigdzie nie było czuć żadnych nieprzyjemnych zapachów. Szwaczki przy maszynach świergotały między sobą niczym moniuszkowskie prządki, a właściciel przechadzał się dumnie wśród maszyn, zapewniając, że gdyby tylko chciał, mógłby kosztem personelu na czysto wyciągać ze swojej fabryki dwa razy więcej pieniędzy. Ale oczywiście nie chce, co z pewnością potwierdzi losowo wybrana przez szefa rozmówczyni, dwudziestosześcioletnia mężatka z jednym dzieckiem na utrzymaniu, która pracuje dla niego już od sześciu lat.

Rozejrzałem się po hali. Na piętrze wielkości szkolnej sali gimnastycznej tłoczyło się przy maszynach do szycia od stu dwudziestu do stu pięćdziesięciu kobiet, a raczej dziewczyn wyglądających najwyżej na piętnaście–siedemnaście lat. Dlaczego mieliśmy rozmawiać akurat z jedną z najstarszych?

Nim zdążyłem zaprotestować, wyznaczona szwaczka zaczęła snuć swoją opowieść. Pensja? Cóż, kokosów nie ma, ale w innych fabrykach w Dhace zarabia się jeszcze mniej, nie mówiąc o zakładach na prowincji, gdzie ludziom zdarza się ponoć pracować i za miskę ryżu. Nadgodziny? Wyłącznie dobrowolne, płatne i w granicach zdrowego rozsądku, bo przecież z niewolnika, zwłaszcza przepracowanego, nie ma pracownika. Atmosfera w pracy? Ależ szef to dusza człowiek, jak trzeba, to pożyczy nawet na lekarza – kobieta recytowała swój monolog, po każdej odpowiedzi zerkając nerwowo na pryncypała, podczas gdy my głowiliśmy się, czy jesteśmy świadkami prymitywnej demonstracji siły, czy może właściciel fabryki próbuje coś przed nami ukryć.

Odpowiedź na tę zagadkę nadeszła z chwilą, kiedy wśród szwaczek wypatrzyłem kilka dziewcząt wyglądających najwyżej na dwanaście–czternaście lat. Nie zdążyłem zrobić dwóch kroków w ich stronę, kiedy właściciel grzecznie, acz stanowczo zastąpił mi drogę.

– Nie wyobrazasz sobie, jaka spadłaby na nie hańba, gdyby rodziny i

sąsiedzi dowiedzieli się, że rozmawiały z wami nie w obecności ojca lub starszego brata – wyjaśnił pospiesznie, tym razem już przez tłumacza, bo najwidoczniej skończył mu się zasób angielskiego słownictwa albo był zbyt zdenerwowany. – W naszym kraju niezamężnej kobiecie nie wypada nawet spojrzeć na obcego mężczyznę, a już na pewno nie na cudzoziemca.

– A to pech – wycedził do mnie wyraźnie rozbawiony Filip, który już kilka dni z rzędu fotografował miejscowe piękności i ani razu nie spotkał się ze sprzeciwem czy choćby oznaką niezadowolenia.

Coraz więcej wskazywało na to, że Bangladesz nie tylko tanio produkuje odzież bardzo wysokiej jakości, lecz także radzi sobie doskonale z ukrywaniem przed obcymi tego, czego z różnych powodów wolałby im nie pokazywać. Inna sprawa, że przybywający tu ze zleceniami cudzoziemcy nie patrzą bangladeskim partnerom biznesowym na ręce z przesadną skrupulatnością. Chodzi im przecież dokładnie o to samo, czego chcą właściciele fabryk w Bangladeszu – o zysk i święty spokój. Jak tłumaczył mi potem w Dhace jeden z polskich kupców, kupowanie odzieży w tym kraju przypomina zawody w jeździe figurowej na lodzie: obok programu obowiązkowego (czyli negocjacji cenowych i pilnowania jakości) jest również program dowolny, w którym można dodatkowo wykazać się wrażliwością na los pracowników czy troską o stan przyrody. Tylko po co? Punkty przyznaje jury złożone z klientów sklepów, którzy w nosie mają azjatyckie szwaczki, subtropikalne lasy deszczowe i inne dyrdymały spod znaku tak zwanej społecznej odpowiedzialności biznesu. Klienci kupują oczami. A ich wzrok – nawet po Rana Plaza – w pierwszej kolejności pada na cenę.

– Dlatego nie daj sobie wmówić, że ktokolwiek kiedykolwiek interesował się tu czymkolwiek poza ceną towaru i jego jakością. – Mój rozmówca świdrował mnie chłodnym spojrzeniem znad porcji wybornych krewetek poławianych w tutejszych wodach. – Faceci, którzy w Polsce będą ci opowiadać o poprawie jakości życia szwaczek, przylatują tu wyłącznie po to, żeby wykłócać się o dwa centy na cenie podkoszulka. Brałem udział w dziesiątkach negocjacji handlowych. W żadnej, dosłownie w żadnej, nikt dotąd nawet nie wspomniał o warunkach pracy w fabrykach.

W razie przyłapania na gorącym uczynku – jak po Rana Plaza – bariera

językowa i różnice kulturowe dają szansę na rozmycie odpowiedzialności. Pokrzykiwanie na szwaczki zawsze można przedstawić jako lokalny styl komunikacji, w końcu na ulicy też wszyscy krzyczą do wszystkich. Brak wentylacji – nie mówiąc już o klimatyzacji – potrzebami samych pracowników, którzy nie przywykli do niskich temperatur. Niedostateczną liczbę gaśnic – chwilowymi problemami z zaopatrzeniem w ten chodliwy ostatnio towar. Brak przeszkolenia przeciwpożarowego pracowników – zaniechaniem nadzorcy, którego demonstracyjnie wywała się za to z roboty, a potem cichaczem przyjmuje ponownie. Obecność dzieci w zakładzie – nieporozumieniem. Azjaci wyglądają przecież na młodszych, niż są w rzeczywistości, a prośbę o dowód tożsamości zwykle kwituje się perlistym śmiechem. Większość robotników trafiła do Dhaki z przeludnionych, biednych wsi, gdzie przez lata nikt nie zawracał sobie głowy wydawaniem dokumentów. Jak zresztą prowadzić rzetelną ewidencję ludności w kraju, w którym każdego dnia tysiące ludzi w poszukiwaniu jedzenia po prostu pakują dobytek w koc i ruszają w drogę? Analfabetyzm wciąż pozostaje w Bangladeszu problemem na tyle powszechnym, by w urzędowych dokumentach – na przykład w formularzu umowy z operatorem komórkowym – obok miejsca na podpis znalazło się także okienko na odcisk palca. Wiele osób – jak wyjaśnił mi facet sprzedający kartę SIM miejscowego operatora – nie ma nawet pojęcia, gdzie i kiedy się dokładnie urodziło.

Ale w końcu co to za różnica, czy skończyło się czternaście, czy szesnaście lat?

Czy na świat przyszło się w Ashulii, Dhace, czy może w Kushtii?

Czy skończyło się pięć klas miejscowej podstawówki, czy tylko dwie?

Czy pod gruzami spędziło się naprawdę siedemnaście dni i cudem ocalało z największej katastrofy przemysłowej w dziejach kraju, czy może było się tylko statystą w pewnym spektaklu zaaranżowanym przez rząd w Dhace na potrzeby reszty świata?

W maju 2013 roku cały Bangladesz żył nieprawdopodobną historią szwaczki Reshmy, którą ratownicy odgrzebali spod gruzów żywą dopiero po siedemnastu dniach od katastrofy w Rana Plaza. Dziewczynę przewieziono do wojskowego szpitala w Dhace, gdzie lekarze nie mogli wyjść ze

zdumienia nad jej zaskakująco dobrym stanem fizycznym i psychicznym, a ona sama udzielała miejscowym mediom wywiadów i opowiadała, że przetrwała w ruinach ponad dwa tygodnie dzięki butelce wody i czterem ciasteczkom, które miała przy sobie w chwili katastrofy.

Okoliczności ocalenia dziewczyny były tak nieprawdopodobne, że miejscowy opozycyjny dziennik „Amar Desh” postanowił dokładnie im się przyjrzeć. Dziennikarze tej gazety wiele razy zaleźli za skórę partii rządzącej, kilku z nich pobili nawet „nieznani sprawcy”. *Amar desh* to po bengalsku „mój kraj” i dziennikarze poważnie traktują misję zawartą w nazwie gazety. Słynie ona z ostrych materiałów interwencyjnych, czasem wręcz obsesyjnie antyrządowych. Po katastrofie Rana Plaza, kiedy na władze w Dhace sypały się gromy za złą organizację akcji ratunkowej, dziennikarze „Amar Desh” jako jedni z nielicznych zadali sobie trud, by porozmawiać z ofiarami katastrofy, ratownikami, wreszcie z rodziną i sąsiadami samej uratowanej. Zebrany przez nich ciąg wątpliwości i błędów w relacji Reshmy jest co najmniej zastanawiający. Tym bardziej że pokrywa się z tym, do czego dotarli także zachodni dziennikarze, którzy tuż po katastrofie w Savarze na dłużej zabawili w Bangladeszu.

Po pierwsze, imię dziewczyny. Większość znajomych z pracy i sąsiadów znała ją jako Fatimę. Jeszcze inni mówili na nią Joya. Ona sama tłumaczyła potem te rozbieżności brakiem kompletu dokumentów niezbędnych przy zatrudnianiu; problem miała rozwiązać jej siostra Asma, rejestrując ją w pracy na papierach innej osoby o imieniu Joya. Sprawę imienia dziewczyny można by zbagatelizować, gdyby nie to, że w oficjalnym spisie osób uratowanych z Rana Plaza wysoko, na jednym z początkowych miejsc pojawiło się imię Fatima. W spisie zatrudnionych w fabryce, w której miała pracować dziewczyna, nie było z kolei żadnej Reshmy, była natomiast Joya. Czyżby zatem były to ślady po kimś, kto stosunkowo szybko został uwolniony z gruzowiska Rana Plaza, a potem, już pod zmienionym imieniem, przewieziony tam tylko po to, by odegrać komedię cudownego odnalezienia?

Dziennikarze „Amar Desh” nie odważyli się postawić tak jednoznacznej tezy wyłącznie na podstawie tej jednej przesłanki. Dotarli jednak do informacji, które w kontekście zamieszania z imieniem ocalonej zasługują na przytoczenie. Przede wszystkim udało się im porozmawiać z niejakim Enamulem, operatorem maszyny z tego samego zakładu, gdzie pracowała

Reshma, który – co było w firmie tajemnicą poliszynela – miał z dziewczyną romans. Mężczyzna początkowo utrzymywał, że z ruin Rana Plaza wywieziono go razem z Reshmą. Trafili wspólnie do pobliskiego szpitala, który Enamul opuścił już nazajutrz. Kiedy dwa dni później mężczyzna wrócił na oddział, aby odwiedzić ukochaną, jej już tam nie było. Nie wróciła również do domu. Jeden z sąsiadów powiedział jednak Enamulowi, że Reshmę prosto ze szpitala w Savarze przewieziono – nie wiadomo dlaczego – do szpitala wojskowego w Dhace.

Podczas kolejnego spotkania z dziennikarzami Enamul niespodziewanie zmienił zdanie. Nie trafił do szpitala razem z Reshmą. Nie widział jej osobiście od katastrofy. Romans? Brednie żądnych sensacji gazet. On, Enamul, jest przecież żonaty i choć z małżonką ostatnio nie układa się mu za dobrze, nigdy nie splamiłby ich małżeństwa romansiem. Mężczyzna zrobił się nerwowy. Na kolejne spotkania już nie przyszedł. Zmienił nawet numer komórki.

Co naprawdę stało się 10 maja 2013 roku w ruinach Rana Plaza? Czy w gruzach rzeczywiście odnaleziono żywą kobietę, która spędziła tam ponad dwa tygodnie? A jeśli tak, to jakim cudem uratowana miała czyste ubranie, starannie przycięte paznokcie i w ogóle nie wyglądała na kogoś, kto ostatnie dni spędził, walcząc o życie pod gruzami? Wszystkie te pytania Reshma usłyszy miesiąc po odratowaniu, na konferencji prasowej w jednym z luksusowych hoteli, który postanowił ją zatrudnić z astronomiczną jak dla prostej bangladeskiej szwaczki pensją w wysokości kilkudziesięciu tysięcy taka miesięcznie.

Odpowie – po części zresztą ochno zastąpią ją w tym wysoko postawieni przedstawiciele armii – że utkwiała pod gruzami w dolnej części budynku, która nie zawała się całkowicie, i dzięki temu miała tam pod dostatkiem powietrza oraz wolnej przestrzeni. W pobliżu był nawet sklep odzieżowy, Reshma przebierała się więc co chwila w nowe ubrania, by przynajmniej w ten sposób zmniejszyć dyskomfort wywołany brakiem wody do mycia. Problem w tym, że inni robotnicy z Rana Plaza nie przypominali sobie żadnego sklepu na dolnych kondygnacjach. Były tam sala modlitewna, podziemny parking i pomieszczenie z urządzeniami elektrycznymi oraz bank i kilka biur. Owszem, budynek był pełen ubrań, lecz zachodnich, a cały



Bangladesz widział w telewizji, jak ratownicy niosą Reshmę odzianą w nową fioletową tunikę i różowy szal właściwie bez śladów zabrudzeń. Na dłoniach dziewczyna miała co prawda blizny, ale to były stare pamiątki po psychopatycznym mężu, który tak bardzo lubił gasić na jej rękach papierosy, że w końcu Reshma wystąpiła o rozwód.

Dziennikarze na szczęście nie naciskają zbyt mocno. Tylko gdy padną pytania o jej rzekomy romans z kolegą z pracy, kobieta na chwilę straci panowanie nad sobą. Po zastanowieniu odpowie wymijająco, że ludzie, którzy nie utknęli pod gruzami tak jak ona, nigdy nie zdołają zrozumieć, przez co naprawdę przeszła.

W tym momencie do akcji wkroczą już gospodarze konferencji. Upomną media, by uszanowały prywatność poszkodowanej. Prywatność szeroko rozumianą, bo obejmującą na przykład pytania do służb ratunkowych. Dlaczego trzy dni przed odnalezieniem dziewczyny ruiny Rana Plaza otoczono kordonem policyjnym? Dlaczego po śmierci Shahiny akcję ratunkową w gruzowisku prowadzono niemal wyłącznie nocą? Dlaczego wreszcie na kilka godzin przed odnalezieniem Reshmy w okolicy miejsca katastrofy nagle pojawili się żołnierze sił specjalnych?

Dlaczego? W Dhace przejazd pani premier przez stolicę jest wystarczającym powodem do wstrzymania ruchu ulicznego na odcinku kilkunastu kilometrów. Korki, które są zmorą tego miasta, po każdej takiej blokadzie stają się jeszcze większe, ale nikt jakoś publicznie nie pyta, czy to fair. Nikt więc nie będzie też atakować władz pytaniami o tajemniczy wojskowy kordon wokół gruzów.

Zresztą po co? Reshma po paru miesiącach zniknie z mediów i ludzie przestaną o niej mówić, tak samo jak z ulgą zapomną o samej katastrofie. Przypomną sobie o niej dopiero w styczniu 2014 roku, kiedy w Dhace policja znajdzie powieszony zwłoki Samiry, innej szwaczki cudem uratowanej z gruzów Rana Plaza.

Nie wiadomo, dlaczego dziewczyna targnęła się na własne życie. Sąsiedzi opowiedzą potem dziennikarzom, że nie potrafiła poradzić sobie z traumą powypadkową i poczuciem, że pozostawiono ją – tak jak innych ocalonych – bez pomocy. Ulica w Dhace szybko połączy obie historie. Widocznie taką ma potrzebę. Historia cudownego ocalenia, w dodatku pełna nieścisłości, aż się prosi o mroczne zakończenie.

\*\*\*

Dhakę opuściliśmy przygnębieni. Kilka godzin nocnego lotu do Dubaju urozmaiciłem sobie jakąś absurdalną indyjską superprodukcją, która próbowała chyba całkiem serio połączyć taneczną konwencję Bollywoodu z tematyką wojenną. Wystarczyło tego raptem na jakieś dwie godziny tylko nieco lepszego samopoczucia. Wkrótce wróciło natrętne przeświadczenie, że z Bangladeszu wracam tak naprawdę na tarczy, z odpowiedzią na najwyżej część nurtujących mnie pytań o funkcjonowanie globalnego przemysłu odzieżowego.

Bez odpowiedzi pozostawało zwłaszcza jedno, najważniejsze: czy to koniec? Czy wkrótce nie powtórzy się podobna katastrofa, czy może jednak niedawna hekatomba w Savarze wystarczy do przebłagania bangladeskich bogów biznesu, którzy na polach golfowych i w ekskluzywnych restauracjach decydują o losie blisko pięciu milionów swoich pracowników?

W mitologii greckiej bóstwa bywają okrutne i nieprzewidywalne, ale na Olimpie przy ambrozji nikt nie szacował stopy zwrotu z inwestycji. Po Rana Plaza do właścicieli fabryk odzieżowych w Bangladeszu musi chyba dotrzeć dość oczywisty wniosek, że zapewnienie pracownikom minimum godziwych warunków opłaca się co najmniej tak samo jak konserwacja maszyn czy utrzymywanie drożności kanalizacji! Dlatego bardzo chciałem wrócić do Bangladeszu za kilkanaście miesięcy, gdy już opadną emocje, temat warunków pracy w azjatyckich szwalniach zniknie z czołówek gazet, a z prezesów wielkich firm odzieżowych spłynie stres wywołany wizerunkową katastrofą w Savarze.

Na miejscu Rana Plaza w kwietniu 2014 roku, tuż przed pierwszą rocznicą katastrofy, powitał mnie betonowy pomnik ku czci ofiar, w kształcie wielkich kanciastych dłoni trzymających sierp i młot. Monument ufundowali miejscowi komuniści, a na wypadek, gdyby ktoś wątpił, kto jest donatorem, w betonowe łapska wetknięto jeszcze czerwony sztandar. Z daleka wyglądało to kompletnie abstrakcyjnie, niczym zgubiony element zestawu klocków Lego dla olbrzymów. Z bliska – na tle ogrodzenia z drutu kolczastego, które zabezpieczało teren katastrofy – pomnik nabierał bardziej złowróbnego charakteru i kojarzył się z gułagiem, zwłaszcza przybyszowi z byłego bloku wschodniego. Stałem w milczeniu, zahipnotyzowany widokiem, i dopiero po

chwili dotarło do mnie, że wokół betonowego łąpska siedzą w kucki dziesiątki, może nawet setki osób z jakimiś karteczkami.

Podeszliśmy jeszcze bliżej. Każda z tych karteczek okazała się zdjęciem albo legitymacją zaginionego pracownika Rana Plaza.

W maju 2013 roku licznik zidentyfikowanych ofiar zatrzymał się na 1134 zabitych. Wiele ciał w chwili katastrofy zostało jednak dosłownie rozartych na miazgę, a potem szczątki te gniły jeszcze tygodniami pośród ruin w upale i wilgoci. Po ludziach zostały czasem tylko zakrwawione fabryczne przepustki z nazwiskiem i zdjęciem. Personel można było zliczyć w miarę łatwo na podstawie list obecności, ale co z dostawcami? Co z klientami? Co z przechodniami, którzy tego feralnego poranka mieli nieszczęście znaleźć się w pobliżu Rana Plaza? Według prowadzących akcję ratunkową w budynku w chwili zawalenia mogło się znajdować nawet 6,2 tysiąca osób. Od rodzin, które nie znalazły bliskich ani w szpitalu, ani w kostnicy, już w 2013 roku pobrano próbki DNA. Ci, którzy nie doczekali się identyfikacji zaginionych krewnych, codziennie rano zbierali się więc pod pomnikiem, by w palącym słońcu czekać wspólnie na wieści. Na jakiegoś ważnego urzędnika czy dyplomatę, któremu będzie można się poskarżyć, kiedy przyjedzie złożyć wieniec i sfotografować się w miejscu katastrofy. Na kogokolwiek, kto zechce się zainteresować losem zaginionych. Tematem przez władze w Dhace najwyraźniej uznanym już za zamknięty.

– Powiedzieli, że mam czekać na wiadomości, no to czekam. Już rok. – Mahmud Billal, chudy mężczyzna z długą siwą brodą, trzął się z emocji, opowiadając o ostatnich miesiącach. Córkę widział ostatni raz wieczorem przed zawaleniem Rana Plaza. Nazajutrz, jak co dzień, wstała o świcie do pracy i ślad po niej zaginął. – Na pewno dotarła do fabryki, bo w gruzach znaleźli to. – Pokazał mi laminowany dowód tożsamości ze zdjęciem, z którego smutno spoglądała piękna dziewczyna o kruczoczarnych włosach, wielkich oczach oraz wyrazistych kościach policzkowych, odziedziczonych ewidentnie po ojcu. Na głowie miała koralową chustę zsuniętą filuternie do tyłu, która kontrastowała ze śniadą cerą. Pod zdjęciem widniał jeszcze odcisk palca, imię Sahanaj oraz data urodzin: 15 sierpnia 1985 roku.



Savar, kwiecień 2014. Bliscy kilkuset pracowników, którzy zaginęli w Rana Plaza, codziennie przychodzą na miejsce katastrofy. Od wielu miesięcy nie mają żadnych informacji o tym, jak postępuje identyfikacja zwłok wydobytych w ruin.

Mahmud od roku nie rozstawał się z komórką.

– Ilekroć dzwoni, serce skacze mi do gardła ze strachu i z emocji, że może ją zidentyfikowali. Ale nic z tego. Inne rodziny też czekają na informacje. Wiem, bo jesteśmy w kontakcie. Nie mamy nawet pewności, czy ktoś jeszcze w ogóle stara się identyfikować te resztki. Chciałbym pojechać tam i spróbować samemu, może rozpoznałbym ją choćby po pierścionku, który dostała od matki? Chciałbym, żeby córka miała wreszcie prawdziwy pogrzeb, żeby jej dzieci mogły ją wreszcie ostatecznie opłakać i pożegnać. Ale nie chcą nam nawet powiedzieć, dokąd przewieziono szczątki. Krążą plotki, że po prostu wyrzucono je do rzeki – zawodził mężczyzna, wpatrując się w zdjęcie córki.

Obok Mahmuda przy płocie siedziała Mono Ara, matka operatora maszyny zatrudnionego na czwartym piętrze. Kobieta od dłuższego czasu wsłuchiwała się w płacze Billala, obserwując go wręcz z politowaniem. W pewnym momencie wstała i ze złością wcisnęła mi do ręki wymiętoszony kawałek niebieskiego papieru. Zaświadczenie – jak wyjaśniła – że jej syn pracował w Rana Plaza.

Rodziny zabitych, zaginionych i rannych pod koniec 2013 roku otrzymały od miejscowego samorządu oficjalne potwierdzenie rejestracji w spisie ofiar katastrofy. Na podstawie tego dokumentu miały potem dostać pomoc. Obiecywano złote góry, pieniądze, mieszkania, pracę, pomoc psychologów, przedszkola, szkoły i stypendia dla osieroconych dzieci.

– Na razie od każdego wzięli tylko po pięćset taka opłaty rejestracyjnej – wyjaśniła kobieta. – Na tym koniec.

Pięćset taka to niespełna dwadzieścia dwa złote. Około dwóch kilogramów podłej wołowiny albo równowartość dwóch dniówek początkującej pracownicy fabryki odzieżowej. Ludzie, którzy przeżyli katastrofę Rana Plaza, i ich rodziny z chęcią pracowaliby i trzy dni za taką sumę, byleby tylko ktoś chciał ich zatrudnić.

– Wszyscy traktują nas jak trędowatych – ciągnęła Mono Ara. – Bossowie nie chcą widzieć nas w fabrykach, boją się, że po tej katastrofie mamy coś z głową, że w pracy będziemy tylko gapić się nieufnie na sufit. Robotnicy też patrzą krzywo na tych z Rana Plaza i ich bliskich. Mówią o nas gwiazdorzy,

twierdzą, że udajemy poszkodowanych i ukrywamy pieniądze od rządu, żeby wyłudzić jeszcze więcej. Sąsiada nawet pobili, kiedy próbował wytłumaczyć, że pomoc od państwa skończyła się na obietnicach!<sup>2</sup> – Ostatnie zdania Mono Ara dosłownie wykrzyczała.

Tłum wokół nas gęstniał z minuty na minutę i co chwila ktoś podsuwał mi do obejrzenia pomięte zdjęcie zaginionego bliskiego, zakrwawioną przepustkę fabryczną lub niebieski dokument. Abdul, mój tłumacz, przypatrywał się mojemu rosnącemu zdumieniu z miną naukowca obserwującego myszy laboratoryjne.

– Niezłe, prawda? – zagał niefrasobliwie, przerywając milczenie.

– Tak. Tragedia, która przerodziła się w komedię – odpowiedziałem zdawkowo, lecz w tamtej chwili nie było mnie stać na więcej. Czułem się jak uczeń wyrwany do tablicy. W głowie miałem pustkę, trudno zgadnąć, czy bardziej z powodu upału, czy tego, co właśnie usłyszałem. Jeśli ludzie zgromadzeni wokół miejsca katastrofy nie byli naciągaczami, a ich łyzy przynętą na naiwnych przybyszów, pozostawało tylko jedno wyjaśnienie. Problem pod nazwą Rana Plaza szybko zamieciono pod dywan.

Abdul trafnie odczytał moje zdumienie.

– Zobaczysz. – Uśmiechnął się szelmowsko. – W Bangladeszu jeszcze nie raz cię zaskoczmy.



## Biedni szczęśliwi ludzie

Chudy policjant desperacko rzucił się przed maskę, jakby chciał rozstać się z życiem pod kołami samochodu, a nie po prostu zatrzymać go do kontroli. Kierowca wyhamował w ostatniej chwili i marudząc pod nosem coś po bengalsku, zjechał na pobocze zgodnie z życzeniem władzy. Wsiadł z samochodu, chwilę porozmawiał z policjantem i wkrótce obaj zniknęli w wąskiej ciemnej klatce schodowej stojącego opodal budynku.

– Zatrzymał nas, bo wypatrzył cudzoziemca – objaśnił przez tłumacza zdyszany szofer, wróciwszy do samochodu. – Przy okazji skontrolował papiery i okazało się, że auto nie ma wszystkich wymaganych dokumentów. Musiałem niestety dać gliniarzowi w łapę, ale dla ciebie nic się nie zmienia, płacisz tyle, na ile się umówiliśmy. Tylko błagam, przesiądź się na tylne siedzenie, nie będziesz się tak rzucać w oczy – poprosił lekko rozbawiony. – Inaczej każdy gliniarz na ulicy będzie żądać ode mnie łapówki.



Dhaka. Na powierzchni niewiele większej od Krakowa tłoczy się tutaj około piętnastu milionów ludzi.

Za trzy tysiące taka dziennie, czyli nieco ponad sto złotych, można poruszać się po Dhace w całkiem cywilizowanych warunkach, czyli w zupełnie sprawnym, klimatyzowanym samochodzie z kierowcą doskonale znającym każdy zaułek tego szalonego miasta, w którym na powierzchni niewiele większej od Krakowa stłoczono niemal jedną trzecią populacji Polski<sup>3</sup>. Pokonywanie większych odległości pieszo nosi tutaj wszelkie znamiona źle zaplanowanego samobójstwa. Chodnik lub pobocze drogi to strefa nieustannej, zacieklej walki o przestrzeń, w kurzu, błocie i smrodzie, w tłumie ludzi pędzących jednocześnie w różnych kierunkach, ale z takim samym niewzruszonym przekonaniem, że to właśnie im spieszy się bardziej, dlatego zasługują na pierwszeństwo. Jeśli w stolicy Bangladeszu chcesz liczyć na czyjkolwiek szacunek, w pierwszej kolejności musisz sprawić sobie samochód. Najlepiej dostojnego SUV-a.

Zza szyb pojazdów pasażerowie i kierowcy spoglądają więc z wyższością na inne kasty uczestników ruchu. Poniżej lokują się kierowcy i pasażerowie tak zwanych CNG, małych trójkołowych autek na gaz, przypominających raczej duże wózki inwalidzkie niż samochody. CNG można zobaczyć w Dhace właściwie wszędzie, bo są tanie i szybkie. Kurs rzadko kosztuje więcej niż dwieście pięćdziesiąt taka, czyli niespełna dziesięć złotych, a CNG wjedziesz nawet tam, gdzie autem strach się wciskać, choćby w dziurawe wąskie trakty slumsów okalających największe dzielnice przemysłowe stolicy – Mirpur, Narayanganj czy Rampurę. Za to podróż w czymś takim po głównych arteriach Dhaki to już sport ekstremalny. Co kilkadziesiąt sekund ocierasz się o śmierć, mijając się dosłownie na milimetry z autobusami, ciężarówkami i luksusowymi terenówkami w klaustrofobicznej drucianej klatce na trzech kółkach, prowadzonej przez faceta bez instynktu samozachowawczego i choćby podstawowej znajomości zasad ruchu drogowego.

Na dnie drogowej populacji Dhaki plasują się jednak rikszarze.

– Prymitywy. Odpychający, uciążliwi, nieprzewidywalni, a poza tym



schorowani i śmierdzący – prychał kierowca, szukając w lusterku mojego spojrzenia, jakby chciał się upewnić, że podzielam jego obrzydzenie. – Wyobraź sobie, że cały dzień pedałujesz w tym upale, wożąc pasażerów, zwierzęta, żywność, materiały budowlane, wielkie bryły lodu dla ekskluzywnych restauracji i wszystko, co tylko ktokolwiek zechce załadować ci do rikszy, w zamian za kilkadziesiąt taka. Ci szmacciarze nie mają nawet oficjalnego cennika. Możesz wsiąść na rikszę, kazać się zawieźć na drugi koniec Dhaki i na koniec dać mu dwadzieścia–trzydzieści taka. Gość będzie się oczywiście domagać pięciu stów, ale co ci zrobi? Widywałem ich już klęczących na ulicach przed klientem. Kundle. – Szofer skrzywił się i zadowolony rozsiadł w skórzanym fotelu służbowej toyoty, którą najwidoczniej uważał za symbol swojego awansu społecznego, choć pracodawca powierzył mu sfatygowany, na oko ponaddwudziestoletni grat trzeszczący na wybojach niczym dziecięca grzechotka z odpustu.

Co do jednego kierowca z pewnością miał rację. Dziesiątki kilometrów mielonych każdego dnia przez rikszarzy nie pozostają obojętne dla ich zdrowia. Najpóźniej po sześciu–siedmiu latach takiej pracy stawy odmawiają posłuszeństwa, w wiecznie przeciążonych mięśniach nóg i pleców powstają nieodwracalne zmiany zwyrodnieniowe. Płuca, które przez cały ten czas zasysały kurz i spaliny, cierpią od pylicy. Oprócz tego dzieńka wystarcza rikszarzon zwykle tylko na podłe jedzenie. Po godzinach śpią więc często pokotem pod dachami miejskich targowisk, na posłaniach ze starych jutowych worków i gazet, a za poduszkę służy im własne ubranie. Podły żywot. Gorszy – jak twierdził szofer – nawet od doli podwórkowego psa, którego też można kopnąć bez powodu, ale za to nikt nie każe mu ciężko pracować cały dzień na miskę strawy. Rikszarzem się rodzisz, jeśli w poprzednim życiu prowadziłeś się niegodnie, na przykład zabiłeś kogoś podczas jazdy samochodem po pijanemu i tłum cię zlinczował, nie czekając na przybycie policji. Allah w Bangladeszu nie jest przecież ani przesadnie zazdrosny o innych bogów, ani tym bardziej wścibski i przy kolacji nie zagląda do kieliszków. Muzułmanie w Bangladeszu – kpił kierowca – coraz częściej wierzą więc w reinkarnację i coraz rzadziej w prohibicję.



Rikszarzem się rodzisz, jeśli w poprzednim życiu prowadziłeś się niegodnie, na przykład zabiłeś kogoś podczas jazdy samochodem po pijanemu.

– A gdybyś miał się odrodzić jako szwaczka w fabryce odzieżowej? – zaryzykowałem pytanie.

Zapadła cisza. Dopiero po kilkunastu sekundach szofer znalazł adekwatną odpowiedź.

– Każdego ranka modlę się, żeby Bóg oszczędził takiego losu moim dwóm córkom – odrzekł wyniośle.

Ruszyliśmy wreszcie z miejsca, w którym zatrzymał nas policjant, i sunęliśmy w ślimaczym tempie w gigantycznym korku, by sforsować najbliższe rondo. Każdego poranka, kiedy do blisko trzech tysięcy zakładów odzieżowych w Dhace pielgrzymują ponad dwa miliony pracowników, ulice stolicy przypominają wnętrze zatłoczonej windy, która pod zbyt dużym

ciężarem pasażerów zacięła się między piętami. Ryk klaksonów łączy się w piekielne unisono. Auto trze o auto, riksza o riksze, człowiek o człowieka. Kopcące ciężarówki bez pardonu wciskają się przed samochody osobowe, a motocykliści i rikszarze zajeżdżają autom drogę, tłuką im po maskach kijami, bębnią rękami w dachy i złorzeczą kierowcom. Ze zdewastowanych, rdzewiejących autobusów, których w Europie nikt nie dopuściłby do ruchu, co chwila wyskakują bez ostrzeżenia pasażerowie, a ich miejsce błyskawicznie zajmują nowi. Na poboczach stada pieszych strachliwie wyczekują na rzadki o tej porze dnia moment, w którym da się bezpiecznie przebrnąć na drugą stronę rzeki samochodów. Tłok to w Dhace stan permanentny, w zależności od pory i dnia tygodnia co najwyżej nieco rzednie lub gęstnieje – do rozmiarów niewyobrażalnych dla przeciętnego Europejczyka, dla którego już dwie zmiany świateł na tym samym skrzyżowaniu stają się zamachem na wolność.

Poranny korek, niczym wielki, dymiący spalinami pleń, sunie wszystkimi arteriami komunikacyjnymi Dhaki, a na każdym kolejnym skrzyżowaniu rywalizuje o pierwszeństwo z innym korkiem. W tych warunkach pokonanie trzech–czterech kilometrów zajmuje zwykle półtorej godziny, czasem nawet więcej. Sygnalizacja świetlna może jedynie bezsilnie przyglądać się z poboczy temu codziennemu rytuałowi. Nikt nie zwraca na nią najmniejszej uwagi. Dhaka ruszyła bowiem do pracy w szwalniach, przędzalniach, farbiarniach, garbarniach i innych sanktuariach najważniejszej religii Bangladeszu, jaką w ostatnim dziesięcioleciu stał się przemysł odzieżowy. Nawet dobiegające z głośników zawodzenia imamów, którzy zgodnie z islamską tradycją pięć razy na dobę wzywają wiernych do modlitwy, brzmią o poranku jak komunikaty brygadzysty z zakładowego radiowęzła.

\*\*\*

Choć minęła dopiero siódma rano, Jemima nie spała już prawie od dwóch godzin. Wczesny kwietniowy świt zastał ją nad węglowym paleniskiem przypominającym mały ogrodowy grill, na którym grzała wodę na śniadanie, siedząc w kucki wraz z innymi kobietami i próbując strząsnąć z oczu lepkie resztki snu. Z oddali niósł się po wodzie smętny głos duchownego śpiewającego właśnie tak zwany *fadžr*, poranną uwerturę do czterech kolejnych codziennych modlitw każdego pobożnego muzułmanina. Kobiety

przy paleniskach zdawały się jednak zbyt pochłonięte bieżącymi czynnościami, by w ogóle zwrócić na to uwagę. Jeden rzut oka na ogień. Drugie czujne spojrzenie w garnek z jego zawartością i wreszcie kilkanaście sekund błogiego półsnu z zamkniętymi powiekami, aż do chwili, gdy instynkt znów każe im spojrzeć na ogień.

Świt na Wyspie nie należy do najprzyjemniejszych. Poranna wilgoć jedynie potęguje duchotę w zaułkach osiedla Jemimy, szczelnie zabudowanego chałupami skleconymi z bambusa i pordzewiałej blachy falistej. Zatęchła zielonkawa woda pobliskiego jeziora Banani bulgocze o tej porze gazami gnilnymi uwalniającymi się z dna, które codziennie wzbogacają woń walających się na brzegu śmieci o nowe, chwilami zaskakujące nuty zapachowe. Kilka dni temu o świcie Wyspa śmierdziała na przykład jak lekko nadpsute owoce. Dzisiaj od brzegu ciągnie czymś zdecydowanie bardziej chemicznym, po trosze smołą, a po trosze przypalonym mlekiem. Na szczęście już niedługo kwietniowe słońce rozgrzeje brzeg, wąskie przejścia między blaszakami osiągną temperaturę właściwą piekarnikom i poranny zaduch wyparuje z Wyspy jak zły sen. Wtedy Jemima będzie już zresztą kilka kilometrów stąd, przy swojej ośmioletniej maszynie do szycia, którą pieśczośliwie nazywa konikiem.



Korail Bosti albo Wyspa, jak mówią jej mieszkańcy na ten skrawek biedy i nieszczęścia wciśnięty między bogate i zadowolone z siebie dzielnice w centrum Dhaki.

– Zmiana zaczyna się o ósmej rano, ale nikt o zdrowych zmysłach nie przychodzi na ostatnią chwilę – tłumaczyła, kręcąc się po mieszkaniu i przeplatając słowa skoczną piosenką, którą nuciła pod nosem na przebudzenie. – Brygadziści co jakiś czas lubią zamknąć bramę wejściową punktualnie o ósmej, a potem rozsiadają się na stołeczku z notesem i spisują każdego, kto spóźni się choćby pół minuty.

Pod koniec miesiąca każdy pracownik fabryki odzieżowej, w której pracuje Jemima, dostaje trzysta taka premii motywacyjnej. Wystarczy dosłownie jedno spóźnienie i po pieniądzech, a Jemima – jak większość szwaczek – nie zarabia nawet minimalnej krajowej pensji, którą po katastrofie Rana Plaza podniesiono do 5,3 tysiąca taka miesięcznie. Z



pomocnicy, najniższego szczebla w fabrycznej drabinie kariery, już w ubiegłym roku awansowała co prawda na operatorkę maszyny do szycia, ale w kadrach jakoś tego awansu nie odnotowano i zarabia wciąż tyle samo – zaledwie cztery tysiące taka. Łatwo obliczyć – dodatkowe trzysta taka premii na koniec miesiąca to więcej niż dniówka, a na Wyspie czasem oznacza być albo nie być. A właściwie jeść albo nie jeść.

– Pod koniec miesiąca dziewczyny co jakiś czas mdleją w pracy. Tak naprawdę nie ma dnia, żeby któreś nie zrobiło się przynajmniej słabo. Oczywiście z głodu – mruzczała Jemima, wlewając do metalowego termosu resztki ryżu i soczewicy z wczorajszej kolacji. – Ja jestem silna jak koń, spokojnie wytrzymam bez jedzenia dwa dni, ale młodsze dziewczęta albo te we wczesnej ciąży? Czasem przykro patrzeć, jak się męczą.



Nowe warstwy śmieci stopniowo powiększają powierzchnię Wyspy o kolejne grząskie metry, które prędzej czy później ktoś zabuduje domami na wynajem.

Na oficjalnych mapach stolicy Wyspa widnieje jako Korail Bosti. W dodatku wcale nie jest wyspą, a jedynie szerokim plackowatym cyplem wciśniętym w jezioro Banani w centrum Dhaki, długie i wąskie rozlewisko o zielonkawych wodach, w których niczym grube węże pływają po powierzchni kable telekomunikacyjne. Mieszkańcy jednak nazwali to miejsce Wyspą, bo wrosło niczym wielki śmierdzący wrzód pomiędzy dwie bogate, zadowolone z siebie dzielnice Banani i Gulshan, w których cudzoziemcy wynajmują klimatyzowane apartamenty ze służbą, międzynarodowe korporacje otwierają biura, a wieczorami można wyskoczyć na wyśmienite sushi za równowartość kwartalnej pensji szwaczki. Teren dzisiejszej Wyspy był położony niżej, zbyt grząski, by postawić na nim murowane budynki, i zbyt niezdrowy, żeby chcieli się tutaj osiedlić cudzoziemcy. Część gruntów należała zresztą do państwowej firmy telekomunikacyjnej powiązanej z armią i deweloperzy nie mogli się do nich dostać nawet za grubą łapówkę. W ten cudowny sposób cypel ostał się nietknięty w centrum przeludnionej stolicy, aż w końcu zasiedlili go ludzie, którzy przywykli do braku wyboru.

Dziś mieszka tu – kto wie – może i sześćdziesiąt tysięcy kobiet, mężczyzn, dzieci i starców. A może dwa razy tyle? Policzyc nie sposób. Jedni wyjeżdżają albo umierają na cholere, inni się wprowadzają i natychmiast płodzą gromady dzieci, które potem ganiają kury po zaułkach osiedla, bawią się półnagie w kałużach i chorują na wszystko, na co tylko dziecko może zachorować. Jedno w każdym razie nie ulega wątpliwości. Mieszkańców na Wyspie przybywa, najlepiej widać to po coraz szybciej rosnących stertach śmieci, które codziennie lądują w wodach jeziora Banani i powiększają powierzchnię cypla o kolejne grząskie metry. Za kilka lat, kiedy odpady osiadą na dnie grubszą i bardziej stabilną warstwą, ludzie przysypią je ziemią, udepczą bosymi stopami, a następnie wbiją w to podłoże długie bambusowe żerdzie, które staną się zawiązką szkieletu kolejnej blaszanej czynszówki dla kolejnych przybyszów. Domek będzie mieć może pięćdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni, którą podzieli się na trzy–cztery pomieszczenia do wynajęcia za jakieś tysiąc taka miesięcznie każde. Wyjdzie średnio po dziesięć–czternaście metrów kwadratowych, czyli w sam raz dla jednej ambitnej czteroosobowej rodziny, która właśnie zaczyna karierę w stołecznym przemyśle odzieżowym.

Dhaka ciągle potrzebuje nowych rąk do pracy. Te stare szybko tracą przecież młodzieńczą zręczność albo palce w prasach i maszynach. Prędezej

czy później znika również zapal, a może raczej desperacja, która sprawia, że człowiek tkwi przy maszynie po dziesięć–dwanaście godzin na dobę z nadzieją, że ktoś dostrzeże i doceni poświęcenie, da podwyżkę i awans. Jakie to szczęście, że na prowincji powodzie, cyklony i inne klęski nieurodzaju co roku rekrutują fabrykom w stolicy ponad czterysta tysięcy<sup>4</sup> kolejnych wygłodniałych pracowników. Przez jakiś czas nadzieja pomoże im tkwić po pięć godzin przy maszynie do szycia bez przerwy chociażby na wizytę w toalecie. Znosić bez szemrania obowiązkowe nocne zmiany, spóźnione wypłaty czy sadystycznych zmianowych, którzy zyskują sobie posłuch wśród pracowników, pastwiąc się nad jedną, losowo wybraną ofiarą. Dopóki jest nadzieja, nie jest najgorzej. Kiedy się skończy, pozostaje ucieczka w ironię.

Dlatego na Wyspie obficie występuje też coś, czego na zdrowy rozum nie powinno być tu wcale: śmiech. Blaszone domki dudnią nim co krok, niczym wielkie odbiorniki radiowe ustawione na tę samą stację. W ciasnych zaułkach chwilami wydaje się, że powietrze zanosí się od śmiechu, a nie gotuje od rozgrzanych ścian. Wyspa śmieje się od rana do wieczora. Perliście i na przekór. Jakby chciała tym śmiechem odpędzić szyderstwa i lekceważenie docierające do niej z drugiego brzegu.

Łodzie kursujące po zielonkawych wodach jeziora Wyspa zwie więc szalupami ratunkowymi, bo na drugim brzegu rozciąga się przecież ziemia obiecana wszystkich sprzątaczek i pomocy domowych zatrudnionych w biurach i apartamentowcach Gulshan czy Banani za dwa–trzy tysiące taka miesięcznie. Pracowników opieki społecznej, którzy w nieskazitelnie czystych ubraniach zstępują tu od czasu do czasu ze swoimi tabelkami do wypełnienia, Wyspa ochrzciła z kolei prorokami, bo do zaoferowania mają zwykle jedynie garść komunałów okraszonych cytatami z Koranu. A gdy czasami poranne słońce oświecili w zaułkach zwłoki odziane w porządną odzież, Wyspa sarkastycznie przekazuje sobie wieść, że znaleziono kolejnego astronautę, bo świadków morderstwa na pewno nie będzie i policjanci jak zwykle zaczną ironizować, że nieboszczyk musiał spaść z nieba.





Na Wyspie można łatwo wtopić się w tłum, znaleźć nowe życie, a jeśli trzeba – także nową tożsamość.

Wyspa znosi samotność z godnością. Zdaje sobie sprawę z tego, że dla sąsiadów po drugiej stronie jeziora jest głównie rezerwuarem nieprzyjemnych woni, a dla pracowników opieki społecznej tanim źródłem danych statystycznych, które można potem sprzedać za ładną sumkę różnym międzynarodowym organizacjom. Dlatego nie narzuca się reszcie Dhaki ze swoją obecnością. Na wielu mapach stolicy Wyspa widnieje jako pusta plama bez nazwy. W nocy, otoczona przez rozświetlone wieżowce Gulshan i Banani, z lotu ptaka przypomina z kolei środek obwarzanka. Niknie w mroku, podobnie jak wielu jej mieszkańców zniknęło w jej trzewiach, kryjąc się tu przed swoim dawnym życiem.

Matka Jemimy, Khadiya Begum, trafiła na Wyspę jakieś pięć lat temu. A może sześć? Dni wyglądają tutaj identycznie i łatwo stracić poczucie czasu.

Khadiya pamięta wyraźnie tylko moment, kiedy z zawiniątkiem na plecach i młodszą córką wysiadła na rogatkach Dhaki z ciężarówki, która zaoszczędziła ich zmęczonym stopom ostatnich kilometrów marszu do stolicy. Właśnie kończył się monsun i szlam, naniesiony przez ulewy na ulice, szybko zmieniał się w słońcu w gryzący kurz. Nozdrza Khadiyi nieprzyzwyczajone do miejskich smrodów natychmiast zaatakował dziwny katar. Kierowca, porządny muzułmanin, ze śmiechem życzył jej błogosławieństwa przy każdym kichnięciu, a na odchodne wytłumaczył, jak dotrzeć na Wyspę, gdzie od pewnego czasu mieszkała już najstarsza córka Khadiyi. „Niemal wszyscy ściągający do Dhaki w poszukiwaniu nowego życia kierują swoje kroki najpierw na Wyspę” – powiedział.

A Khadiya najbardziej potrzebowała właśnie nowego życia.

W poprzednim nosiła nazwisko męża, o którym chciała jak najszybciej zapomnieć, podobnie jak o jego dziwnych eskapadach, kiedy znikał na całe tygodnie i zostawiał ją bez grosza, za to ze schorowanym teściem. Syna jakoś nie mogli się doczekać. Allah nie pobłogosławił i pewnie kryła się za tym głębsza mądrość niebios, bo mąż zaczął z czasem zdradzać objawy choroby psychicznej, a na dodatek zrobił się agresywny. Kiedy zmarł teść, człowiek szlachetny, Khadiya przyrzekła sobie, że nie będzie kosztem najmłodszego dziecka ratować na siłę małżeństwa, które już od dawna było fikcją.

– Powiedziałam Jamalowi, że odchodzę, oczywiście z córeczką. – Khadiya nerwowo poprawiła rękawy tuniki. – Nie wiem, czy już nie rozumiał, co do niego mówię, czy miał to gdzieś, w każdym razie nie zareagował, nawet na mnie nie spojrział. Spakowałyśmy się, poszłyśmy do głównej drogi i wsiadłyśmy do pierwszego autobusu jadącego w stronę Dhaki.

Dziś na Wyspie sąsiedzi znają ją jako ciotkę Khadiyę. Starsze, niepracujące i doświadczone życiem kobiety spoza rodziny często stają się mentorkami i powierniczkami młodych dziewcząt, szczególnie tych, którym Bóg wcześniej odebrał matki. Ciotkę upodobała sobie zwłaszcza piętnastoletnia Taslima z sąsiedztwa. Dziewczyna jakiś czas temu zakochała się w miejscowym chłopaku, oczywiście z wzajemnością, bo niebiosa obdarzyły Taslimę najpiękniejszymi oczami na całej Wyspie. Niestety, rodzice dziewczyny od dawna nie przepadali za rodziną jej ukochanego, nie mówiąc już o tym, że dla najmłodszej córki wyśnili sobie lepszą partię od nastolatka, który z konieczności musiał rzucić szkołę po kilku klasach i teraz pracował w fabryce spodni na najniższym, najgorzej opłacanym stanowisku

pomocnika.

Ale młodzi się uparli. Taslima ubłagała ciotkę Khadiyę, by wytłumaczyła obu rodzinom, że to związek na całe życie, a nie szczenięce zauroczenie. Gdyby przed laty Khadiya poszła do szkoły, pewnie mogłaby porównać gorące uczucie Taslimy z miłością Julii do Romea, ale na Wyspie ani ciotka, ani nikt inny nie słyszał o Szekspirze. Khadiya powiedziała więc rodzicom Taslimy, że jeśli będą trwać w tym oślim uporze, młodzi im w końcu uciekną. W Dhace nie trzeba przecież uciekać daleko, wystarczy przenieść się kilka kilometrów, zmienić fabrykę i znajomych, by rozpułnąć się w tłumie.

Rodzice Taslimy wciąż nie chcieli słyszeć o małżeństwie. Ciotka obiecała więc, że pomoże wychować dzieci. Bez efektu. Dopiero gdy nakłoniła rodziców chłopca do rezygnacji z posagu, dali się przekonać. Ślub odbył się kilka miesięcy temu. Niezbyt huczny, żeby nie denerwować władz, które bezskutecznie próbują wytepić powszechną wśród biedoty praktykę wydawania za mąż niepełnoletnich córek.

Z własnymi dziećmi ciotka ma za to skaranie boskie. Kiedy córki idą do pracy, Khadiya gotuje, pierze, zajmuje się mieszkaniem i modli, żeby Allah wreszcie obdarzył ją wnuczętami. Jemima niedługo skończy dwadzieścia cztery lata. Młodsza córka Jasmina niedawno osiągnęła pełnoletniość, ale żadnej na razie jakoś nie układa się w sprawach uczuciowych. Ilekroć zaczynają rozmowę na ten temat, poirytowana Jemima wykrzykuje, że mężczyźni w Dhace dzielą się na wartościowych oraz na tych, których życie zagoniło do pracy w fabrykach odzieży.

– Tyle że ona spędza przy maszynie pół doby. Gdzie ma spotkać męża, jeśli nie tam? – ciotka Khadiya ściszyła głos, jakby bała się reakcji córki, która już dawno wyszła do pracy. – Jak tak sobie pokaprysi jeszcze kilka lat, to zostanie starą panną. Boże dopomóż, oby jej to nigdy nie spotkało.



Jemima, córka Khadiyi, powtarza, że mężczyźni w Bangladeszu dzielą się na wartościowych oraz takich, których życie zagoniło do pracy przy produkcji odzieży.



Na razie więc stara się jak może odciążyć dziewczęta w domowych obowiązkach. Kiedy późnym wieczorem po ciężkiej dniówce córkom głowy opadają ze zmęczenia, Khadiya jeszcze szoruje garnki po kolacji i obiera warzywa na poranny posiłek. Zrywa się o czwartej nad ranem, żeby zająć kolejkę do kuchenek, bo trzy paleniska przypadają tu na osiemnaście rodzin, a trzeba przygotować i śniadanie, i coś na ząb na długi dzień pracy. Za cały pierwszy posiłek zwykle musi wystarczyć jakiś owoc, ewentualnie pozostałości po kolacji z poprzedniego dnia, zazwyczaj złożonej z ryżu i sosu z soczewicy. Obiad to też głównie ryż, czasem z odrobiną warzywnego curry. Mięso jest za drogie. Częściej na stole lądują małe ryby pływające w każdym większym oczku wodnym. Można je samemu złapać w siatkę albo za kilkanaście taka kupić na targu.

– Więcej w nich ości niż mięsa, ale zawsze to jednak mięso, a do pracy człowiek potrzebuje sił – skwitowała filozoficznie Khadiya.

Z jedzeniem w fabryce trzeba uważać. Ciotka Khadiya przekonała się o tym osobiście, gdy trzy lata temu nadzorca przyuważył ją przy maszynie z owocem guawy. Wyleciała z pracy jeszcze tego samego dnia i choć szefowie obiecywali, że zapłacą jej za dwa tygodnie przepracowane od ostatniej wypłaty, to potem się im odwidziało. Ciotce Khadiyi było początkowo bardzo przykro, bo przecież nikt jej nie ostrzegął, że w hali nie wolno mieć przy sobie owoców. Potem jednak uświadomiła sobie, że nikt nie powiedział również, że wolno.

Jeden z największych problemów z pracą w fabryce odzieżowej polega właśnie na odróżnieniu, co wolno, a czego nie. W większości zakładów nie ma regulaminu pracy. Zdrowy rozsądek i przyzwoitość podpowiadają, że zakaz z pewnością obejmuje spóźnianie się na zmianę, okradanie pracodawcy, plotkowanie z koleżankami przy sąsiednich maszynach oraz lekceważenie poleceń przełożonych. Tyle że im głębiej wejdzie się w dżunglę zasad rządzących codziennością fabryk, tym więcej pojawia się niepisanych, lecz obowiązujących nakazów i zakazów. Pod żadnym pozorem nie wolno na przykład opuszczać stanowiska pracy bez uzasadnionej przyczyny. Taką przyczyną z pewnością jest pełny pęcherz. Z tym drugim, poważniejszym, lepiej poczekać już do końca zmiany, bo nieunikniona w tej sytuacji kilkuminutowa nieobecność przy maszynie często denerwuje nadzorców i potem do samego wieczora czepiają się już wszystkiego. Wtedy oberwać można z byle powodu. Na piętrze, na którym pracowała ciotka,

jeden chłopak wyleciał kiedyś z roboty w zasadzie za to, że pod stołem maszyny nerwowo poruszał stopą.

– Zmianowego strasznie to irytowało, dlatego zarzucił mu, że przez to nie pracuje wydajnie, i kazał zostać przy stanowisku w czasie lunchu. – Khadiya się uśmiechnęła. – Chłopak był krewki, odszczeknął więc, że to jakiś absurd. Zmianowy się postawił, doszło do szarpaniny i wtedy do akcji wkroczył szef zakładu. Młodego oczywiście wywalili na bruk za awanturnictwo.

Przerwa na lunch zaczyna się najczęściej o trzynastej. Już nie obiad czy posiłek. Lunch. To określenie kilka lat temu zadomowiło się w fabrykach w Dhace wraz z PM-ami (*product manager*) oraz supervisorami (nadzorca) od pilnowania, żeby praca szła płynnie, krojczy nie marnowali materiału, a przerwa na lunch nie trwała zbyt długo. W niektórych fabrykach działają kuchnie, w których można podgrzać przygotowany z rana ryż i soczewicę z warzywami, nieliczne oferują nawet catering w cenie skrojonej na kieszeń pracowników. Zwykle jednak na posiłek biegnie się po prostu do domu, a gdy odległość nie pozwala, zjada się to, co się przyniosło. Na zimno, jeśli nie ma kuchni. Jedzenie i tak z trudem przechodzi przez gardło, bo w słowniku pracowników bangladeskich fabryk odzieżowych jest jeszcze jedno angielskie słowo, które ostatnio coraz częściej kłóci się z lunchem.

Target.

Każdy pracownik, od pomocnika aż po szefa linii produkcyjnej, ma wyznaczoną dzienną normę. Jemima w swojej fabryce wszywa na przykład rękawy do T-shirtów. Co godzinę musi zszyć sto dwadzieścia sztuk, dwie na minutę, dziewięćset sześćdziesiąt podczas dniówki. Dla wprawionego pracownika, któremu Allah dał nieco talentu w rękach, to trudne, ale wykonalne. Początkujący są za to bez szans, bo jeśli nawet w godzinę zdążą zszyć te sto dwadzieścia koszulek, ostatecznie i tak spadają poniżej targetu po kontroli jakości, która skrupulatnie wyławia nedoróbki. Z tymi przekłętymi rękawami problem jest taki, że gdy się je wszyje choćby o kilka milimetrów niezgodnie z projektem, szew na ramionach zacznie się marszczyć, sylwetka straci pożądane proporcje i klienta, który gdzieś tam w Ameryce czy Europie zapłacił za T-shirt kilkanaście albo i kilkadziesiąt dolarów, trafi szlag. Supervisorzy, z których większość też kiedyś pracowała przy maszynie do szycia, wiedzą, że trzeba zwracać na to szczególną uwagę i nie okazują litości. Ich też potem rozliczają z każdego źle uszytego T-shirtu, który jakimś cudem przecięśnie się przez kontrolę jakości.



Taslima (z prawej) dzięki mediacji ciotki Khadiyi mogła wyjść za mąż za ukochanego z sąsiedztwa. Dla rodziców dziewczyny był to mezalians – chłopak pracuje w fabryce odzieżowej.

Kwietniowe słońce powoli zachodziło za wieżowce po drugiej stronie jeziora Banani. Zaułki między blaszakami skryły się już w nieprzyjemnym półmroku, a z uliczek poznikały dzieci zwoływane właśnie przez babcie na wieczorną kąpiel i kolację. Dochodziła dwudziesta. Pierwsze szwaczki właśnie docierały do domów. Wśród nich Jemima.

– Zmianę kończymy oficjalnie punktualnie o piątej po południu, ale każdy, kto nie wyrobił targetu, musi zostać za darmo po godzinach i zrobić tyle, ile mu zabrakło do normy. Dopiero potem można ewentualnie poprosić o płatne nadgodziny. – Jemima krążyła nerwowo po mieszkaniu, żeby rozprostować zastane kości. – Niektóre dziewczyny posiedzą dziś pewnie i do dziesiątej. O nadgodzinach oczywiście nie może być mowy, bo kiedy miałybyśmy je wyrobić?

Przed katastrofą w Rana Plaza można było w ten sposób dorobić sobie na w miarę godne życie. Ciotka Khadiya w swojej pierwszej fabryce miała na przykład dwa tysiące taka pensji, ale dwa razy tyle dostawała co miesiąc za półtorej do dwóch nadgodzin dziennie. Pracodawcy byli hojni, bo z reguły po godzinach realizowało się ekstra płatne zlecenia.

Po katastrofie w Savarze właściciele fabryk nie chcą już dawać nadgodzin. Tłumaczą pracownikom, że zachodni kontrahenci krzywo patrzą na pracę po zmianie, ponieważ boją się kontroli organizacji walczących o prawa pracownicze, które w każdej chwili mogą ogłosić bojkot marki zmuszającej do niewolniczej pracy po godzinach. Oczywiście zachodnie marki nie godzą się również na dłuższe terminy realizacji zleceń. Raz ustawiony i naoliwiony mechanizm dostaw dla międzynarodowych koncernów odzieżowych tyka w swoim starym rytmie, ustawianym na coraz większą wydajność i szybkość dostaw, nie chce tylko zostać ponownie wmieszany w jakąś kolejną Rana Plaza. Właściciele fabryk coraz bardziej śrubują więc pracownikomienne targety w ramach tej samej pensji i tłumaczą personelowi, że albo dostosuje się do oczekiwań zleceńodawców, albo zlecenia popłyną do innych fabryk. To się nazywa globalizacja. A może tylko wykorzystują atmosferę nagonki na nadgodziny, żeby na nich zaoszczędzić? Tego na Wyspie nikt nie zdoła rozstrzygnąć.

– Pewne jest tylko to, że moje córki z nadgodzin nie wyciągają teraz



więcej niż po tysiąc czterysta taka miesięcznie, ale wcale nie przychodzą wcześniej z pracy – podsumowała ze smutkiem ciotka Khadiya. – Jestem szczęśliwa, kiedy widzę je tu z powrotem o ósmej.

Pośpiech w pracy sprzyja za to wypadkom. Zanim człowiek na swoim stanowisku nabierze mechanicznej pewności ruchów, mijają miesiące, podczas których walczy się z czasem i ze zmęczeniem. W fabryce na co dzień słychać przede wszystkim monotonię. Maszyny terkoczą rytmicznie, z prasowalnic z sykiem ucieka para, windy grzechoczą między piętrami. Na takim koncercie, w dusznej hali, łatwo odpłynąć myślami poza fabrykę, do domu, dzieci i posiłku albo do miłych wspomnień. Jeśli do rzeczywistości przywróci cię tylko krzyk poirytowanego zmianowego, możesz uważać się za szczęściarza. Bo taka chwila roztargnienia może się też skończyć ręką doszytą do materiału, odciętymi palcami albo twarzą poparzoną parą lub chemikaliami.

Przepisy bezpieczeństwa nakazują, aby w każdej fabryce był kącik pierwszej pomocy z przeszkolonym sanitariuszem. W największych i najlepszych zakładach czasem trafiają się nawet lekarze, zazwyczaj ginekolodzy, bo potrafią i założyć szwy na rozciętą rękę, i pomóc w przypadku damskich przypadłości, a w halach fabrycznych dominują przecież kobiety. Gdy jednak stanie się coś poważnego, tak czy inaczej ląduje się w szpitalu, gdzie już nie obejdzie się bez pieniędzy, chyba że ma się szczęście w nieszczęściu i leczenie akurat finansuje jakaś fundacja charytatywna. Na Wyspie szwaczki opowiadają sobie teraz tę samą historię, która porusza slumsy w Mirpurze i w Narayanganj. Ponoć ostatnio pewnemu mężczyźnie ciężarówka na rampie załadunkowej paskudnie połamała obie nogi. Z bólu stracił przytomność. Życie uratowali mu koledzy – szybko zatamowali szmatami krwotok z tętnic porwanych przez złamane kości. Szczęśliwie świadkiem zdarzenia był sam właściciel fabryki. Prezes, który okazał się głęboko wierzącym muzułmaninem, osobiście kazał zawieźć biedaka do szpitala, a gdy powiedziano mu, że koszt leczenia wyniesie milion taka, czyli prawie trzynaście tysięcy dolarów, bez mrugnięcia okiem sięgnął po firmową polisę. Właściciel każdego zakładu powinien wykupić zbiorcze ubezpieczenia kosztów leczenia dla całego personelu i z reguły prezesi stosują się do tego przepisu. Problem w tym, że każda wypłata podnosi koszt polisy w kolejnym roku, dlatego fabrykanci wolą z nich nie korzystać. W razie kłopotów wystawia się po prostu pechowego pracownika za bramę i

każe wrócić, kiedy wydobrzeje. Tamten właściciel fabryki musiał jednak być wyjątkowym człowiekiem, bo nie tylko opłacił leczenie w szpitalu, lecz także zgodził się potem płacić poszkodowanemu normalną pensję przez cały okres rekonwalescencji. Prawdziwe zwolnienie lekarskie! Gdyby wszyscy fabrykanci mieli taki gest, w Bangladeszu żyłoby się o niebo lepiej.

Ale szwaczki mają wątpliwości, zastanawiają się, czy to w ogóle prawda. Żadna nigdy nie zetknęła się z podobną hojnością. Ciotce Khadiyi cztery lata temu maszyna przyszywająca guziki ucięła na przykład opuszek palca wskazującego. Odcięty fragment spadł na podłogę między ścinki, a krew zaplamiła gotowe ubrania. Nadzorca linii dostał szału, zwyzywał ją od niezdarnych krów i ciotka musiała natychmiast przerwać pracę. Na szczęście była w nie najgorszych relacjach z sanitariuszem pracującym w fabryce, odcięty kawałek dotarł więc do lekarza należycie zabezpieczony i dało się go przyszyć za cztery tysiące taka. Czucia w skaleczonym palcu Khadiya nie odzyskała do dziś, ale i tak warto było zapłacić. Jej miejsce przy maszynie natychmiast zajęła przecież inna szwaczka i ciotka musiała znaleźć sobie zatrudnienie. Kobiecie w jej wieku, z uszkodzonym palcem wskazującym, nikt nie dałby nawet zamiatać hal fabrycznych.

– Zdarzy ci się wypadek albo poważniej zachorujesz, to masz poważne kłopoty – posapywała Khadiya, wierząc się na łóżku przykrytym kolorową ceratą, która zabezpieczała posłanie przed brudem, a czasem z konieczności służyła nawet za prowizoryczny blat kuchenny. – Dwa, trzy dni może i by zaczekali z szukaniem zastępstwa. Ale jak cię nie ma z tydzień, to już wiesz, że wrócić możesz najwyżej po to, żeby zapytać, czy przypadkiem nie zwolniło się inne miejsce. Na Allaha, ile pięknych przyjaźni się przez to skończyło! Ktoś zachorował i pracę po nim dostał znajomy, który zachorował jeszcze wcześniej. Potem ludzie mają do siebie pretensje, choć w takiej sytuacji sami pewnie też by nie odrzucili posady – westchnęła.

\*\*\*

Dwudziestoletnia Rahina z Mirpuru, której 26 marca 2014 roku tłum złamał nogę, wzięłaby nawet pracę własnej siostry. Ludzie, jak mówi, instynktami niewiele różnią się od zwierząt. Z wczesnego dzieciństwa na wsi dziewczyna zapamiętała kurczęta, pchające się na siebie bez opamiętania, kiedy sypnęło się im ziarnem. Wieczorem babka lub dziadek niemal codziennie wynosili z

klatki po kilka zaduszonych piskląt. Tu, w Mirpurze, na osiedlu z blaszaków wzniesionym na palach może metr nad powierzchnią cuchnącej wody, ludzie też tłoczą się codziennie jak kurczęta przy karmie. Rankiem, gdy wszyscy spieszą się do pracy, w wąziutkich przejściach oddzielających od siebie blaszane domki czasem tworzą się wręcz ludzkie korki; wystarczy, że komuś noga wpadnie między deski pomostów, a drogę na stały ląd błyskawicznie tarasują szwaczki pędzące na zmianę. W tym porannym ścisku nie ma jednak agresji.

– Ja to nawet lubię, łatwiej gna się do pracy, widząc, jak inni też walczą o to chwilę dłużej w domu z bliskimi – zaśmiała się Rahina. – Szkoda – ciągnęła już poważnym tonem – że w Bangladeszu potrafimy też zadeptywać się niemal na śmierć właściwie bez powodu.

Pamiętnego wieczoru 26 marca wyniesiono ją z tłumu półżywą. Ktoś niechcący kopnął ją w twarz. Krew zaplamiła jej ubranie i skrzepła na rzesach w ohydne grudki, które czuła przy każdym mrugnięciu. Wybity ząb na zawsze przepadł gdzieś na ulicy.



Przymusowe uczestnictwo w próbie bicia rekordu Guinnessa kosztowało Rahinę złamaną nogę, a w rezultacie – posadę. Nie wiadomo, czy szef przyjmie dziewczynę z powrotem, gdy noga się zrośnie.

Kilka godzin wcześniej na trzecie piętro fabryki, w której pracowała Rahina, wdrapał się zdyszany kierownik zmiany i oznajmił, że na polecenie samego właściciela zakładu cały personel zaraz po pracy ma się udać na jeden z placów w centrum Dhaki, gdzie z okazji narodowego święta niepodległości odbędzie się próba bicia rekordu Guinnessa w liczbie osób jednocześnie śpiewających hymn. Organizatorem imprezy był dobry znajomy chlebobdawcy Rahiny. W Bangladeszu bogacze uwielbiają finansować próby bicia rekordów Guinnessa o zabarwieniu patriotycznym, oczywiście po to, żeby przypodobać się rządowi; ostatnio uszyto więc na przykład największą flagę. Na wypadek, gdyby jednak pracownicy nie wykazali zapału do całego przedsięwzięcia, nadzorca zapowiedział, że na placu będą sprawdzać obecność. Rahina wraz z koleżankami szybko doszły do wniosku, że to czcze pogrożki. W chaosie kilkudziesięciotysięcznego tłumu, w którym wszyscy krzyczą i napierają równocześnie w wielu kierunkach, ciężko się nie zgubić dwóm osobom, a co dopiero porachować setki pracowników. Mimo wszystko kobiety postanowiły iść. Na ich piętrze pracowały ze cztery setki ludzi i jakoś nikt nie odważył się powiedzieć wprost, że ma gdzieś rekordy Guinnessa, a po pracy woli pobawić się z dziećmi.

Próba z hymnem się powiodła, ale o tym Rahina dowiedziała się dopiero nazajutrz, z radia. Sama niewiele z niej pamięta. Straciła przytomność tuż po tym, jak padła na chodnik pod napierającym od tyłu tłumem, a na brzuchu, ramionach oraz twarzy poczuła podeszwy sandałów i bose stopy. Kilka sekund wcześniej ktoś z przodu zaczął krzyczeć, że organizatorzy próby będą rozdawać pieniądze i kupony na jedzenie. Ocknęła się dopiero w CNG, w drodze do szpitala, w asyście dwóch koleżanek, którym cudem udało się wyjść z tego wariactwa bez zadraśnień.

– Z rozbitej głowy sączyła mi się krew, na całym ciele miałam siniaki, ale najgorsza była noga, cała spuchnięta, bolała nawet przy lekkim dotyku. W CNG jeszcze się łudziłam, że to tylko zwichnięcie, ale lekarze od razu

powiedzieli, że to złamanie. Złożyli kość, założyli gips i wystawili rachunek. Wyszło ponad pięć tysięcy taka za samą nogę, bo resztę kazałam im zostawić bez opatrunków. – Wspominając próbę bicia rekordu Guinnessa, Rahina wciąż trzymała przed sobą wyprostowaną nogę. – Miesięcznie zarabiałam siedem tysięcy, jestem starszym operatorem maszyny do szycia i umiem pracować aż na czterech różnych modelach. Sąsiedzi dorzucili się do rachunku, bo zawsze sobie pomagamy w takich sytuacjach, ale i tak zostałam bez grosza. O, dosłownie. – Dla podkreślenia dramatyzmu własnego położenia dziewczyna wywróciła na lewą stronę kieszenie seledynowych szarawarów, z których wypadły tylko jakieś okruszki.

W całym tym nieszczęściu przynajmniej noga zrasta się bez komplikacji. Rahina zdjęła już gips, bo ciężko jej było wytrzymać w upale, i próbuje delikatnie ją obciążać, ale bez kul, na które jej nie stać, potrafi zrobić raptem kilka kroków. Najczęściej porusza się więc, skacząc na zdrowej nodze jak pasikonik – jeden skok, chwila odpoczynku i potem kolejny. Lekarze przestrzegli ją, że po tak poważnym złamaniu powrót do pracy wcześniej niż za trzy miesiące nie wchodzi w rachubę. Wystarczy jedno mocniejsze uderzenie i kość znowu pęknie, a wtedy nie obejdzie się już bez śrub wwiercanych w nogę, metalowego usztywnienia i jeszcze wyższego rachunku.

W pracy oczywiście nie chcą jej już widzieć. Dostała wprawdzie od szefa na pożegnanie parę groszy, bo chyba męczą go wyrzuty sumienia, ale ta gotówka dawno się skończyła. Teraz każdy miesiąc dzieli się na kilka pierwszych dni, gdy z domu błyskawicznie znikają pieniądze, i pozostałe, które Rahinie, jej matce i dwóm niepełnoletnim siostronom upływają już w monotonnym rytmie burczących brzuchów.

Po wypadku ich domowy budżet skurczył się do zaledwie trzech tysięcy taka, czyli niespełna stu złotych. Kilogram najpodlejszego ryżu, który czterem kobietom wystarcza najwyżej na dwa posiłki, kosztuje tymczasem na targu trzydzieści–czterdzieści taka, czyli półtora–dwa złote. Świeża ryba to już wydatek rzędu siedemdziesięciu–stu taka. Smaku wołowiny czy kurczaka nie ma sensu nawet sobie przypominać. Na kilogram podłego, czasem zalatującego już mięsa trzeba przeznaczyć minimum dwieście pięćdziesiąt taka. A przecież połowę z tych nędznych trzech tysięcy taka na początku każdego miesiąca odbiera poborca czynszu, starszy zgorzkniały człowiek o zimnych oczach, którego strach nawet poprosić o zdjęcie butów w progę, a



co dopiero o chwilową obniżkę.



Dzieci Wyspy. Wiele z nich nigdy nie opuściło rodzinnego osiedla. Kurs łódką na drugi brzeg kosztuje około dwudziestu taka. Tyle ile niecały kilogram najpodlejszego ryżu.

Trudno powiedzieć, czy półtora tysiąca taka to uczciwa stawka za te dwanaście metrów kwadratowych skleconych z blachy falistej przymocowanej do bambusowego szkieletu i z klepiskiem zamiast podłogi. Aby to ocenić, trzeba by mieć skalę porównawczą, a Rahina niemal przez całe życie mieszkała w miejscach takich jak to. Nowością była przez jakiś czas elektryczność, którą ze dwa lata temu doprowadziła do ich osiedla zachodnia fundacja charytatywna. Ostatnio kobiety oszczędzają jednak, na czym tylko się da, i doszły do wniosku, że zamiast prądu lepiej mieć dostęp do czystej wody, którą za trzysta taka miesięcznie od rodziny dowożą do ich

osiedla cysternami. Z sufitu bezradnie spogląda więc na Rahinę nieruchomy wentylator, a za dnia mieszkanie nagrzewa się jak piec. W porze monsunu deszcz bębni z kolei w metalowy dach niczym jakiś opętany muzyk. Dla ochrony dobytku przed wodą, która po dużych opadach może błyskawicznie zalać mieszkania, większość rzeczy kobiety trzymają na półkach zawieszonych wysoko pod sufitem. Kuchenki są opodal, kilka palników na gaz, za który trzeba tu zapłacić kolejne pięćset taka miesięcznie, więc Rahina i jej matka coraz częściej gotują na ognisku rozpalonym z odpadków walających się na ulicach. Trochę odsunęły się przez to wszystko od sąsiadów i znajomych. Pościć, umartwiać się i szlachetnie biedować na inne sposoby to mogą sobie duchowni i pustelnicy. Zwyczajny człowiek, jak mówi Rahina, nigdy nie odnajdzie w smaku ubóstwa niczego poza goryczą. Zwłaszcza kiedy uświadomi sobie, że nie jest biedakiem wśród bogaczy, lecz tylko najbiedniejszym z biednych.

– Ilekroć spotykam sąsiada, zaczynam się martwić, co zrobimy, kiedy ktoś w okolicy poważniej zachoruje. Mnie sąsiedzi pomogli zapłacić za leczenie, ale to oznacza, że przy najbliższej okazji będę się musiała odwdzięczyć. Powinnyśmy dołożyć jakieś sto–dwieście taka, a tyle potrzebujemy codziennie na jedzenie. Jak ktoś zachoruje, trzeba będzie wybierać między honorem a żołądkiem – martwiła się Rahina.

Jakiś czas temu mieszkała tu po sąsiedzku Asma. Nikt w okolicy już nie pamięta, co się stało z jej rodzicami, pewnie zmarli, w każdym razie dziewczyna od dawna była sama, ale jak na sierotę radziła sobie całkiem nieźle. Zatrudnienie znalazła nieopodal w fabryce swetrów, zawieszała metki na gotowych produktach. Ładnie śpiewała, a dzieci do niej lgnęły. Wysoka, uprzejma i dobrze wychowana, choć odrobinę zdystansowana, jak każda samotna kobieta, która musi trzymać z dala od siebie niewłaściwych mężczyzn, bo takim zwykła damska delikatność i wdzięk mylą się często z rozwiązłością. Asma na pewno nie była z tych kobiet, o których słyszy się, że krzykliwie ubrane i umalowane przesiadują po hotelowych kawiarniach, czekając, aż miły cudzoziemiec zaproponuje im kawę i zaprosi na górę do pokoju. Podobno za jeden taki wieczór można dostać nawet równowartość półrocznej pensji w fabryce.

Pewnego dnia Asma wróciła z fabryki zapłakana. Zmianowy wypatrzył na jej dłoni i szyi dziwne zmiany skórne. Dziewczyna próbowała go uspokajać, że takie wypryski systematycznie robią się jej od zanieczyszczonej wody w



okolicy i że wysypka zazwyczaj znika równie szybko, jak się pojawia. Na próżno. Szef zmiany zbeształ ją przy wszystkich za narażanie reszty pracowników na kontakt z tym paskudztwem, kazał natychmiast wynosić się z fabryki i zabronił nawet zbliżyć się w przyszłości do bramy zakładu.

– Na koniec rzucił jeszcze, że pewnie złapała tę francę od jakiegoś mężczyzny. – Rahina pokiwała głową. – To ją dobiło. Pamiętam, że płakała wtedy całą noc, nie potrafiłyśmy jej uspokoić ani pocieszyć. Przestała wychodzić z domu.

Asma zachorowała na wiosnę, z pewnością jeszcze przed monsunem. Kiedy jesienią przestało lać, całe ciało miała już pokryte bolesnymi białymi bąblami. Niektóre nawet pękały i sączyła się z nich krew zmieszana z ropą. Sąsiedzi próbowali pomagać tyle, ile byli w stanie, podsuwali zioła i inne domowe specyfiki, w końcu jednak sami zaczęli się bać. Asma, żywiąca się resztkami ryżu i warzyw, które dobrzy ludzie zostawiali jej przed drzwiami, upodobniła się do powleczonego pergaminem kościotrupa. Na lekarza nie miała pieniędzy, a mieszkańcy okolicznych blaszaków, zwykle solidarni w takich sytuacjach, nagle sobie przypomnieli, że Asmie dwa czy trzy razy zdarzyło się odmówić tych paru groszy na leczenie kogoś z okolicy. Tłumaczyła wówczas, że nie ma z czego się dołożyć. Wkrótce sprzed drzwi mieszkania dziewczyny zniknęły więc naczynia z resztkami jedzenia. Sąsiedzi doszli do wniosku, że też nie mają z czego jej dokarmiać.

Pewnego dnia z blaszanego osiedla na obrzeżach Mirpuru zniknęła również Asma.

– Przykre, ale nikt nawet nie wie, co się stało. Czy wyrzucił ją właściciel lokalu, bo przecież od dawna nie płaciła czynszu, czy może jacyś litościwi ludzie zabrali ją w końcu do szpitala? – zastanawiała się Rahina. – A może wieczorem poszła po wodę i wpadła do tego kanału za domem? O własnych siłach na pewno nie mogła się nigdzie oddalić.

Pewnie, że można było zrobić dla niej więcej. Przyjąć pod dach, zaciągnąć do lekarza nawet siłą, w ostateczności zataszczyć w kocu pod pobliską świątynię, gdzie może zaopiekowałiby się nią pobożni wierni. Tyle że Asma – zdaniem Rahiny – sama zwolniła sąsiadów ze współodpowiedzialności za swój los, obnosząc się ze swoją biedą wśród równie biednych.

– Spójrz, tu nie ma ludzi mniej lub bardziej pewnych jutra. Nikt nie wie, czy za tydzień będzie miał jeszcze co jeść – stwierdziła. – Na zdrowy rozum właściwie nikogo z nas nie stać na pomaganie sąsiadowi. Ale właśnie dlatego

nie można odmówić, kiedy ktoś prosi o pomoc. I dlatego teraz nie śpię po nocach, głowiąc się, co odpowiedzieć, kiedy ktoś zapuka z kolejną sąsiedzką zrzutką.

Matka Rahiny pracowała kiedyś w fabryce odzieżowej. Teraz jest już na to zbyt słaba i schorowana, nikt jej nie zatrudni. Ale jako sprzątaczką w jednym z apartamentowców w dzielnicy Banani zasuwa jeszcze ciężiej i nikt jakoś nie boi się, że złożono na jej barki zakres obowiązków nieadekwatny do wieku i stanu zdrowia. Z chorym kręgosłupem mama z pewnością nie powinna biegać po piętrach z ciężkimi koszami z wilgotnym praniem ani zgięta w pół zamiatać wiklinową miotłą granitowych posadzek. Powinna siedzieć w domu i bawić pierwsze wnuczeta. Tyle że w Bangladeszu wdowa po niezamożnym mężczyźnie rzadko robi to, co powinna. Zwykle robi to, co musi.

Matka Rahiny musi na przykład błyskawicznie zniknąć. Kiedy na dziedzińcu apartamentowca pojawia się któryś z zagranicznych mieszkańców, matka natychmiast zniką ze swoją miotłą za żywopłotem na kategoryczne polecenie pracodawcy, który jest przekonany, że Amerykanie czy Niemcy nie po to przyjeżdżają do Bangladeszu, żeby zaraz po śniadaniu natykać się na czterdziestoparoletnie pomarszczone wcielenie biedy i desperacji. Matka przyjęła to polecenie z pogodną rezygnacją. W jej wieku kobiety nie pamiętają już, jak to jest przyciągać na ulicy męskie spojrzenia, właściwie więc szef nie oczekiwał od niej niczego nadzwyczajnego.

Najtrudniej zniką się w korytarzach. Czasem drzwi apartamentu otwierają się bez ostrzeżenia i wtedy matka Rahiny może tylko jeszcze niżej pochylić się nad miotłą, by uciec wzrokiem przed spojrzeniem cudzoziemców. Bo ci z zagranicy wcale nie są wyniośli, zwykle próbują nawet zagadywać sprzątaczkę po angielsku, co byłoby może i zabawne, gdyby tylko szef nie toczył piany na widok personelu ćwierkającego sobie z lokatorami. Pod tym względem pryncypał jest zasadniczy, zwalnia z pracy nawet wtedy, gdy któraś ze sprzątarek wda się w rozmowę na migi, przyciśnięta do muru przez obcokrajowców. Pracownikom przykazano przecież, że mają nie dopuszczać do sytuacji, w których tego typu spotkania będą możliwe. Dlatego na wszelki wypadek sprzątaczkę w ogóle nie zaglądną do wind. Trzy razy w tygodniu musi je posprzątać odzwierny i szlag go trafia, że przypada mu w udziale tak niemęskie i niehonorowe zadanie.



W Bangladeszu beztroskie dzieciństwo to wciąż luksus, na który nie wszystkich stać.

Pensja za znikanie w apartamentowcu jest ponoć adekwatna do realiów rynku pracy w Dhace. Matka Rahiny nie wie wprawdzie, o jakie realia chodzi, ale z pewnością nie o ceny żywności czy zarobki w fabrykach odzieżowych. Te żebracze trzy tysiące taka miesięcznie, które zarabia jako sprzątaczką, to przecież mniej od najniższej pensji fabrycznych pomocników, którzy na początek dostają po 3,5–4 tysiące taka miesięcznie. Ale w fabrykach pracy nie ma. Właściciele zakładów, mając do wyboru wytrzymałe, zwinne i już doświadczone w zawodzie dwudziestolatki, nie zatrudnią przecież schorowanej kobiety po czterdziestce. Ostatnio rzadziej zatrudniają nawet nastoletnie dziewczyny i chłopaków jako pomocników, by uczyli się zawodu, podglądając starszych. Fabryki w Dhace stają się przecież coraz nowocześniejsze, a to oznacza, że coraz więcej pracy wykonują w nich

maszyny. Jeszcze cztery–pięć lat temu terminowanie w branży odzieżowej zaczynało się więc od zamiatania podłogi w hali produkcyjnej i noszenia bel materiałów na grzbiecie. Dziś w największych zakładach, w których hale są wielkie jak boiska sportowe, a na jednym piętrze pracuje i po tysiąc osób, odkurza się odkurzaczami przemysłowymi, materiały rozwożą windy oraz wózki widłowe i żaden szanujący się fabrykant nie pozwoli, żeby po fabryce plątała się bez celu zgraja młodocianych pomocników albo podstarzałych sprzątaczek. Oprócz tego odkurzacz – jak zauważyła z błyskiem w oku Rahina – ma nad ludźmi jeszcze jedną przewagę.

– Nikt mu nie zarzuci, że jest niepełnoletni – zachichotała. – Sama zaczęłam pracę, nie mając skończonych piętnastu lat, ale znam sporo dziewczyn, które do fabryki zaczęły chodzić przed dwunastymi urodzinami. Wielka mi rzecz, trzeba było iść do pracy, no to poszłam. – Wzruszyła ramionami.

Niecierpliwie czekałem na moment, kiedy któryś z moich bangladeskich rozmówców choćby napomknie o pracy nieletnich. Obawiałem się, że jeśli to ja pierwszy poruszę ten drażliwy temat, rozmówcy z ostrożności lub po prostu z grzeczności powiedzą nie to, co naprawdę myślą, lecz to, co w ich mniemaniu chciałbym od nich usłyszeć. Co może myśleć o pracy dzieci przeciętny Europejczyk, słyhać z zachodnich mediów dostatecznie donośnie, by wieści o tym dotarły nawet do slumsów Dhaki. Czytając komentarze w internecie pod pierwszym lepszym artykułem o produkcji odzieży w Bangladeszu, łatwo nabrać przekonania, że właściciele tutejszych fabryk porywają szkolne autobusy, a zapłakane nastolatki pod batem nadzorców usychają przy liniach produkcyjnych z tęsknoty za rodzicami. Postępowy europejski światopogląd domaga się dla małoletnich prawa do beztróskiego dzieciństwa i niestety nazbyt łatwo zapomina, że w wielu skrajnie biednych krajach to nadal przywilej, na który nie wszystkich stać.

Jeśli chodzi o szkolnictwo, Bangladesz na papierze nie różni się właściwie od przeciętnego kraju Unii Europejskiej z zapisem w konstytucji o prawie do bezpłatnej edukacji dla dzieci i młodzieży od szóstego do osiemnastego roku życia. W praktyce darmowe szkoły nie istnieją i nawet w najtańszych rządowych podstawówkach rodzice są skazani na comiesięczną zrzutkę na przybory szkolne, wodę, elektryczność i Allah raczy wiedzieć, co jeszcze

wymyśli dyrekcja. Te dodatkowe opłaty – a w rzeczywistości zamaskowane czesne – wahają się od trzystu taka miesięcznie w przypadku najtańszych placówek do nawet siedmiu tysięcy taka za miesiąc nauki w szkole, która ma renomę i przyciąga lepiej sytuowanych rodziców. Trzysta taka to równowartość miesięcznej premii uznaniowej szwaczki. Siedem tysięcy w odzieżowce to już dobra miesięczna pensja, na którą można liczyć dopiero po kilku latach stażu w branży.

Dlatego praca nieletnich w fabrykach odzieżowych to czasem efekt wyrachowania i ciasnych horyzontów myślowych ich rodziców, o wiele częściej jednak rezultat bolesnego wyboru między kontynuacją nauki a niedożywieniem. W Bangladeszu głód to nie pojęcie z podręczników historii, lecz wciąż realne zagrożenie. Ostatnia wielka plaga głodu, wywołana katastrofalnymi powodziami z 1974 roku, które zniszczyły plantacje ryżu, kosztowała życie – jak szacowali wysłannicy ONZ – nawet pięćset tysięcy osób. Nawet dziś dieta przeciętnej robotnicy w fabryce odzieżowej w Dhace pokrywa najwyżej 74 procent dziennego zapotrzebowania na kalorie i zwykle składa się z dwóch posiłków, zdominowanych przez podłej jakości ryż oraz soczewicę. W slumsach nadal jest mnóstwo rodzin, których cały majątek składa się z koca służącego za łóżko, garnka do gotowania oraz słoja z ryżem, często świecącego już dnem. W piramidzie ich wartości edukacja wcale nie jest niedoceniana. Przeciwnie, uchodzi za towar luksusowy, równie pożądany, co nieosiągalny z racji kosztów. Przeciętna szwaczka zapytana o swoje największe marzenie natychmiast odpowiada, że chciałaby zapewnić dzieciom wykształcenie, dzięki któremu unikną tak podłego losu, jaki jej przypadł w udziale.





Sieroty, które przygarnął pod dach zakładu właściciel fabryki. „Nie są to najszcześniejsze dzieci na świecie. Ale w okolicy są też takie, z którymi los albo rodzice obchodzą się jeszcze okrutniej” – twierdzi ich szef.

Ten sam mechanizm sprawia, że zatrudnienie dwunastolatka do sprzątnia sali czy podawania herbaty w biurze staje się bardziej gestem charytatywnym niż decyzją biznesową, którą można by rozpatrywać w kategoriach relacji kosztów do zysków, bo i jedne, i drugie są znikome. Ale działacz zagranicznej organizacji pozarządowej, żyjącej wygodnie z grantu na zwalczanie pracy nieletnich, raczej nie będzie skłonny roztrząsać takich niuansów. Po wizycie w fabryce zatrudniającej dzieci zgłosi sprawę do centrali, ta zaś błyskawicznie rozpęta propagandowe piekło, co zmusi firmy zamawiające odzież w tym zakładzie do przeniesienia zleceń do innej fabryki – oczywiście takiej, której się dotychczas poszczęściło i nikt jeszcze nie przyłapał jej oficjalnie na zatrudnianiu nieletnich. Potem wszyscy naturalnie odtrąbią sukces. Organizacja pozarządowa zwalczyła kolejne ognisko biznesowych wynaturzeń, a koncerny odzieżowe zapiszą sobie w raporcie CSR, jak czułe są na tego typu sygnały. Losem nastoletniej sieroty, która dotychczas żyła z zamiatania podłogi w fabryce i serwowania herbaty, nikt nie będzie sobie oczywiście zawracać głowy.

Nic więc dziwnego, że nauczeni doświadczeniem właściciele fabryk nie próbują już tłumaczyć świata, że tak zwana odpowiedzialność społeczna biznesu co innego oznacza w Dhace i Cöttogramie, a co innego w Lozannie, Nowym Jorku czy w Krakowie. Zamiast tego gładko sprzedają taką prawdę, jaką chcą usłyszeć od nich cudzoziemcy. Ot, jeszcze jedna usługa świadczona zachodnim kontrahentom przez miejscowy przemysł odzieżowy. Jeśli możemy wyprodukować wam ładne ciuszki, elegancko je ometkować i zapakować, to przecież możemy też dodać w pakiecie błogie przeświadczenie, że wszystko to odbywa się w niemal rajszych warunkach.

Długo szukałem fabryki, w której mógłbym stanąć twarzą w twarz po prostu z pracującymi dziećmi, a nie dziećmi, którym kazano udawać pełnoletnich pracowników. Udało się przypadkiem w Nitaigonj, na dalekich peryferiach Dhaki, gdzie na końcu wąskiej uliczki, na skraju bananowego zagajnika natknąłem się na małą fabrykę, a właściwie manufakturę odzieżową. Zakład mieścił się w jednej hali wielkości może dwóch szkolnych klas, a przy maszynach, ustawionych w podkowę wzdłuż ścian, tkwiło tu w potwornym upale dwudziestu–trzydziestu pracowników. Niemal wszystkie kobiety – wyjaśniał mi z niesmakiem właściciel fabryczki, młody dandys z włosami



lśniącymi od żelu – pracowały w pobliskich zakładach przerabiających zużytą odzież. Jemu niestety zostali tylko faceci.

– Lenie, a do tego jeszcze fajtlapy – wyliczał wady męskiego personelu, machając mi przed nosem drogimi okularami przeciwsłonecznymi, z których był wyraźnie bardzo dumny. – Jedna szwaczka w godzinę zrobi tyle samo co tych czterech tutaj, no i niczego sobie przy tym nie utnie. A oni – znów popatrzył z politowaniem w stronę pracowników – co chwila latają do apteczki.

Fabryczka kończyła właśnie zlecenie od dużego zakładu, który najwidoczniej nie był w stanie wyprodukować towaru na czas i część zamówił po prostu gdzie indziej<sup>5</sup>. Pośrodku podkowy ustawionej z maszyn do szycia urzędowało na podłodze trzech chłopców. Gdy któryś z mężczyzn przy maszynie kończył szyć koszulę, zrzucał ją przed siebie na posadzkę. Jeden z chłopców doskakiwał wówczas błyskawicznie i zanosił ubranie na stos piętrzący się pośrodku hali, przy którym siedzieli w kucki jego koledzy. Chłopcy odcinali z każdej sztuki zwisające nitki, a następnie sortowali ubrania podług koloru i rozmiaru. Od jakichś pięciu godzin bez przerwy.

Właściciel fabryki chyba odczytał moje myśli z wyrazu twarzy, bo nagle przestał machać okularami.

– Jeden właśnie skończył dziewięć lat, pozostali mają już prawie trzynaście – wyjaśnił lekko zmieszany. – Ci starsi to sieroty, które przygarnęliśmy, śpią u nas w zakładzie. Najmłodszy, Razin, mieszka po sąsiedzku. Matka, samotna szwaczka, rano odstawia go nam do fabryki i sama gna do pracy.

Zamiast pensji chłopcy dostawali tu posiłki albo parę groszy, za które sami kupowali sobie jedzenie. Od czasu do czasu, gdy fabryce udało się pozyskać bardziej intratne zlecenie, mogli liczyć na trzysta–pięćset taka premii.

– Jasne, że w tym wieku chłopcy powinni chodzić do szkoły, ale gdzie i kiedy zarobią wtedy na jedzenie? Czesnego też im nikt raczej nie daruje – wyliczał właściciel. – Tutaj mają co jeść. Jak zachorują, leczymy ich za swoje. A w wolnych chwilach chłopaki – spojrzał na dorosłych przy maszynach – uczą ich fachu i...

– ...i skazują na życie przy maszynie do szycia – dokończyłem.

Właściciel fabryki spojrzał na mnie spode łba.

– Słuchaj... Nie są to może najszczęśliwsze dzieci na świecie. Ale wierz mi, w okolicy są i takie, z którymi los albo rodzice obchodzą się jeszcze

okrutniej – odrzekł lodowatym tonem, wyraźnie dotknięty. – To wszystko, co mogę zrobić dla tych biedaków. Masz lepszy pomysł?

Raz jeszcze spojrzałem na chłopców. Nie wyglądali ani na przemęczonych, ani na zastraszonych, gdy szturchali się i przekomarzali, siedząc pośród stert ubrań. Coś jednak wyraźnie różniło ich od polskich rówieśników. Długo obserwowałem ich przez obiektyw aparatu, nim to do mnie dotarło. Chłopcy, choć hałaśliwi jak wszystkie dzieci w ich wieku, byli jednocześnie jak na swój wiek zaskakująco poważni – jak ludzie, którzy rozumieją już, że los nie będzie głaskać ich po głowach.

– A jeśli pewnego dnia przestanie cię stać na to, by ich tutaj trzymać? – zaryzykowałem jeszcze jedno pytanie.

Facet ewidentnie miał dość tej rozmowy.

– Czytałeś biografię pana Forda, który stworzył amerykańskie imperium motoryzacyjne? – spytał mnie nieoczekiwanie. – Ja wyczytałem z niej jedno ważne zdanie. Jeśli marzysz o wielkim biznesie, musisz wybrać. Albo będziesz lubiany, albo będziesz efektywny.

Efektywność. Bożek wszystkich przedsiębiorców tego świata, cień w pieczarach ich gabinetów. Dziś „efektywność” to na przykład tysiąc sztuk na godzinę. Za rok być może będzie już oznaczać minimum tysiąc pięćset sztuk. Tysiąc stanie się pretekstem do zwolnienia, w najlepszym razie nagany. W Bangladeszu rosnąca „efektywność” rzecz jasna nie oznacza dla robotników coraz większego dostatku, a jedynie więcej pracy za tę samą płacę. Kiedyś Bangladeszem systematycznie targały plagi głodu. Dziś kraj cierpi na klęskę nieurodzaju pieniędzy, których coraz więcej trafia na pola golfowe i do wykwintnych restauracji, a coraz mniej na ulice. Choroba wszystkich współczesnych społeczeństw na dorobku, czyli postępujące rozwarstwienie, przybiera tu dziś postać ostrej epidemii. Jak wynika ze statystyk FAO – ONZ-owskiej agencji do spraw żywienia – niedożywienie i głód to nadal codzienność około czterdziestu milionów mieszkańców Bangladeszu, czyli blisko jednej czwartej całej populacji kraju. Na drugim biegunie znajdują się kandydaci na członków elitarnych klubów dla dżentelmenów, gotowi czekać pokornie kilka lat, aż zwolni się miejsce, za które trzeba zapłacić trzydziści- czterdziści tysięcy dolarów rocznie. Kraj bogaci się teraz zbyt szybko i zbyt brutalnie, by mogło się w nim wykrystalizować coś na kształt klasy średniej w zachodnim wydaniu. Jeśli dziś zarabiasz pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, za rok powinieneś inkasować już milion albo stracisz te swoje marne

pięćdziesiąt tysięcy na rzecz kogoś bardziej obrotnego i bezwzględego. Współczucie i zrozumienie można okazywać tylko tym, którzy na pewno nie są konkurencją.

Dlatego gdy w dzielnicy Gulshan wychodzisz objuczony zakupami z miejscowych delikatesów Agora, w rękę zawsze powinienes mieć kilkadziesiąt taka dla bezdomnych i wiecznie głodnych dzieci, które czają się przed sklepem niczym komary wokół moskitiery. Gdy tylko szofer podstawí samochód, dzieciaki rzucą się w twoją stronę w desperackim wyścigu o przywilej odniesienia zakupów do auta czy choćby zamknięcia za tobą drzwi. Jeśli jesteś porządnym muzułmaninem, nie zaprzepaścisz okazji do spełnienia dobrego uczynku i nie odmówisz małej jałmużny tym istotom sypiającym na wąskim pasie zieleni pośrodku jezdní. Nawet jeśli wierzysz wyłącznie w pieniądze, czcisz z pewnością bóstwa o większych nominałach niż wyświechtane, czarne od brudu banknoty o wartości pięciu czy dziesięciu taka, jakby stworzone do tego, by po wyjściu ze sklepu oddać je z ulgą bezdomnym dzieciom. Dhaka chwilowo nie potrafi im zaoferować nic więcej. Nawet dorośli żebracy nie mają dla młodocianych konkurentów krzty współczucia i bezceremonialnie przeganiają ich kopniakami z co lepszych miejscówek.

W Bangladeszu od zawsze trzeba było troszczyć się przede wszystkim o siebie. Gdy w 1974 roku katastrofalne powodzie zniszczyły plantacje, pracownicy zagranicznych organizacji charytatywnych raportowali centralom, że śmiertelność w wielu wsiach nie byłaby tak wysoka, gdyby zamożniejsi rolnicy nie chowali ryżu na czarną godzinę. Dziś właściwie to samo robią właściciele zakładów odzieżowych. Sąsiednią Birnę, obecnie zwaną Myanmar, junta wojskowa zmieniła w ostatnich latach w najtańszą fabrykę odzieżową świata, bez związków zawodowych, praw pracowniczych i innych socjalnych anachronizmów. A przede wszystkim z minimalną pensją na poziomie dwudziestu pięciu–trzydziestu dolarów miesięcznie, przeszło dwukrotnie niższą od tej w Bangladeszu. Birmańskie szwaczki nie są jeszcze tak doświadczone i wydajne jak te w Dhace, a tamtejsze fabryczki wciąż mają zbyt małe moce produkcyjne, by liczyć na duże zlecenia od zachodnich kontrahentów. Ale to nie potrwa długo. W Bangladeszu jeszcze dziesięć lat temu przy produkcji odzieży pracowały przecieź niespełna dwa miliony ludzi, a dziś ich liczba dobija powoli do pięciu milionów. Dlatego w Dhace niemal każdy właściciel fabryki czuje, że po latach tłustych powoli zbliża się

klęska nieurodzaju, na czas której mądry gospodarz powinien zgromadzić zapasy kapitału. Gospodarz dokonuje więc szybkiego przeglądu inwentarza i dochodzi do wniosku, że zaoszczędzić może jedynie na płacach. Pewnego dnia zwalnia więc z pracy niemal wszystkie doświadczone szwaczki zatrudnione na stanowisku operatorek maszyn, aby następnie przyjąć je ponownie, z identycznym zakresem obowiązków, niejednokrotnie do tej samej maszyny, ale już na znacznie gorzej płatnym etacie pomocnicy. A jak się komuś nie podoba, nie musi podejmować pracy na nowych warunkach.

Ale szwaczki zazwyczaj ją biorą. Bywalcy pól golfowych w Dhace mówią potem do siebie z uznaniem, że mieszkańcy Bangladeszu to ludzie, którym bieda nie przeszkadza być szczęśliwymi.

\*\*\*

Biedy w Dhace jest tak wiele, tak różnorodnej, ostentacyjnej i skrytej, młodej i starej, dumnej i wypranej z resztek godności, że łatwo czasem pomylić ją z czymś, co biedą nie jest. Raz wydaje się nią stara kobieta z twarzą wyżartą przez chemikalia, które wdychała przez dziesiątki lat pracy w garbarniach złowrogiej dzielnicy Hazaribagh, niedawno okrzykniętej przez jedną z zachodnich fundacji proekologicznych najbardziej zatrutym zakątkiem kuli ziemskiej. Innym razem bieda wskakuje w krótkie spodenki i próbuje budzić litość jako dziecko, które w skwarze samotnie pałęta się po ulicy i bawi zalegającymi na poboczu śmieciami. Może też sapać ze zmęczenia pod ciężarem garbowanych skór, które jak tragarz przenosi z ciężarówki do garbarni, budząc w zagranicznych klientach zakładu wzburzenie, ponieważ ich zdaniem coś takiego powinno się transportować wózkiem widłowym.



Jeśli w Dhace szukasz prawdziwej biedy, znajdziesz ją przy torach kolejowych.

Ale przy bliższym poznaniu wszystko to okazuje się nie takie proste. Gdyby garbarnia zaopatrzyła się w wózki, tragarze pierwsi wszczęliby protest, bo maszyny odebrałyby im pracę, dzięki której każdego dnia mogą wieczorem kupić coś do jedzenia. Dziecko w krótkich spodenkach, słysząc głos matki wołającej na obiad, rzuci patyki, którymi bawi się w kałuży, i radosne pobiegnie do domu. Starowinka z Hazaribagh ma z kolei trzy córki, wszystkie szczęśliwie wyszły za mąż i uczyniły ją babcią, aby mogła opiekować się wnukami, ponieważ one cały dzień spędzają poza domem, by zarobić na utrzymanie rodziny. Tak wygląda tutaj ubóstwo. Prawdziwa, rasowa bieda mieszka w Dhace w slumsie przy torach kolejowych.

Snuje się pośród śmieci zalegających wzdłuż szyn, szukając w nich czegoś

nadającego się na sprzedaż. Pociągów jest raptem kilkadziesiąt na dobę, a poszukiwaczy setki i tysiące, przy torach rzadko więc udaje się znaleźć coś, za co kto inny zechciałby zapłacić choćby pajkę, czyli miejscowy grosz. Najczęściej bieda utrzymuje się więc z żebractwa, niekiedy z drobnych kradzieży, a ostatnio również z handlu kobietami i z rozprowadzania narkotyków, które od czasu do czasu sama zażywa. Niekiedy z narażeniem życia udaje się jej schwytać *gokkhur*, czyli kobrę indyjską, i wyrwać jej zęby jadowe. Wtedy bieda pałęta się z gadem po mieście, wzbudzając zainteresowanie, a czasem też panikę wśród przechodniów gotowych rzucić kilkanaście taka, byle tylko wąż i jego właściciel – nazywający odtąd samego siebie *szorporadz*, czyli władca węży – zniknęli jak najszybciej z pola widzenia.

Przy torach bez trudu można znaleźć również wszy, które bieda codziennie wieczorem wyczesuje sobie z włosów, wirusa HIV, którym częstuje nowych przybyszów ze wsi nieświadomych zagrożenia, no i cholere, którą od czasu do czasu dzieli się solidarnie ze wszystkimi w najbliższym sąsiedztwie.

Luksusowe pociągi ekspresowe do portowego Cottoqramu lub Cox's Bazar, które pędzą czasem przez osiedle slumsów, bieda odprowadza otepiałym spojrzeniem. Pasażerowie podróżują w nich do świata, w którym ma się jeszcze dokąd i po co jechać. Ludzie z za szyb, z rozmazanymi pędem pociągu twarzami, mają pracę, i to taką, w której zarabia się nie tylko na jedzenie. Bieda tymczasem nie pracuje od miesięcy, a niekiedy od tak dawna, że już zapomniała, jakie to uczucie budzić się o poranku i planować sobie dzień, by zdążyć ze wszystkim. Przy torach planowanie nie ma sensu. Kiedy skończyły się pieniądze, bo na przykład maszyna urwała rękę i nie było szans na zatrudnienie w innej fabryce, bieda opuściła wąskie i duszne, ale stosunkowo czyste jak na tutejsze warunki czynszówki dzielnic przemysłowych Dhaki i wyniosła się na tory. Grunt należy tu do państwa, nikomu nie trzeba więc płacić ani taka czynszu. Dom buduje się z tego, co leży akurat na ziemi, w ostateczności mogą to być nawet śmieci powiązane drutami w coś na kształt cegieł. Dach można zrobić choćby z kawałka wyłamanego płotu, uszczelnić workami, a żeby nie odleciał od podmuchu wiatru wywoływanego przez pociąg, dociążyć skorupami kokosa, bambusami, kawałkami zużytych opon i wszystkim, co trochę waży i w nocy nie skusi złodziei. W Mirpurze za kilkaset taka miesięcznie można było mieć kuchenkę gazową od rządowej firmy. Za kolejne dwieście–czteryście taka



cysterna systematycznie dowozi wodę pitną, a za kolejne półtora tysiąca da się dociągnąć do domu nawet elektryczność. Na tory kolejowe nikt niczego nie dowozi, bo wiadomo, że bieda za nic nie zapłaci. Nawet gdy zarobi, wyżebrze lub ukradnie pieniądze, woli wydać je na prochy i jedzenie, a nie na gaz, który można łatwo zastąpić ogniskiem. Wodę też zawsze gdzieś się znajdzie, choćby na pobliskiej stacji kolejowej.

Doktor Ashraf Ali, który na zlecenie władz miejskich bada warunki bytowe biedoty w Dhace, szacuje, że tylko w stolicy Bangladeszu liczba slumsów, wielkich, średnich i małych, zbliża się do czterech tysięcy, a mieszka w nich już 5,6 miliona osób – jakies czterdzieści procent populacji stolicy. Do swoich wyliczeń sam autor radzi jednak podchodzić z pewnym dystansem, jako że w tym mieście problemy sprawia już samo zdefiniowanie pojęcia slums. Lepianki ze śmieci i szczątków materiałów budowlanych, sklecone przez ludzi bytujących przy torach w Vawalbagh czy Boro Moghbazar z pewnością spełniają kryteria slumsu.



Przy torach niemal co drugi mieszkaniec to analfabeta, a co piąty jest

uzależniony od narkotyków i innych używek.

– Ale czy na to miano zasługuje także rozpadająca się czynszówka w Mirpurze lub w Rampurze? – pyta uczciwie badacz.

W Europie nikt oczywiście nie zostawiłby w takim miejscu nawet roweru. W Dhace zawilgłe, ale jednak ceglane mury, z resztkami tynku na ścianach, kratami w oknach i masywnymi żelaznymi drzwiami, które pod nieobecność lokatorów będą strzec ich skromnego dobytku, to już całkiem przyzwoite lokum.

Doktor Ashraf Ali w swoich badaniach koncentruje się więc na mieszkańcach terenów wokół torów. Spróbował nawet naszkicować zbiorowy portret tutejszej społeczności, przeczący dość popularnemu w Dhace wyobrażeniu, że przy torach koczują głównie wędrowni żebracy, których los rzucił na chwilę do stolicy. Przeciętny mieszkaniec slumsów na terenach kolejowych mieszka tam od sześciu lat, zazwyczaj w domostwie zbudowanym własnym sumptem z tego, co było akurat pod ręką. Dom to może określenie na wyrost. Na jedno gospodarstwo domowe, złożone przeciętnie z czterech osób, przypada bowiem przy torach około czternastu metrów kwadratowych. Większość mieszkańców nie ma stałej pracy, kobiety dorabiają jako sprzątaczkę, mężczyźni czasem załapią się na pracę rikszarza, ale zwykle tracą posiadłość, gdy przejedzą lub przećpają pieniądze dla właściciela pojazdu, któremu od dziennego utargu trzeba odpalić dołę. Na lepsze posady mieszkańcy kolejowych slumsów nie mają szans. Mniejsza o ciągnącą się za nimi reputację ciężko schorowanych awanturników. Niemal co drugi mieszkaniec jest tutaj analfabetą, a blisko dwadzieścia procent jest uzależnionych od narkotyków i innych używek. Nic dziwnego, że pod kołami pociągów co miesiąc ginie tu lub zostaje rannych prawie dwieście osób.

Kohabitacja z Bangladesh Railway – państwową spółką kolejową – bywa wyzwaniem nawet dla całkowicie przytomnego umysłu. Firma ma co prawda w logotypie staromodną ciuchcię, lecz na co dzień jej pociągi pędzą jak oszalałe przez nielegalne osiedla, nie zważając na garnki z soczewicą ustawione między szynami czy dziewczynki, które akurat bawią się na torach w sklep. Slumsy cierpią na ten sam brak przestrzeni i przeludnienie, jakie

gnębią resztę Dhaki. Kobiety szykujące posiłek regularnie rozkładają się z gotowaniem między szynami, a czasem same siedzą tam w kucki, zmyślnie dociskając stopami do ziemi podobny do sierpa przyrząd do krojenia żywności. Gdy nadjeżdża pociąg – a zwykle między jednym a drugim kursem nie mija więcej niż pół godziny – ostrzeżone trelem szyn gospodynie w ostatniej chwili flegmatycznie zbierają dobytek spod kół składu. Rachityczne paleniska, które zastępują kuchenki, niespodziewanie strzelają chmurą isker, kiedy centymetry od nich z hukiem przelatuje ciąg wagonów. W powietrzu przez chwilę tańczą ubrania suszące się na dachach i wszędobylskie plastikowe torebki, ziemia drży, a najmłodsze dzieci, jeszcze nieprzywykłe, z płaczem uciekają w ramiona matek. Pod naporem pociągu slums kurczy się błyskawicznie niczym gigantyczny naziemny ukwiał chowający czułki przed intruzem. Gdy tylko skład zniknie za zakrętem, życie ponownie wylewa się na torowisko.

– Dhaka się zatkała. Mieszka się w niej jak w zlewie z niedrożnym odpływem, do którego ktoś nadal wlewa nieczystości – narzekała pięćdziesięciodwuletnia wdowa Rabea Khatun, od czterech lat mieszkająca przy torach w domku skleconym z zardzewiałych blach poprzetykanych szmatami owiniętymi w foliowe torebki. – Kiedy byłam mała, każdego ranka budził nas śpiew ptaków w koronach drzew. Rozejrzyj się teraz dookoła. Widzisz tu gdzieś jakieś drzewo? Ptaki też się wyniosły. – Machnęła zrezygnowana ręką.

W centrum Dhaki drzew faktycznie prawie nie ma. Ocalały jedynie w nielicznych parkach i na skwerach, a i tam padają coraz częściej pod naporem wolnorynkowej kalkulacji właścicieli gruntu, którzy muszą wybierać między zielenią liści a zielenią amerykańskiej waluty. W centrum stolicy metr kwadratowy luksusowego apartamentu mieszkalnego kosztuje dziś już grubo ponad tysiąc dolarów, bo spedytory i kontrolerzy jakości wysłani tu przez pracodawców z Stanów Zjednoczonych i Europy nie zamierzają się gnieździć w dusznych klitkach, do jakich przywykli tubylcy. Na obrzeżach miasta przyroda przegrywa z kolei z fabrykami odzieżowymi, które rywalizują o miejsce dla siebie prawie tak samo zaciekle, jak rośliny w lesie deszczowym walczą o światło. Dziesięć lat temu powstała tu fabryka X. Trzy lata później tuż obok ruszyła fabryka Y, ale jeśli dzieli je jeszcze nieco wolnej przestrzeni, można być pewnym, że prędzej czy później zajmie ją mała fabryczka Z. Rabea, która ostatni raz miała stałą pracę pięć lat temu,

dostrzega uderzającą analogię między drzewostanem w rodzinnym mieście a tutejszym ekosystemem fabryk. Młode, rachityczne drzewka w Dhace prędzej czy później przegrywają nierówną walkę o miejsce wśród budynków, estakad, jezdni i chodników. Z zakładami odzieżowymi jest podobnie – te małe padają zduszone przez bezlitosnych gigantów.

– W sąsiedztwie mieszka tu ze dwadzieścia osób, które z dnia na dzień wyleciały z roboty nie dlatego, że źle pracowały albo coś zawaliły. – Kobieta zakreśliła wokół siebie dłonią wielki okrąg. – Praca skończyła się z dnia na dzień, bo firma zbankrutowała, szef zapadł się pod ziemię z resztką pieniędzy i o zaległych wypłatach można było sobie najwyżej pomarzyć.

Największe fabryki odzieżowe w Bangladeszu – zatrudniające czasem po kilkanaście tysięcy osób i mieszczące się na terenach będących w istocie samodzielными miastami – działają teraz na prowincji. Rząd nie pozwala już upychać w Dhace takich molochów. Co więcej, zachęca przedsiębiorców tanim kredytem, by ulżyli przeludnionej stolicy i wynieśli się wraz ze swoimi firmami oraz pracownikami gdzieś na wieś. Rdzeń branży odzieżowej w Bangladeszu tworzą dziś jednak zakłady średniej wielkości, zatrudniające dwa–trzy tysiące osób i mieszczące się w budynkach, które z zewnątrz przypominają raczej biurowce niż zakłady produkcyjne. Żadnych kominów, taśmociągów, ramp załadunkowych – niczego, co zapowiadałoby na zewnątrz to, co dzieje się w środku.

We wnętrzu produkcja rozsiana jest po piętrach i zgodnie z logiką narzuconą przez grawitację często rozpoczyna się od magazynu surowcowego na najwyższym piętrze, dokąd bele materiału trafiają czasem windą przemysłową, ale znacznie częściej na plecach kiepsko opłacanych tragarzy. Pod nim zazwyczaj pracuje dział wykrojów, jeszcze niżej są maszyny do szycia, pod nimi zaś prasownia, metkowanie i wykończenie, aż wreszcie, na parterze, magazyn produktów gotowych mieści w swych trzewiach wszystko, co wkrótce powinno trafić do klienta. Taka organizacja produkcji z punktu widzenia właściciela fabryki wydaje się optymalna. Dla jej pracowników jest często śmiertelnym zagrożeniem.

W Bangladeszu największą zgorą branżą odzieżową są bowiem pożary. Iskrząca się od przeciążenia instalacja elektryczna, nieodłożone na miejsce żelazko, samozapłon chemikaliów w przeładowanym i źle wentylowanym

pomieszczeniu, a czasem też sabotaż właściciela, który liczy na sowite odszkodowanie – scenariuszy kończących się wielkim pożarem są dziesiątki. Gdy tylko w fabryce pojawią się pierwsze płomienie, można być w zasadzie pewnym, że akcja ratunkowa zacznie się właśnie w magazynie towarów gotowych, mieszczącym się zazwyczaj na parterze. Pracownicy szwalni umieszczeni na wyższych kondygnacjach będą musieli poczekać na swoją kolej.

Dwudziestego czwartego listopada 2012 roku – dokładnie pięć miesięcy przed katastrofą Rana Plaza – w zakładzie Tazreen Fashion w Ashuli koło Dhaki spłonęło żywcem sto siedemnaście osób, a ponad dwieście odniosło poważne obrażenia. Był to najstraszliwszy w skutkach pożar w historii branży odzieżowej w Bangladeszu i do dziś robi na pracownikach fabryk większe wrażenie niż los ofiar Rana Plaza. Katastrofy budowlane na taką skalę przytrafiają się przecież w Bangladeszu rzadko i choć budzą grozę, to bardziej rozmiarami niż prawdopodobieństwem powtórki w nieodległej przyszłości. Za to pożary – mniejsze lub większe, bardziej lub mniej zabójcze – są tu praktycznie na porządku dziennym.

Ani władze w Bangladeszu, ani tym bardziej stowarzyszenia producentów odzieży nie chwalą się tą ponurą statystyką. Rok 2000 – 53 ofiary śmiertelne pożaru w zakładach Sagar Chowdhury Knitwear and Garment na przedmieściach Dhaki. Rok później – pożar zakładu Maico Sweater i 24 zabitych. Rok 2002 – 12 ofiar w fabryce Global Knitting. Rok 2005 – zakłady Shan Knitting i 23 zabitych. Rok 2006 – w pożarze KTS Textile Mill w Cöttogramie giną 54 osoby, a kolejna setka trafia do szpitala z poważnymi poparzeniami. Rok 2010, luty – płonie fabryka Garib & Garib Newaj na peryferiach Dhaki, płomienie zabijają 21 osób. Grudzień – znów pożar na przedmieściach stolicy, tym razem w zakładach That's It Sportswear, 29 ofiar śmiertelnych. Rok później – dwie ofiary pożaru w zakładach Eurotex. Wybuchł bojler. W sumie drobnostka... Wreszcie listopad 2012 roku i hekatomba w Tazreen Fashion. A zaraz po niej – w ciągu zaledwie kilkunastu miesięcy – jeszcze dziesięć mniejszych lub większych pożarów w Dhace i na prowincji, które łącznie będą kosztować życie aż 27 pracowników. Tego już nie da się wytłumaczyć pechem ani nazwać zbiegiem okoliczności. To raczej branżowa reguła.

Tazreen Fashion w miejscowości Ashulia na przedmieściach stolicy była nową, otwartą w 2009 roku fabryką należącą do Tuba Group, jednego z poważniejszych graczy na rynku odzieżowym w Bangladeszu. Wśród jej klientów znajdowały się między innymi amerykański Walmart, holenderska spółka C&A, a także amerykańska armia, którą zaopatrywała w mundury dla marines. O tym, że właściciele zakładu nieszczególnie przejmują się warunkami pracy, część zachodnich kontrahentów była doskonale poinformowana, w maju 2011 roku Walmart na liście swoich dostawców oznaczył nawet Tazreen Fashion pomarańczowym kodem. Oznaczało to, że fabryka ma trzy miesiące na poprawę warunków pracy, a jeśli tego nie zrobi, znowu dostanie pomarańczowe ostrzeżenie. Trzy takie znaczki zebrane w ciągu dwóch lat równałyby się odebraniu zakładowi zleceń od Walmartu na dwanaście miesięcy. Ale czy takie zagrożenie było realne? A może właściciele poinformowano cichaczem, że amerykański gigant w trosce o swój wizerunek w Stanach Zjednoczonych musi pogrozić im palcem, ale w rzeczywistości jest ze współpracy bardzo zadowolony? Kilkanaście dni po pożarze zakładu „The New York Times” przypomniał, że jeszcze w kwietniu 2011 roku, podczas spotkania premier Bangladeszu z właścicielami największych fabryk odzieżowych i ich najważniejszymi klientami to właśnie przedstawiciel Walmartu, Sridevi Kalavakolanu, przekonywał, że próba odgórnego zaostrzenia przepisów bezpieczeństwa przeciwpożarowego narazi większość z ponad czterech tysięcy bangladeskich fabryk odzieżowych na koszty, których nie będą w stanie ponieść. Takie drobiazgi jak organizacja produkcji – zapewniał wysłannik amerykańskiej sieci – lepiej trzymać z daleka od rządowych kontrolerów, bo o wiele lepiej poradzi sobie z tym wolny rynek.

Do Tazreen Fashion niewidzialna ręka rynku nie zdążyła jednak dotrzeć. 24 listopada 2012 roku, tuż po osiemnastej, na parterze fabryki pojawił się ogień.

Przyczyna pożaru do dziś nie została ustalona z całą pewnością. Oficjalny raport ostrożnie skłania się ku konkluzji, że prawdopodobnie doszło do zwarcia nadmiernie obciążonej instalacji elektrycznej. Kiedy po siedemnastu godzinach desperackiej akcji gaśniczej strażacy zdusili ostatnie płomienie, do spalonych ruin wkroczyli pierwsi inspektorzy. Na drugim piętrze znaleziono aż sześćdziesiąt dziewięć zwęglonych zwłok. Kilkadziesiąt innych leżało na wyższych kondygnacjach. W ucieczce przed ogniem dwanaście osób



poniosło śmierć na miejscu po wyskoczeniu z okien. Kilkudziesięciu pracownikom szczęśliwie udało się przedostać na dach. Przetrwali tam niemal dobę, czekając na ewakuację.

Inspektorom przeciwpożarowym od razu rzuciło się w oczy, że fabrykę zaprojektowano i zbudowano tak, jakby miała być pułapką dla personelu. Do budynku prowadziło od frontu tylko jedno wąskie wejście, za którym czaiła się równie wąska gardziel korytarza, zwężonego po to, by więcej miejsca wygospodarować na magazyn. Z korytarza na parterze odchodziły w górę dwie wąskie i kręte klatki schodowe. Pierwsza, tuż przy głównym wejściu, służyła mężczyznom i przy niej też ulokowano męskie toalety. Pracownice musiały natomiast przejść kilkadziesiąt metrów w głąb korytarza, by dotrzeć do klatki schodowej oraz toalet przeznaczonych wyłącznie dla nich.

Na żadnej kondygnacji nie zamontowano automatycznego systemu przeciwpożarowego. Gaśnice były co prawda na wszystkich piętrach, ale pracownikom nigdy choćby słówkiem nie wspomniano, jak ich używać; zresztą niemal co drugiej minął termin przydatności. W budynku nie wyznaczono nawet dróg ewakuacyjnych. Personel w zasadzie powinien powiadomić władze o fatalnym stanie zabezpieczeń przeciwpożarowych. Ale pracownicy fabryki mieli w niej na co dzień poważniejsze zmartwienia niż data ważności gaśnic.

Budynek Tazreen Fashion strzela samotnie w górę wśród parterowych czynszówek, garaży i baraków, z dala od głównych dróg i innych wysokich budowli. Od frontu uchował się przed zabudową całkiem spory plac z kilkunastoma drzewami rzucającymi kojący cień. Pośród liści baraszkują ptaki, o dziwo, słychać nawet ich śpiew, od którego tak łatwo odwyknąć, gdy się mieszka w dudniącej od klaksonów Dhace. W przeciwieństwie do pobliskiej stolicy, gdzie fabryki sąsiadują ze sobą często dosłownie przez ścianę, po Ashulii widać jeszcze nieco jej wiejskiego rodowodu, choć na polach uprawnych wokół miejscowości coraz gęściej stawiane są warsztaty, sklepy, fabryki i fabryczki. Kilkaset metrów od Tazreen Fashion, za zakrętem jedynej drogi w okolicy, wznosi się drugi duży zakład. Miejscowi powtarzają, że dzieli je nie tylko odległość, lecz także jakieś pięćset lat w sposobie traktowania robotników. Tazreen – jak mówią – było matecznikiem cwanego dyrektorka, który najważniejsze stanowiska w zakładzie poobsadzał braćmi, szwagrami, kuzynami i kumplami ze szkoły. Wobec szefów w Dhace był za to słuźalczo uprzejmy, bez mrugnięcia spełniał ich absurdalne

polecenia śrubujące wydajność. W tamtej drugiej fabryce robotników ponoć od zawsze traktuje się po ludzku. Pensje wypłaca się w terminie, nie krzyczy przy byle okazji, a targety są celem do realizacji, a nie pułapką na pracowników. Właściciel co jakiś czas przyjeżdża do zakładu, wizytuje hale, rozmawia z ludźmi, nikogo co prawda nie głaszcze po główce, ale też nie czepia się bez powodu. Wiadomo, że w okolicy wszyscy chcieliby pracować właśnie tam, ale gdy człowieka życie przycisnie, bierze taką pracę, jaka akurat jest, a nie taką, jaką by chciał.

Sultan Mullah przez resztę życia – oby Allah obdarzył go długowiecznością po tych wszystkich ciężkich próbach – będzie żałować, że tego sierpniowego poranka skręcił w prawo w stronę Tazreen Fashion, a nie w lewo, w kierunku tamtej drugiej fabryki. Ironia losu – powtarzał. Tego samego losu, który najpierw dał jego starszemu bratu posadę szofera w Dubaju, by już po trzech tygodniach roztrzaskać go o pylon arabskiej autostrady. Niespełna siedemnastoletni Sultan z dnia na dzień został jedynym żywicielem rodziny złożonej z cierpiącego na artretyzm ojca i najmłodszej siostry, która z wielkimi komplikacjami urodziła się osiem lat wcześniej i posłała przy tym matkę w zaświaty. Tamtego dnia Sultan wahał się więc, czy iść po pracę do Tazreen Fashion. W końcu doszedł do wniosku, że nie może tam być aż tak źle, jak gadają ludzie, bo przecież wszyscy uciekliby do innych fabryk.



Zapomoga od zachodniej firmy odzieżowej wystarczyła Sultanowi Mullahowi na złożenie złamanego barku. Niestety, lekarze spartaczyli robotę i bark należałoby złożyć ponownie.

– A od sąsiadki wiedziałem, że szukają pracowników do magazynu. Pomyślałem, że najwyżej zwolnię się po pierwszej pensji. Ironia losu – powtórzył Sultan.

Gdyby dwa lata temu faktycznie rzucił tę posadę w diabły, pewnie dziś mógłby stać wyprostowany dumnie, jak przystało młodemu mężczyźnie, który niebawem poprosi jakąś dziewczynę o to, żeby została jego żoną i urodziła mu syna. Ale kość obojczyka, złamana fatalnie po skoku, zrosła się z ręką i łopatką nie tak jak trzeba i ciągnie ramię Sultana do przodu i troszkę w dół. Trochę jak przykrótka, źle skrojony sweter. Lekarze partacze w pobliskim Savarze nie przyłożyli się do roboty i kości należałoby ponownie poskładać, ale na to Sultan Mullah nie ma już pieniędzy. Holenderska firma C&A wypłaciła wszystkim poszkodowanym w pożarze Tazreen Fashion po

sto tysięcy taka i prawdę powiedziawszy, ani Sultan, ani nikt z jego znajomych pracujących w branży odzieżowej nie słyszał, by którykolwiek z zachodnich koncernów odzieżowych zdecydował się w Bangladeszu na równie hojny gest wobec poszkodowanych robotników. Zazwyczaj po każdej większej katastrofie na miejsce przyjeżdżają jacyś oficjele, w świetle kamer płaczą z rodzinami zabitych, głaszczą rannych, rozdają pieniądze, żywność i obiecują, że wrócą za jakiś czas z pomocą zakrojoną na naprawę szeroką skalę. Naturalnie nikt nie traktuje tego teatryku poważnie i nie czeka na spełnienie obietnic. Tym większe zaskoczenie wywołali ci z Europy.

– Sto tysięcy to praktycznie moja półtoraroczna pensja. Wystarczyło na leczenie, rehabilitację, no i na jakiś czas na życie, bo teraz nikt nas nie chce przyjąć do pracy. – Sultan ustawicznie poprawiał koszulę, która wciąż źle się układała na jego barku. – Wszyscy w okolicy wiedzą, że pracowaliśmy w Tazreen Fashion i że przeżyliśmy. A to znaczy dla szefów, że jesteśmy kalekami, w najlepszym razie, że mamy problemy psychiczne, czyli że przyniesiemy więcej kłopotów niż pożytku.

Posadę operatora maszyny Sultan Mullah dostał w Tazreen Fashion już po kilku miesiącach stażu, najpierw w magazynie, a potem jako pomocnik przy maszynie. W tym czasie zobaczył i usłyszał dostatecznie dużo, by zrozumieć, co w tej firmie liczyło się najbardziej. Kiedy szefowie dostawali mnóstwo zleceń, pracę zaczynało się o ósmej rano, a dziesięć godzin później zmianowi nakazywali wszystkim iść do domu na dwie godziny, coś przekąsić, ugotować dzieciom i wrócić do roboty na kolejnych pięć–sześć godzin. Ta dodatkowa nocna zmiana niemal zawsze była bezpłatna. Jak się komuś nie podobało, mógł się zwolnić. Teoretycznie firma powinna wtedy zapłacić mu za dni przepracowane od ostatniej wypłaty, ale jak się dyrektorek uparł, nie było na niego sposobu. No więc nikt się nie buntował.

Warunki pracy również nie rozpieszczały. Na każdym piętrze wentylatory i nawiewy tłoczące z zewnątrz świeże powietrze, ale – jak żartowali robotnicy – zamontowano je głównie po to, żeby nadzorcy nie mdleli podczas darcia mordy z byle powodu. Kary finansowe leciały za każdy drobiazg, dniówkę można było stracić nawet za zbyt długie mycie rąk po skorzystaniu z toalety albo za gapienie się na zagranicznych gości wizytujących fabrykę.

Kiedy Walmart zażądał poprawy warunków pracy, szefowie zatrudnili w fabryce lekarza.

– Nazywaliśmy go Doktor Młotek, bo to wiernie oddawało nie tylko jego charakter, lecz także metody, które stosował w leczeniu – opowiadał Sultan Mullah. – Ewidentnie nie miał żadnego wykształcenia medycznego, pewnie nie był nawet ratownikiem. Kilku chłopaków poszło do niego po opatrunek i leki. Za każdym razem udawał, że bada pacjenta, ale potem walił dłonią w plecy jak młotem i mówił, że niezastąpionym lekarstwem są czas i sen. Zrozumieliśmy, że przyjęto go do pracy tylko na pokaz i że lepiej nie prosić go o pomoc.

Dwudziesty czwarty listopada był kolejnym zwykłym dniem pracy w Tazreen Fashion, który powinien się zakończyć zgodnie z fabrycznym regulaminem punktualnie o siedemnastej, ale godzinę później trwał w najlepsze i nic nie wskazywało, że szybko dobiegnie końca. Kiedy tuż po osiemnastej rozległ się dźwięk dzwonka alarmowego, Sultan tkwił na czwartym piętrze przy swojej maszynie do szycia i powoli godził się z myślą, że jednak przypadnie mu wieczorny mecz ulubionej drużyny krykietowej, który miał oglądać wraz z kolegami na sfatygowanym telewizorze w pobliskim barze.



Skacząc wraz z żoną z trzeciego piętra, Muhammad Harun Rashid był właściwie pewien, że zginą. „Ale przynajmniej rodzina zidentyfikowałaby zwłoki”.



Piętro niżej Muhammad Harun Rashid, również zatrudniony jako operator maszyny, siedział opodal swojej żony Reshmy i robił do niej głupie miny. Gdy robota zaczynała się im dłużyć, często bawili się w swoją domową wersję kalamburów, naśladowując mimikę znanych telewizyjnych osobistości. Kto przegrywał, następnego dnia o świcie szykował wspólne śniadanie. Reshma wygrała ostatnio cztery razy z rzędu, tym razem Muhammad obiecał więc sobie, że jutro na pewno nie poda żonie śniadania.

– Przypomniało mi się to jakąś godzinę później, gdy walczyliśmy o życie.  
– Uśmiechnął się nieśmiało.

Na piątym piętrze nadzorca linii produkcyjnej Muhammad Mirajul Islam, zwalisty trzydziestolatek o posturze zawodnika sumo i twarzy nastolatka, również odliczał minuty dzielące go od końca dniówki. Na tamten wieczór nie miał żadnych planów. Marzyła mu się po prostu kąpiel, kolacja i kilka chwil tylko dla siebie.



Muhammad Mirajul Islam już nigdy nie zagra w krykieta. Przeżył skok z piątego piętra Tazreen Fashion, ale zaraz po tym spadł na niego jakiś inny nieszczęśnik.

Dziś Sultan Mullah nie potrafi już sobie przypomnieć, kiedy za oknem zauważył pierwsze pióropusze dymu. Możliwe, że szybciej poczuł spaleniznę z niższych pięter. Muhammad Harun Rashid doskonale pamięta za to chwilę, gdy dźwięk alarmu postawił mu włosy na głowie i kazał biec z żoną jak najszybciej w stronę drzwi prowadzących z hali produkcyjnej na klatkę schodową. Każdy, kto zaczyna pracę w fabryce odzieżowej, już pierwszego dnia dowiaduje się od bardziej doświadczonych kolegów, że wolno tu lekceważyć prawie wszystkie przepisy bezpieczeństwa z wyjątkiem jednego – alarmu przeciwpożarowego. Jeśli go słyhać, to znaczy, że naprawdę się pali. W Bangladeszu żadnemu właścicielowi fabryki nie wpadłoby do głowy, żeby odrywać ludzi od pracy dla jakichś ćwiczeń przeciwpożarowych.

Przy drzwiach Muhammad poczuł woń spalenizny, ale nim zdążył powiedzieć żonie, że muszą jak najprędzej zbiec na dół, wyrósł przed nim nadzorca linii produkcyjnej z jeszcze jednym krzepkim mężczyzną.

– Próbowali nas uspokoić, że alarm się popsuł, i kazali wracać do maszyn. Sami byli jednak dziwnie podenerwowani, dlatego im nie uwierzyliśmy. Koło nas zebrało się już może z siedem szwaczek i wszyscy wyraźnie czuliśmy spaleniznę – opowiadała Reshma. – Zmianowy usiłował zmienić temat, ale dziewczyny obok stanowczo domagały się wyjaśnienia, co tak śmierdzi. Wtedy mężczyźni zaczęli się na nas drzeć, siłą wepchnęli z powrotem do sali produkcyjnej i zatrzasnęli od zewnątrz kratę zabezpieczającą piętro. Zostaliśmy odcięci.

Niemal w tym samym czasie na czwartym piętrze Sultan Mullah i zaniepokojeni koledzy też zasypali zwierzchników pytaniami. Im również nakazano wrócić na stanowiska pracy i na wszelki wypadek także zamknięto drzwi. Już po ugaszeniu pożaru okazało się, że pozamykano właściwie wszystkie piętra. W jakim celu? Jeden z nadzorców zeznał śledczym, że tuż przed pożarem dostał z dyrekcji telefon nakazujący zamknąć pracowników w halach i nie wypuszczać ich, dopóki nie wykonają zleconych nadgodzin. Pech chciał, że zaraz potem wybuchł pożar. Robotnicy mają jednak swoją wersję zdarzeń. Zapamiętali, że piętra pozamykano dopiero wtedy, kiedy personel zaniepokoił się alarmem i smrodem pożaru. Czy drzwi zatrzaśnięto po to, żeby – jak podejrzewają pracownicy – uciekający z górnych pięter nie przeszkadzali w ewakuacji magazynu na parterze? A może po to, żeby nie komplikować akcji gaśniczej?

– Tylko kto miałby ją prowadzić? – zauważył przytomnie Muhammad

Mirajul Islam. – W fabryce raptem parę osób wiedziało, jak używać gaśnic, ale one też niewiele by działały. Te, które wisiały na korytarzach, dawno powinny były trafić na złom.

Tymczasem ogień szybko przeskakiwał z pomieszczenia do pomieszczenia. Prawie całe drugie piętro było zavalone belami grubego materiału przypominającego polar. Paliło się to jak jasna cholera, w dodatku któryś z pracowników wpadł na pomysł, żeby zalać płomień jakimiś chemikaliami stojącymi przy ścianach. Substancja okazała się łatwopalna. Ludzie zamknięci na drugim piętrze nie zdążyli nawet wyłamać krat w oknach.

– Pod koniec krzyczeli tylko do nas, wyli właściwie, żebyśmy nie próbowali się ratować tymi przekłętymi chemikaliami. – Reshma przetarła oczy i wyszła przed dom, w którym rozmawialiśmy, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Kiedy całe drugie piętro stanęło w ogniu, jej mąż Muhammad podjął decyzję, że nie będzie czekać na śmierć w płomieniach. Wraz z kolegami wybili szybę i wyrwali kratę w oknie.

– Teraz trudno mi w to uwierzyć, ale wtedy byłem bardzo spokojny, właściwie pewny, że nie ocalejemy. Pracowaliśmy na wysokim przemysłowym trzecim piętrze, a pod oknami był jeszcze płot z drutem kolczastym i jakieś stalowe pręty wystające z ziemi od czasów budowy budynku. Nawet ludzie na dole krzyczeli i machali do nas, żeby poszukać innego okna. Ale na to nie było już czasu. Wziąłem Reshmę na rękę i wyskoczyłem. Pomyślałem, że nawet jeśli rodzina znajdzie nas nabitych na płot, przynajmniej zidentyfikują zwłoki.

Uderzenie w ziemię było zadziwiająco miękkie i bezbolesne. Ktoś potem powiedział mu, że upadli wraz z żoną na zwłoki jakiegoś nieszczęśnika, dla którego skok skończył się tragicznie. Muhammad w to nie wierzy. Nie przypomina sobie żadnego ciała. W pamięci utkwiała mu tylko krew z rozbitego czoła zalewająca oczy i własny rozpaczliwy głos nawołujący żonę, której nie było w pobliżu, gdy odzyskał przytomność. Od dawna mówią do siebie żartobliwie per koleś. Na ziemi leżały dziesiątki osób, a co chwila z góry spadały kolejne. Huk ognia i jęki rannych mieszały się z krzykami mieszkańców okolicznych domów, którzy próbowali organizować akcję gaśniczą, znosili wodę i materiały opatrunkowe. Muhammad pomyślał, że gdy zacznie nawoływać Reshmę słowem koleś, żona łatwiej rozpozna jego

głos w tym piekle. Po chwili rzeczywiście odpowiedziała na jego wołanie, podnosząc rękę z charakterystyczną bransoletką. Muhammad usiłował wstać, ale po uderzeniu w ziemię jego nogi nie były w stanie utrzymać w pionie reszty ciała. Doczołgał się więc do żony i wtulił głowę w jej pokrwawioną tunikę. Tuż potem jacyś ludzie zabrali ich na prześcieradło z dala od płonącego budynku.

Na czwartym piętrze Sultan Mullah też zrozumiał, że trzeba skakać. Wraz z kolegami zdołali wprawdzie wyważyć zamknięte drzwi prowadzące na klatkę schodową, ale najniższe kondygnacje fabryki zmieniły się w tym czasie w rozgrzany do czerwoności grill. Klatkę na wysokości czwartego piętra wypełniał już duszący dym, którego coraz więcej było nawet w hali produkcyjnej. Przy oknach ustawiły się kolejki. Każdy brał po trzy wdechy czystego powietrza i gnał na koniec ogonka. Nadzorcy linii produkcyjnych, na co dzień tępe sukinsyny, w trudnej chwili okazali się zadziwiająco odpowiedzialni, nie zwiali jak szczury, przeciwnie, próbowali zapobiec chaosowi i panice. Dwóch stało teraz przy oknach i zawiadywało tą straszną kolejką do powietrza, nadspodziewanie delikatnie i spokojnie.

Wkrótce jednak nawet podłoga zaczęła parzyć i kilkadziesiąt osób ściśniętych na czwartym piętrze poczuło, że nie zostało im wiele czasu na ucieczkę.

– Pełzaliśmy już wtedy na czworakach, bo przy podłodze powietrze wydawało się mniej trujące. Dla ochrony przed dymem niemal każdy zasłonił sobie twarz kawałkiem zmoczonej szmaty, dlatego ciężko było rozpoznać, kto jest kim. Jacyś mężczyźni przekonywali, że trzeba uciekać na wyższe piętra, i wkrótce kilkanaście osób faktycznie pognało w górę po zadymionych schodach – wspominał Sultan. – Nie wiem, co się z nimi stało. Chcę wierzyć, że ocaleli.

Przez chwilę bił się myślami, czy do nich dołączyć, w końcu doszedł jednak do wniosku, że tylko zmniejszy sobie w ten sposób szanse na przeżycie.

– Im wyżej teraz ucieknę, tym dalej będę miał potem do ziemi. Usiadłem więc w oknie, zamknąłem oczy, poprosiłem Allaha o wybaczenie win i najdelikatniej, jak potrafiłem, odepchnąłem się od krawędzi.

Spadł na dach małego budynku przyklejonego do tyłów fabryki. Ból połamanych kości był tak dojmujący, że przez moment Sultan Mullah nie mógł nawet zaczerpnąć powietrza. Leżał więc na tym dachu Bóg raczy

wiedzieć jak długo, zuchwa trzęsa mu się jak galareta, z oczu mimowolnie płynęły łzy i Sultan zastanawiał się, czy już umiera, czy może tylko się połamiał i resztę życia spędzi na wózku inwalidzkim. Po pewnym czasie ból stęzał mu w okolicy złamanego obojczyka i łopatki. Wtedy spróbował bardzo ostrożnie odwrócić się na plecy.

Zabolało. W ustach nagle zrobiło mu się dziwnie słodko.

Gdyby w tamtym momencie Sultan Mullah nie stracił z bólu przytomności, pewnie zobaczyłby, jak z piątego piętra skacze właśnie nadzorca Muhammad Mirajul Islam, jego tęgie ciało obraca się w powietrzu, po czym z pluskiem uderza w błoto. Gdyby Sultan leżał bliżej krawędzi dachu, pewnie dostrzegłby i to, że tuż za nadzorcą z tego samego okna na piątym piętrze skacze jeszcze jeden mężczyzna i spada dokładnie na zszokowanego Muhammada Mirajula Islama, który z otwartym złamaniem kości ramieniowej próbuje właśnie niezdarnie podźwignąć się z ziemi, niczym zółw przewrócony brzuchem do góry.

Ale o tym wszystkim Sultan Mullah dowiedział się dopiero trzy tygodnie później, kiedy wyszedł ze szpitala i odważył się spotkać ze znajomymi. Nikt nie płakał. Wszyscy byli dziwnie spokojni, chyba wciąż lekko otepiali. Siedli wspólnie na podwórku przed mieszkaniem jednego z kolegów i zaczęli liczyć.

Ilu znajomych spłonęło w budynku, a ilu poniosło śmierć, po skoku z okna.

Ilu za pracą i by uciec od koszmarnych wspomnień przeprowadziło się gdzie indziej.

Ilu do końca życia będzie kalekami zdanymi na jałmużnę dobrych ludzi.

Sultan od znajomych dowiedział się też, że pierwsze zastępy straży pożarnej przebiły się przez korki dopiero po trzech godzinach od zauważenia ognia w Tazreen Fashion. I że mieszkańcy domów w okolicy fabryki przez wiele dni po pożarze nie zmiotli podwórek ani nie prali zakurzonych ubrań w obawie, że znajdują się na nich spopielone szczątki ich braci, rodziców lub przyjaciół.

\*\*\*

Kiedy wieści o tragedii w Ashulii dotarły do Stanów Zjednoczonych, Walmart oświadczył, że zakład Tazreen Fashion od dawna nie figurował na



liście jego dostawców. Kilkanaście dni później w internecie pojawiły się jednak zdjęcia i skany dokumentów ocalałych z pożaru, świadczące o tym, że aż pięć z czternastu linii produkcyjnych feralnej fabryki niemal do jej ostatnich chwil pracowało dla Walmartu. Przyciśnięty do muru gigant najpierw tłumaczył, że nic o tym nie wie. Potem nieco zmodyfikował swoją wersję i utrzymywał, że zamówienia, które trafiły do Tazreen Fashion pod koniec istnienia fabryki, nie zostały złożone przez centralę koncernu.

Brzmi znajomo? Parę miesięcy później od powiazań z fabrykami w Rana Plaza w identyczny sposób usiłowało się wymigać kilka amerykańskich i europejskich producentów odzieży, w tym polska spółka LPP, po której w ruinach zawalonej fabryki pozostały metki marki Cropp.

Czy to możliwe, by duża spółka, notowana na warszawskiej giełdzie, naprawdę nie miała pojęcia, kto w Bangladeszu i w jakich warunkach szyje dla niej ubrania?

Aby wyjaśnić, dlaczego zagraniczni kontrahenci próbowali tłumaczyć się z kłopotów w Bangladeszu w tak naiwny z pozoru sposób, pora zaprosić na scenę wielkiego nieobecnego.

Witajcie w *buying house*.

# Odyseja T-shirtu

Musa miał spotniałą twarz i przeżuwał *pan* (betel), miejscowy roślinny specyfik na pobudzenie, który barwi zęby na czarno, a ślinie nadaje odrażający ceglasty kolor. Stał przyklejony do ściany pod niewielką wiekową markizą nieokreślonej barwy, która w upalne kwietniowe przedpołudnie miłosiernie rzucała skrawek cienia na zakurzoną ulicę. Jego koścista bosa stopa, z braku bardziej pożytecznych zajęć, kreśliła na piasku abstrakcyjne kształty.

Właściwie nie powinienem był go zauważyć. Słońce świeciło prosto w oczy, a wielkie ciężarówki sunące ulicą podrywały z pobocza tumany żółtawego pyłu, który osiadał na pobliskim rurociągu. Za rurami rozciągał się jeden z większych slumsów dzielnicy Jurain, jednego z wielu dystryktów Dhaki, które powoli, acz nieubłagane zamieniają się właśnie w następną dzielnicę fabryczną. Slumsy i fabryki. Doskonała symbioza. Patrząc na tłumy falujące po obu stronach ruchliwej ulicy, można było wręcz nabrać podejrzeń, że do powstania fabryki w Bangladeszu potrzeba przekroczenia masy krytycznej. Tam gdzie tłum nie jest wystarczająco gęsty i zdesperowany w walce o przetrwanie, fabryka nie ma ekonomicznej racji bytu.

Szczegółem, który jednak zatrzymał mój wzrok na patykowatej sylwetce Musy, był jego ciemnogrnatowy T-shirt. Poszarpany, z ramionami wypłowiałymi od słońca i z biało-czerwonym napisem na piersi, łuszczącym się jak wiekowy fresk. Wciąż jednak nie na tyle, by nie dało się go odczytać. Na podkoszulku widniały całkiem spore litery, które składały się na napis POLAND.



Zakłady w Bangladeszu co roku produkują około czterystu milionów koszulek.

– To jakaś firma. No, chyba – odpowiedział lekko zakłopotany na moje pytanie, czy wie, co to znaczy, zaś tłumek, który miejscowym zwyczajem błyskawicznie zgromadził się wokół nas, głośno dopingował go do zdjęcia podkoszulka, co pozwoliłoby sprawdzić na metce nazwę producenta i jego domniemanego polskiego zleceniodawcy. Musa rozebrał się z ociąganiem, błyskając w słońcu wyraźnie zarysowanymi spod skórą żebrami, i zaczął miętosić materiał w poszukiwaniu metek. Po jakimś czasie machnął ręką i naciągnął T-shirt na grzbiet. Sfatygowane ubranie nie zamierzało opowiedzieć swoich zawitych losów.

W zimnej Polsce, prawie siedem tysięcy kilometrów stąd, ktoś kiedyś złożył zamówienie w Bangladeszu na podkoszulek służący teraz Musie Husseinowi, dwudziestoczteroletniemu bezdomnemu tragarzowi o twarzy, do

której już na stałe przywarł grymas zmęczenia. Lekko zmrużone oczy Musy, zaciśnięte usta i zbyt widoczne jak na jego wiek zmarszczki mimiczne sprawiały, że wyglądał jak ktoś, kto nawet we śnie taszczy na plecach ciężki ładunek. Patrzył teraz na mnie spojrzeniem człowieka, którego w życiu rzadko spotykają przyjemne niespodzianki, i zdawał się pytać, czego, do cholery, od niego chce.

– Nie ukradłem tego T-shirtu. Naprawdę, w magazynie z używaną odzieżą, o tam, za torami, dostałem go za przeniesienie pakunków – wykrzykiwał podenerwowany, wskazując przy tym palcem w głąb ulicy.

– Spokojnie – odpowiedziałem przez tłumacza. – Na piersiach masz nazwę mojego kraju i tylko dlatego cię zaczepiliśmy.

Nie potrzebował dalszych wyjaśnień. Kiedy w pobliżu przemknął pociąg, wznecając na ulicy jeszcze większy tuman kurzu i śmieci, mężczyzna, który przedstawił się jako Musa Hussein, czmychnął w tłum, a wraz z nim jego granatowy T-shirt o tajemniczym polskim rodowodzie.

Sklepy na całym świecie każdego dnia sprzedają około 5,5 miliona T-shirtów. Rocznie – jakieś dwa miliardy sztuk, od masówki zalegającej w wielkich koszach w halach dyskontów i hipermarketów po rzadkie kolekcjonerskie egzemplarze zdobione grafikami znanych artystów. Uwielbiają je Indianie w Amazonii i wielkomięjscy hipsterzy, biedacy z brazylijskich faweli i miliardrzy z Doliny Krzemowej, żołnierze i pacyfiści, wierzący i ateści. Globalizacja w czystej formie kawałka bawełnianej tkaniny, z prostopadle doszytymi rękawami i niemal obowiązkową grafiką lub napisem. Przy około dwudziestoprocentowym udziale Bangladeszu w światowym rynku odzieżowym jakieś czterysta milionów T-shirtów musi pochodzić z Dhaki i jej okolic.

W biznesie skrojonym na tak wielką miarę nie ma już miejsca na chałupniczą amatorszczyznę. Zwłaszcza obecnie, w dobie tak zwanej szybkiej mody, kiedy firmy odzieżowe coraz częściej zastępują duże sezonowe kolekcje mniejszymi partiami towaru wrzucanego systematycznie do sklepów. Większa elastyczność dostaw to wyższe zyski, bo statystyki sprzedaży szybko pokazują, co przypadło klientom do gustu, a co bez uszczerbku dla przychodów można usunąć z kolejnego zamówienia. Dla azjatyckich producentów oznacza to jednak mniej czasu na wykonanie

zlecenia. Dla zamawiającego – większe ryzyko, że w misternej układance dostaw któryś element nie będzie pasować do reszty i całość nie zadziała, jak powinna. Największe marki odzieżowe utrzymują więc w Dhace biura z dziesiątkami pracowników, którzy nie tylko na bieżąco doglądają produkcji, lecz także zapewniają płynność dostaw, wręczając komu trzeba łapówki oraz wykorzystując koneksje polityczne. Pieniądze nie gwarantują oczywiście sukcesu, bo przyjmie je tu każdy, ale nie każdemu warto zapłacić. Większość mniejszych kontrahentów, którym nie opłaca się inwestować w stałe przedstawicielstwo na miejscu, korzysta więc z usług tak zwanych *buying houses*, czyli wyspecjalizowanych agentów, którzy za 2,5–5 procent wartości zamówienia pilotują je od początku aż do chwili, gdy towar na pokładzie kontenerowca bezpiecznie opuści port w Cöttogramie. Przemysł odzieżowy w Bangladeszu stoi więc dziś na dwóch nogach. Oprócz samego szycia nie mniej ważne i dochodowe staje się profesjonalne zarządzanie produkcją oferowane przez setki, a nawet tysiące *buying houses*. Aby zrozumieć, jak działa ten biznes, musiałem się dostać do któregoś z nich.

Z Ahmedem umawiałem się chyba z pięć dni. Dwukrotnie odwołał spotkanie w ostatniej chwili, raz po prostu nie przyszedł, wcześniej mnie o tym nie uprzedziwszy, dopiero za czwartym razem, gdy już zaczynałem wątpić w jego istnienie, zjawił się nieco po czasie w umówionym miejscu, niosąc pod pachą aktówkę, z której malowniczo wystawało kilka kartek oraz okrawki różnokolorowych tkanin. Gdyby w jakimś filmie miała się pojawić postać typowego agenta handlowego, powinien on wyglądać dokładnie tak jak Ahmed, z łysiną na czubku głowy, brzuszkiem wydatnie zarysowanym pod koszulką polo, krótkimi nóżkami wymuszającymi szybkość ruchów i bystrymi, wiecznie rozbieganymi oczami. Kogoś takiego albo kupuje się od pierwszej chwili, albo szczerze nie znosi, co i tak pewnie nie przeszkodzi mu w postawieniu na swoim. Ostatnie zdanie zawsze musiało należeć do Ahmeda.

– Masz godzinę, najwyżej półtorej – oświadczył na powitanie. – Prosto od ciebie pędzę do Cöttogramu. W porcie znowu robią problemy z załadunkiem towaru.

Bangladeskie białe kołnierzyki nie zasmakowały jeszcze w stonowanej elegancji w klasycznym brytyjskim wydaniu, nie pociąga jej nawet bardziej ostentacyjna włoska *sprezzatura*, choć czasem ogląda ją przecież na klientach z Italii. Serce przyspiesza jej dopiero na widok najpopularniejszych i

najbardziej krzykliwych zachodnich marek. Jeśli więc na koszuli nie galopuje ci gracz polo, na spodniach nie masz dwukolorowego znaczka Hilfigera, paska nie firmują Dolce & Gabbana, a na okularach przeciwsłonecznych nie lśni logo Gucciego lub Prady, nie masz czego szukać w tym towarzystwie. Jasnoniebieska koszulka polo Ahmeda i beżowe spodnie mieściły się jeszcze w tych aspiracyjnych kryteriach. Gorzej z półbutami ze sztucznej skóry, które ewidentnie służyły właścicielowi codziennie i już zbyt długo. Wyglądał w tym wszystkim jak facet, który do służbowego uniformu z konieczności włożył obuwie kupione już za własne pieniądze.

Ahmed od sześciu lat pracował jako agent handlowy dla dwóch amerykańskich klientów. Oczywiście, nie na własne konto, lecz jako jeden z kilkudziesięciu pracowników dużego *buying house*.

– Tutaj, patrz, mam próbki kolorów dla jednego klienta. – Wcisnął mi do ręki skoroszyt z foliowymi koszulkami na dokumenty wypchanymi kawałkami różnokolorowych dzianin. – W biurze porównamy to z wzorami od klienta i niech ich Allah broni, jeśli spartaczyli robotę! – Zachichotał i wyrwał mi z ręki segregator, zanim zdążyłem go przekartkować do końca.

Sprawiał wrażenie faceta, który kocha swoją pracę. Zawdzięczał jej status i poziom życia niedostępny dla przeciętnego mieszkańca Bangladeszu oraz – jeśli nie przede wszystkim – poczucie władzy. Wobec mnie był więc niemal kolonialnie uprzejmy, ale już swojego kierowcę traktował jak psa: kazał mu czekać na siebie w nagrzanym jak piekarnik samochodzie bez włączonej klimatyzacji.

– On się tak smaży czasem pół dnia, godzina mu nie zaszkodzi. – Machnął ręką, dając do zrozumienia, że tracimy czas na drobiazgi. A czas Ahmeda – człowieka, który dla swoich amerykańskich przyjaciół stanowi w Bangladeszu swoistą polisę ubezpieczeniową – jest bezcenny.

W tej pracy nie siedzi się bowiem w biurze. Dobry agent krąży po fabrykach, spotyka się z ich menedżerami, gdy trzeba, dotrze nawet do właścicieli albo pogrzebie w zakładowym śmietniku. Nie gardzi też rozmową z szeregowymi robotnikami i z konkurencją. W tym zawodzie warto wyławiać z codzienności najdrobniejsze szczegóły, choćby tak nieistotne, jak kilkudniowe opóźnienie w wypłatach, zmiana dotychczasowych nawyków właściciela czy nagła gotowość fabryki do przyjęcia zlecenia w wyjątkowo atrakcyjnej cenie. Każde odstępstwo od branżowej normy może zwiastować poważne problemy.



– W zeszłym roku jeden facet w Savarze nawiał z kochanką do Chin, a wcześniej wyczyścił firmowe konta do zera i zostawił współnika na lodzie. Fabryka stanęła, robotnicy odeszli – opowiadał Ahmed. – Nasi klienci umoczyliby z kilkadziesiąt tysięcy dolarów, gdybym się w porę nie dowiedział, że w zakładzie coś nie gra z wypłatami – perorował z dumą.

Czasem jednak to zagraniczni klienci, nawet ci najwięksi, z premedytacją szukają właśnie trefnego dostawcy. Jak wyjaśnił Ahmed branżowym żargonem, takiego partnera łatwiej się „prasuje”.

– Powiedzmy, że chcesz wyprodukować sto tysięcy T-shirtów za nie więcej niż półtora dolara za sztukę, czyli praktycznie za darmo – wyliczał, machając mi przed nosem rękami. – Zaczynamy więc od znalezienia fabryki, która desperacko potrzebuje dużego zamówienia. Właściciel szybko zgadza się na bardzo krótki termin realizacji i przeciętną stawkę dolara i dziewięćdziesięciu centów za T-shirt, bo ciśnie go bank albo obiecał żonie apartament w Londynie po tym, jak znowu przyłapała go w hotelu z młodą dupą. My oczywiście wiemy, że nie zdąży na czas, ale przecież tylko o to nam chodzi. Kiedy mija termin odbioru, klient nagle cofa fabryce bankową akredytywę, czyli dostęp do specjalnego rachunku, na który przelał równowartość kosztów całego zamówienia, żeby fabryka miała za co kupić materiały do produkcji.

Teraz czas na buyera, który informuje, że klient ma dość czekania. Niestety nie odbierze towaru, zażąda zwrotu wszystkich pieniędzy i jeszcze odradzi innym firmom biznes z tak nieterminowym dostawcą. Właściciel fabryki, który wydał już znaczną część akredytywy, zaczyna rozumieć, że znalazł się w potrzasku. Wtedy – jak mówił Ahmed – można zacząć go „prasować”.

– Gość dostaje ultimatum: albo cena leci z dolara dziewięćdziesiąt do dolara trzydzieści za T-shirt, albo klient zrywa negocjacje, a wtedy do akcji wkroczy bank. Wierz mi, każdy zmięknie.

– Często takie gierki kończą się bankructwem fabryki? – spytałem dla porządku, bo coś mi mówiło, że znam odpowiedź.

– Właściwie nigdy – odrzekł Ahmed. – Przyparty do muru właściciel sięga do portfela i chwilowo stabilizuje rozchwiany budżet. Ale zazwyczaj po prostu goni się pracowników do bezpłatnych nadgodzin. Dniówka trwa do siedemnastej. Jak przetrzymasz ludzi w firmie do dwudziestej drugiej, to w dwa tygodnie odrobiją stratę.

Mądry buyer, zatrudniony przez mądrego klienta, sidła na fabryki zastawia jednak tylko w ostateczności. Zachodnią firmę i szwalnię w Dhace łączy delikatna symbioza. Zmiany w organizacji produkcji kosztują czas. Czas, wiadomo, to pieniądz. A pieniędzy w biznes odzieżowy powinno się zaangażować jak najmniej. W Chinach zachodnie firmy coraz częściej zamawiają ubrania wybrane z kolekcji zaprojektowanych czy raczej skopiowanych na miejscu przez fabrykę. Wystarczy, że jedna znana zachodnia marka odzieżowa raz zleci za Wielkim Murem uszycie kolekcji według własnego projektu. Średnio zdolna studentka drugiego roku wzornictwa przemysłowego w kilka dni robi z tego własny produkt: tu zmieni proporcje kolorów, tam wszyje zamek w innym miejscu, dołoży lub utnie kaptur, w ostateczności po prostu wymieni grafikę lub napisy. Fabryka sprzedaje potem takie „projekty” mniejszym kontrahentom, których nie stać na własne studio projektowe albo uważają je – poniekąd słusznie – za zbędny wydatek. Bo co z tego, że modę kreują oryginały próbujące wyróżnić się z tłumu? Reszta w tym tłumie marzy tylko o tym, by wyglądać dokładnie jak inni.

– Naprawdę nie widzisz, że wiele ciuchów różnych marek, nawet z różnych półek cenowych, wygląda właściwie tak samo? Sweter, który w Nowym Jorku kosztuje sto czterdzieści dolarów, może wyglądać tak samo jak sweter z dyskontu za czternaście dolarów? Identyczny krój, kolor, wykończenie, inne może będą najwyżej materiały, a i to nie zawsze.

Ahmed świdrował wzrokiem moją koszulę.

– W czasach, kiedy ubrania zamawiało się jeszcze u krawców, klienci potrafili odróżnić kaszmir od zwykłej wełny. Dziś nie tylko nie potrafią, lecz nawet o to nie pytają. Ciuch jest wart tyle, ile metka, którą do niego doszyto. Dlatego moda – perorował – jest dziś ohydnie przewidywalna. Jeśli Prada i Dior wprowadzą do wiosennych kolekcji, powiedzmy, błękit, to jesienią i zimą właśnie ten kolor będzie dominować w ofercie Zary, H&M i GAP-a. A kolejnej wiosny, jeśli nie wcześniej, błękitna będzie już połowa towaru w sklepach i na bazarach całego świata.

W Bangladeszu szyje się dziś wszystko: swetry, spodnie, koszule, T-shirty, sukienki, płaszcze, nawet bieliznę, ale żadna fabryka nie porywa się jeszcze na własne projekty. Szyją tylko to, co wymyśli klient. Często są

gotowe uszyć każdy rodzaj odzieży, ale wiadomo, że jak ktoś zna się na wszystkim, to na niczym nie może znać się naprawdę dobrze. Ahmed i jego koledzy muszą więc mieć w małym palcu zmieniającą się geografie specjalizacji ponad dwóch tysięcy fabryk odzieżowych w Dhace, znać ich moce produkcyjne, a nawet stan maszyn. Właściciel zakładu będzie się chwalić, że niemal cały park maszynowy wymienił zaledwie dwa lata temu, ale z reguły przemilczy, że są to wysłużone maszyny od Chińczyków. Dlatego warto zajrzeć do hali produkcyjnej. Szwy nie kłamią. Na czternastoletnim gracie nigdy nie wyjdą nienagannie równo, a gdy zamawiasz swetry, które potem będziesz sprzedawać po sto pięćdziesiąt euro za sztukę, detale naprawdę mają znaczenie.

Na szczęście zachodni klient nie musi sobie zawracać tym głowy. Od detali ma *buying house*, w jego imieniu wyszukujący najlepsze fabryki i organizujący przetarg. Zamówienie ostatecznie przypadnie zakładowi, który zaproponuje najniższą cenę, najkrótszy czas realizacji albo najczęściej jedno i drugie. Kontrahenci chcą mieć pewność, że gdy coś z ich najnowszej oferty wyjątkowo przypadnie do gustu klientom, fabryka w Bangladeszu będzie w stanie doprodukować to w kilka dni.

– Największą marzę zgarnia się w tak zwanej pierwszej sprzedaży, czyli w pierwszych tygodniach obecności kolekcji w sklepach, kiedy cena jest najwyższa – objaśniał Ahmed, grzebiąc w papierach. – Są firmy, które po dodatkową partię dobrze schodzącego towaru wysyłają nawet z Europy wycarterowany samolot. Statkiem płynęłoby to ze dwa lub trzy tygodnie.

Najpierw do klienta muszą jednak trafić tak zwane sample. Na początek wysyła się próbki rozmiarów, dla pewności, że rozmiar L dla krojczego w Dhace oznacza dokładnie to samo co dla projektanta z Mediolanu. Jeśli rozmiarówka się zgadza, klient dostaje do akceptacji próbki kolorów z całej kolekcji. Następnie dodatki, jak zamki, guziki, spinki, zatrzaski, naszywki i tym podobne. Skóra często przyjeżdża z Iranu i Pakistanu, guziki i zatrzaski – z Chin lub Filipin, zamki i nici – nawet z Japonii, a personel w fabryce w Dhace niekoniecznie potrafi odróżnić surowiec dobrej jakości od tandety. Czasem centrala żąda po próbnym egzemplarzu z kolekcji, aby się upewnić, że efekt finalny będzie zgodny z oczekiwaniami.

Paradoksalnie najtrudniej zrobić właśnie dobrze leżący T-shirt. Jedna drobna pomyłka projektanta lub krojczych i podkoszulek będzie się nieznośnie wykręcać na ciele. Źle wszyte rękawy, zamiast podkreślać

sylwetkę, będą ją z kolei deformować, poszerzając właściciela T-shirtu w ramionach. Wreszcie zdobienie. Azjaci są nie tylko niżsi od Europejczyków, lecz w dodatku szczuplejsi. Napis lub grafika na T-shircie na rynki europejskie lub do Stanów muszą być więc umieszczone odrobinę niżej niż na koszulce identycznego rozmiaru, która zostanie w Azji; inaczej nabywca będzie wyglądać dziwacznie z napisem niemal pod szyją.

– Czasem trzeba zrobić i siedem próbných serii, bo klient ciągle dosyła uwagi – tłumaczył Ahmed. – Niestety, w Ameryce czy u was, w Unii w firmach odzieżowych decyzje podejmują ludzie, którzy w życiu nie siedzieli przy maszynie do szycia. Czasem nawet nie byli w fabryce. Niedawno jeden Amerykanin zrobił awanturę, że kołnierz wiatrówki usztywniony wkładką z plastycznego tworzywa nie prezentuje się tak fantazyjnie jak w projekcie. Sam właściciel fabryki musiał tłumaczyć mu przez telefon, że zaprojektować w komputerze można wszystko, ale nie wszystko da się potem uszyć.

Problem w tym, że po Rana Plaza odbiorcy ze Stanów i Europy woleliby oficjalnie nie wiedzieć nic o detalach produkcji w Bangladeszu. Licho nie śpi. Ostatnio na negocjacje przyjechała jakaś niemiecka szych. Właściciel uparł się, że chce oprowadzić gościa po fabryce. Niemiec zgodził się z ociąganiem i tylko pod warunkiem, że będzie wizytować zakład po godzinach.

– Koło dwudziestej pierwszej na korytarzu prowadzącym do gabinetu dyrektora panował już półmrok, bo świeciła się tylko jedna żarówka – mówił Ahmed. – Przy ścianie siedziała w kucki starsza kobieta. Spała. Niemal na nią nadepnęliśmy, mnie serce prawie skoczyło do gardła. Kiedy właściciel zobaczył minę gościa, od razu wyjaśnił, że to sprzątaczką, która dorabia sobie po godzinach, a teraz po prostu odpoczywa. Ale Niemiec zaczął panikować, że nie chce mieć na głowie obrońców praw pracowniczych i kazał ją natychmiast odesłać do domu. Próbowaliśmy wyjaśniać, że to nic złego, wręcz przeciwnie, bez nadgodzin kobiecie nie wystarczy na życie. Bez szans. Gość krzyczał tylko w kółko, że nie chce kłopotów.

Kłopotów nie chcą również fabrykanci z Bangladeszu. Kto jak kto, lecz oni wiedzą najlepiej, że przeciętny zachodni kontrahent w nosie ma warunki i czas pracy, nie obchodzi go też, czy ubrania szyją mu pełnoletnie szwaczki, czy może dwunastolatki. Klient całą uwagę koncentruje na tym, żeby zdobyć

towar tańszy i lepszy niż konkurent. Wojna wielkich marek odzieżowych toczy się dziś dosłownie o centy na każdej zamówionej sztuce.

Nawet najbardziej cyniczni zachodni menedżerowie dla zasady muszą jednak od czasu do czasu oficjalnie zatroszczyć się o warunki pracy w szwalniach. Na głowie mają przecież akcjonariuszy, watahy rozmaitych urzędników i wreszcie organizacje konsumenckie, zwłaszcza te z lewicowym rodowodem, które czyhają na najdrobniejsze potknięcie kapitalistów. Zamiast więc setny raz tłumaczyć się z dzieci w hali fabrycznej czy z kolejnej drogi ewakuacyjnej przerobionej na magazyn, właściciele najbardziej obleganych fabryk w Dhace skalkulowali koszty i stworzyli nowoczesne „fabryki potiomkinowskie”, w których można dosłownie jeść z podłogi, na ścianach gęsto wiszą gaśnice i regulaminy bezpieczeństwa pracy, a dzieci szwaczek uczą się czasem angielskiego w przyzakładowym przedszkolu pod okiem wykwalifikowanych opiekunek. Tu również produkuje się odzież. Ulica w Dhace sarkastycznie zwie jednak takie miejsca pięciogwiazdkowymi fabrykami, bo prosto z luksusowych hoteli zwozi się do nich na pokazy zachodnich dziennikarzy, polityków, oficjalne delegacje klientów, działacze organizacji walczących o prawa pracownicze i innych zagranicznych naiwniaków.

– Przeganiają ich po piętach, a jak się zmęczą i znudzą, jadą na lunch do drogiej restauracji, skąd już nigdzie się nie ruszą, bo są zbyt pijani – kpił Ahmed. – No i co ci biedacy mogą po takiej wizycie napisać w raporcie czy artykule?

Na pewno nie to, że najlepsze fabryki w Dhace są dziś w stanie nawet czterokrotnie przekroczyć swoje maksymalne roczne moce produkcyjne. Żaden cud. Renomowane zakłady pracujące dla najlepszych marek przyciągają mniejszych kontrahentów, którzy widzą w nich gwarancję fachowości i terminowości. Właścicielom fabryk żal z kolei odsyłać klientów z kwitkiem. Przyjmują więc zlecenie na dwieście tysięcy T-shirtów w cenie, powiedzmy, 1,9 dolara za sztukę, a następnie podzlecają wykonanie mniejszej fabryce, gotowej uszyć to samo już za 1,65 dolara. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów czystego zysku. A że w tej tańszej fabryce co kilka miesięcy szwaczka ginie porażona prądem, bo niemiłosiernie przeciążona instalacja elektryczna iskrzy jak fajerwerki? Nikt przecież się nie dowie. Bo nikt nawet o to nie zapyta. Zachodni kontrahenci rozumieją przecież, na czym polega „optymalizacja kosztów”. Wiedzą, że jeśli płacą za wyprasowane spodnie, ale

już nie za prasowanie, fabryka prędeży czy później zacznie zlecać prasowanie jeansów w jakiejś zatęchłej norze w zaułkach Mirpuru lub Narayanganj.

Albo na przykład taki *sandblasting*, czyli piaskowanie jeansów, które nadaje im tak lubiany przez klientów podniszczony wygląd. Drobny piasek pod dużym ciśnieniem skutecznie postarza również płuca ludzi wykonujących piaskowanie. Pracownicy powinni nosić specjalne hełmy podobne do tych, jakie wkładają nurkowie głębinowi, zasilane powietrzem z zewnętrznego źródła. W ostateczności powinni mieć maski i okulary. Czyli znowu koszty, a tych nie chcą wziąć na siebie ani zagraniczni zleceniodawcy, ani tym bardziej klienci, którzy naczytali się już w internecie o sandblastingu i żądają spodni postarzanych bezpieczniejszą metodą. Oczywiście w starej cenie.

Rozsądny producent jeansów rozgląda się więc za zakładem, w którym piaskowanie kosztuje grosze, bo maszynę obsługuje najmłodszy syn niepiśmiennego rolnika z Khulny, który przyjechał do stolicy robić karierę w odzieżówce i ambitnie zgodził się wykonywać sandblasting jedynie z ustami zasłoniętymi mokrą ścierką. Za parę lat będzie wrakiem dogorywającym na pylicę, ale na razie o tym nie wie, piaskuje więc ochoczo jeansy po dwanaście godzin na dobę, inkasując za to równowartość sześciu–ośmiu złotych dniówki. Wieczorami kaszle, czasem z oczu lecą mu krwawe łzy, ale właściciel warsztatu uspokaja, że to przez zanieczyszczone powietrze w Dhace, do którego przybysze ze wsi muszą przywyknąć. Przecież gdyby piaskowanie było tak groźne dla zdrowia, jak straszą ci nawiedzeni obrońcy praw pracowniczych, Amerykanie czy Europejczycy nie zapłaciliby za parę takich spodni równowartości półrocznej pensji chłopaka.

Po długim wywodzie Ahmed wziął głęboki wdech, jakby sam chciał oczyścić płuca z piasku, o którym opowiadał.

– Nie dziw się, taka praca. Wy, dziennikarze, też umieracie najczęściej na zawał, prawda? – Szybko uścisnął mi dłoń na pożegnanie, wrzasnął na kierowcę, by włączył klimę, i ruszył w stronę samochodu.

Krzyknąłem jeszcze za nim, by podrzucił mi namiar na jakiś podejrzany zakład, w którym wykańcza się zlecenia z dużych fabryk.

Udał, że nie słyszy.

Kilka dni później w ciasnych zaułkach Mirpuru, jednej z najstarszych



dzielnic przemysłowych Dhaki, nieoczekiwanie uśmiechnęło się do mnie szczęście. Właściciel fabryki Shagh Ali Enterprise osobiście zaprosił mnie do siebie. Wszedł nawet w tym celu na środek ulicy, ucisnął mi dłoń i bębniąc po moich plecach drugą ręką, wepchnął do środka swojego zakładu. Zdążyłem tylko zdjąć buty w progu, czego gorzko żałowałem już chwilę później, widząc ciekawski tłumek bosonogich dzieci, tragarzy i szwaczek, który zebrał się w drzwiach i wdeptał moje obuwie głęboko w błoto. W Bangladeszu miejscowi nigdy nie przepuszczają okazji, by otrzeć się o cudzoziemca; jeśli obcy zatrzyma się na chwilę na ulicy, po kilku sekundach najpewniej stać będzie obok niego miejscowy i bez słowa powitania zacznie wpatrywać się mu głęboko w oczy. Jeśli przyjezdny nie zareaguje i się nie ruszy, po kolejnych kilkudziesięciu sekundach bez wątpienia poczuje, że robi się mu nieprzyjemnie duszno i gorąco – bo w tym czasie wokół niego zbierze się już kilkadziesiąt osób. Zbiegowiska powstają tu zresztą i bez obcokrajowców. Jeśli na ulicy dojdzie na przykład do sprzeczki między dwoma kierowcami, można być właściwie pewnym, że po chwili w awanturę zaangażują się – naturalnie po obydwu stronach – dziesiątki przypadkowych przechodniów i kierowców. Może zdarzyć się też tak, że w pobliżu zabraknie policjanta, który bezceremonialnie rozpędziłby zbiegowisko bambusowym kijem, a wtedy uliczna przepychanka płynnie przechodzi w fazę regularnego mordobicia, podczas którego typowe dla miejscowych gościnność i uprzejmość wobec cudzoziemców ulegają chwilowemu zawieszeniu. W niemiłosiernie przeludnionej Dhace uliczne bójkki to najwidoczniej swoisty rytuał, którego celem jest zmniejszenie napięć między ludźmi.



Fabrykę Shagh Ali Enterprise założył jeszcze ojciec obecnego właściciela, Amjada Hussaina. Wtedy – jak mówi Amjad – krawiec mógł jeszcze godnie żyć ze swojej pracy.

W samym Mirpurze w godzinach pracy fabryk tłum na szczęście aż tak nie doskwiera, a uliczki w starej części dzielnicy koło meczetu, ułożone niemal w regularną siatkę, dodatkowo wzmagają poczucie nieczęsto spotykanej w tym mieście harmonii. Amjad Hussain, czterdziestoosmioletni właściciel fabryki odzieżowej Shagh Ali Enterprise, mógł zatem z daleka wypatrzeć mnie na ulicy, przygotować się do wylewnego powitania i zaplanować spotkanie, z którym – jak się miało wkrótce okazać – wiązał duże nadzieje.

– Nieczęsto widzimy cudzoziemców. Czego w sumie mieliby tutaj szukać? – wyjaśnił, sapiąc, zza góry materiałowych ścinków, które pospiesznie zgarnął ze starego krzesła, żeby zrobić mi miejsce. – Serce przemysłowej Dhaki od dawna bije gdzie indziej. My tutaj czekamy już tylko

na swój koniec. Bliski koniec, bracie. – Uśmiechnął się smutno.

Amjad całe życie spędził w Mirpurze. Kiedy przyszedł na świat, okolica nie była jeszcze szczelnie zabudowana szybko niszczącymi budynkami, a bure estakady kolejowe i wieżowce nie przesłaniały horyzontu. Niedaleko zakładu krawieckiego jego ojca rozciągały się pola ryżowe, gdzie młody Amjad wraz z młodszym rodzeństwem i kolegami ganiał czaple, rzucał kamieniami w kobry i przeszkadzał w pracy kobietom, które ze śpiewem brodziły w wodzie, przerywając ryżowe sadzonki. W sezonie monsunowym drogi na całe tygodnie znikają pod wodą i do centrum Dhaki można było się przedostać tylko łodziami. Mirpur był cichym rolniczym przedmieściem stolicy, nieśmiało wyrastały tam pierwsze warsztaty i fabryczki. Z dzieciństwa Amjad najmilej wspomina jednak wszechobecną głęboką zielenią, taką samą, jaka zdobi flagę kraju jako tło nasyconej czerwieni symbolizującej zachodzące słońce.



Po południu, gdy wiatr ustaje, Mirpur cuchnie już tylko sobą. Brudem.  
Zbutwieniem. Schyłkiem.

– Te dzieciaki przyjechały ze wsi. – Wskazał na dwóch nastolatków chichoczących coś do siebie przy maszynach do szycia. – Kiedy im opowiadam, że jeszcze dwadzieścia pięć lat temu Dhaka była tak samo zielona jak ich rodzinne miejscowości, z niedowierzaniem prychną śmiechem. Ale to prawda. Tu wszędzie rosły drzewa, w sezonie owoce chlebowca i mango spadały nam z gałęzi niemal prosto na talerze.

Dzisiaj w Mirpurze nic już nie przychodzi łatwo. Nawet oddychanie. Dawne pola ryżowe zarosły budynkami tak szybko, że budowniczym zabrakło czasu na zaprojektowanie porządnej kanalizacji, która teraz zatyka się systematycznie i odcina kolejne fragmenty dzielnicy za cuchnącymi bajorami. Owszem, w porze monsunowej woda nie stoi jak dawniej tygodniami na ulicach, ale riksą czy autem też się nie przebijesz przez głębokie błoto zalegające na drogach. No i ten fetor. Przez cały rok wiatr od rana nawiewa nad zakład Amjada gryzące siarkowe opary z sąsiedniej przędzalni. Po południu wiatr ustaje, albo to zakład przestaje dymić. Wtedy Mirpur cuchnie już tylko sobą. Brudem. Zbutwieniem. Schyłkiem.

Fabrykę Shagh Ali Enterprise Amjad odziedziczył po ojcu, krawcu starej daty, który jako nastolatek zawodowe szlify zdobywał jeszcze w brytyjskiej armii, czyszcząc i łatając oficerskie uniformy w Birmie. Amjad otrzymał w spadku również siedem malowniczo podniszczonych maszyn brytyjskiego Singera, które służbę w odzieżówce rozpoczęły najpewniej jeszcze za panowania ojca królowej Elżbiety II. Stoją teraz poupychane w dwóch rzędach w ciemnej, klaustrofobicznej siedzibie Shagh Ali Enterprise, szerokiej może na trzy metry i długiej najwyżej na metr. W kącie wentylator zapewnia ruch powietrza. Dwie maszyny, które odmówiły posłuszeństwa, służą za półki na materiały i podręczny rezerwuar części dla pozostałej sprawnej piątki. Pracy dziś starcza jednak najwyżej dla dwóch krawców. Resztę pracowników Amjad już dawno musiał zwolnić.

W Bangladeszu to nie powinno się wydarzyć. Bo czy to normalne, żeby w państwie, które ubiera połowę świata, przeciętnego mieszkańca nie było stać nawet na jedno nowe ubranie w roku? Ponad cztery tysiące zakładów odzieżowych w kraju daje pracę blisko pięciu milionom szwaczek, krojczych i prasowaczy. Teoretycznie wszyscy ci ludzie powinni też być klientami



swojej branży. Ale nie są. Tradycyjny damski strój codziennego użytku, składający się z szerokich szarawarów zwanych salwar, długiej tuniki *kamiz* (zwanej też po bengalsku *dżama*) oraz szerokiego szala (*orna*) w dobrym sklepie kosztuje dziś trzy–pięć tysięcy taka, czyli równowartość miesięcznej pensji szeregowej szwaczki. Na takie cacka stać dziś jedynie żony i córki fabrykantów oraz menedżerów, które ostatnimi czasy ostentacyjnie odrzucają ojczyzną tradycję i zamieniają na przykład salwar na wąskie seksowne jeansy.

– Zgroza ogarnia człowieka – mówił Amjad – bo góra odziana w dżamę i ozdobiona szalem wygląda jeszcze przyzwoicie. Ale od pasa w dół to już obraza dla Allaha i dla każdego porządnego mężczyzny – oburzał się krawiec.

Półgotowe ubranie, sprzedawane w formie szablonów do wykrojenia i zszycia, można mieć już za sześćset–osiemset taka, ale po doliczeniu usługi krawieckiej i tak ciężko będzie to zamknąć w tysiącu. Bogobojna kobieta pracująca uczciwie w fabryce odzieżowej nie może więc sobie pozwolić nawet na taki strój. Co prawda w Bangladeszu właściwie każdy potrafi szyc na maszynie, bo uczą tego w szkole podstawowej. Niestety, nie uczą, jak zarobić na własną maszynę. Jakiś czas temu ekonomista Muhammad Yunus zaczął udzielać drobnych pożyczek młodym, żeby otwierali własne warsztaty krawieckie, zamiast pracować dla kogoś za głodowe stawki. Ponoć dostał nawet za to jakąś cenną nagrodę za granicą<sup>6</sup>. W Dhace głośniej było jednak o brutalnych windykatorach stworzonego przez Yunusa Grameen Banku, którzy bezwzględnie inkasowali potem raty mikropożyczek nawet od biedaków bez grosza przy duszy. Mieszkańcy Mirpuru podzielili się na tych, co są zdania, że poczciwy Muhammad Yunus nie ma pojęcia o tym, co w terenie wyprawiają jego pracownicy, i na drugą, liczniejszą frakcję, która podejrzewa, że stary profesor zyskał na swojej inicjatywie znacznie więcej niż tylko międzynarodową popularność i nagrody.

Amjad nie zamierzał się opowiadać po którejkolwiek stronie. Miał poważniejsze problemy.

– Ojciec powtarzał mi, że krawiec nigdy nie chodzi głodny, bo czego jak czego, ale ubrań ludzie zawsze będą potrzebować. Miał szczęście, że nie dożył czasów, kiedy krawcy stali się zbędni – westchnął.

Bo choć trudno w to uwierzyć, Bangladesz – krawiec świata – ubiera się teraz głównie w second-handach. Za równowartość dniówki przeciętnej szwaczki, czyli za dwieście–pięćset taka, można kupić ubranie w jednym z

setek zakładów zajmujących się przywracaniem do życia starej odzieży, z reguły funkcjonujących przy dużych fabrykach. Sfatygowane spodnie i koszule, których zamożni właściciele nie chcieli już nosić, pruje się tam na kawałki, wycina najmniej zniszczone fragmenty tkaniny, a potem zszywa się ponownie w pstrokaty patchwork ze ścinkami poprodukcyjnymi z fabryki. Jeśli odzież jest w dobrym stanie, czasem wystarczy tylko przesyć ją na nowo albo przenicować. Nowemu właścicielowi taki strój posłuży kilka, czasem kilkanaście miesięcy. Moda? To pojęcie z odległego świata, w którym można również wybrać, co się zje na obiad.

Ostatnie ubrania na miarę Amjad kroił więc w swoim zakładzie jakieś piętnaście lat temu. Dziś najbogatsi mieszkańcy Dhaki, do których należą okoliczne szwalnie, na zakupy latają do Dubaju i Hongkongu. Mniej zamożni kierownicy fabryk z rodzinami ubierają się z kolei w centrach handlowych reprezentacyjnej dzielnicy Gulshan i nie zamierzają tracić czasu na przymiarki gdzieś w środku zapyziałego Mirpuru. Amjad z konieczności przekwalifikował się na wykańczanie towaru dużym fabrykom, choć dla doświadczonego krawca to zawodowa degradacja i pasmo udręk.

– Przyjeżdża na przykład partia dwóch tysięcy koszul, do których mamy doszyć tylko znaczki na piersi. Od razu widzę niedoróbki, tu źle obszyte brzegi rękawa, tam za mało luzu i wiadomo, że szew się szybko spruje. Swoim ludziom dałbym po łapach za taką fuszerkę – mówił Amjad. – Ale przecież nikt mnie nie pyta o zdanie, a poza tym mamy tylko trzy godziny na doszycie tych cholernych znaczków. Siadamy więc we trzech do maszyn i lecimy. Po trzy–cztery koszule na minutę.

Opłaca się to coraz mniej. W okolicy powstało już z pięć warsztatów krawieckich, które desperacko walczą ze sobą o zlecenia z dużych fabryk. Niektóre mają jedną maszynę do szycia i personel złożony wyłącznie z właściciela, który kilka lat przepracował w odzieżówce na stanowisku na przykład nadzorcy, a teraz próbuje sił w biznesie. Shagh Ali Enterprise na razie wygrywa z okoliczną konkurencją doświadczeniem i renomą, ale fabrykanci wiedzą, że to oni rozdają karty w tej grze, i płacą coraz mniej. Albo umawiają się na określoną kwotę za wykończenie pewnej puli ubrań i bezczelnie przesyłają ich znacznie więcej. Jeśli właściciel warsztatu upomni się o pieniądze, z reguły przeproszają za pomyłkę i zapewniają, że rozliczą się z tej dodatkowej roboty przy następnym zleceniu. Tyle że jak się człowiek upomni, to kolejnego zamówienia z tej fabryki może już nie dostać. Amjad



nie ryzykuje. Chowa dumę do kieszeni i prosi pracowników, żeby zostali z nim po godzinach bez dodatkowej zapłaty, bo tu chodzi o ich wspólną przyszłość.

Ile zarabia Shagh Ali Enterprise, jej właściciel nie zdradzi, bo straciłby szacunek w oczach swoich pracowników.

– Coraz częściej zdarzają się jednak miesiące, w których po opłaceniu wszystkich kosztów zostaje mi na czysto niewiele więcej, niż płacę najlepszemu pracownikowi. Gdybyśmy mieli nowocześniejsze maszyny, które pracują szybciej i które można na przykład zaprogramować do wyszywania haftów, mógłbym powalczyć o bardziej lukratywne zlecenia z fabryk.

Siedzący obok Amjada kilkunastoletni chłopak kończył w tym czasie wyszywanie maszyną skomplikowanego haftu na tradycyjnym czerwonozielonym stroju na bengalski Nowy Rok. Bez szablonu, po prostu przesuwając materiał pod igłą maszyny, która wyszywała na czerwonym tle misterną kwiatową arabeskę. Wykonanie całości zajęło mu może pięć minut. Za podobne rzemiosło klienci płacą dziś fortunę krawcom z londyńskiej Savile Row czy mistrzom z Mediolanu i Neapolu. Tymczasem zapyziała fabryczka, jakich w Dhace są tysiące, zatrudnia czeladników, którzy co prawda nie umieliby skroić garnituru jak włoscy krawcy, ale i tak posiadają umiejętności w Europie od dawna już uchodzące za rarytas. I ta fabryczka powoli umiera z braku zamówień, które mogłyby jej zapewnić jedynie maszyny. Mechanizmy globalizacji nie zawsze mają wiele wspólnego z logiką.

– Czy byłbyś w stanie załatwić nam jakieś zamówienia w swoim kraju? – zapytał wreszcie nieśmiało Amjad, sięgając po stos ubrań piętrzących się na jednej z maszyn. – Jesteśmy terminowi, solidni, no i przede wszystkim szyjemy niedrogo. Tę koszulkę na nasz Nowy Rok, z czystego lnu, ręcznie zdobioną, mogę wyprodukować za jakieś dwieście taka.

To niespełna osiem złotych. Nie sądzę, by szwalnie w Polsce mogły zaoferować taką cenę. Ale też zapewne trudno byłoby znaleźć polską markę odzieżową, która chciałaby współpracować z fabryką z Bangladeszu wyposażoną w pięć przedwojennych maszyn do szycia, z których zresztą na chodzie są tylko trzy.

Amjad zapewne wyczytał odpowiedź z mojego wyrazu twarzy, bo wstał bez słowa od maszyny i poszedł wygrzebywać moje buty z błota. Na pożegnanie jeszcze raz poklepał mnie ciężką krawiecką łapą po plecach.

\*\*\*

Wypiaskowane spodnie, wyprasowane koszule, ometkowane i zapakowane T-shirty wracają w końcu do „pięciogwiazdkowej” fabryki matki. Cichaczem, jak uczniowie do internatu po nocnej eskapadzie. Zleceniodawca nie powinien się o tym dowiedzieć. W cenę towaru ma wliczony również święty spokój.

Gdy w maju 2013 roku spod gruzów Rana Plaza zaczęto wydobywać zakrwawione metki zachodnich marek (w tym polskiego Cropp należącego do gdańskiej firmy LPP), część wywołanych do tablicy producentów tłumaczyła się, że nie mieli pojęcia, dokąd fizycznie trafiły ich zlecenia. Zdziwienie niektórych wcale nie musiało być udawane. Bangladesz to nie tylko wielka szwalnia. To także królestwo niedopowiedzianego, nieustalonego, w trakcie nieustannej zmiany, która wyklucza wykrywanie jakiegoś porządku lub zwyczaju. Tu, gdzie jeszcze wczoraj można było kupić soczyste mango od sprawdzonego sprzedawcy, zdezelowane ciężarówki zrzuciły dziś na pobocze tony śmieci i po handlarzu ślad zaginął. Tam, gdzie wczoraj od ręki dawało się załatwić jakąś urzędową sprawę, dzisiaj nie ma już urzędu albo w okienku wita cię inny biurokrata, który w nosie ma ustalenia, jakie poczyniłeś wcześniej z jego kolegą. W fabryce, w której jeszcze wczoraj miałaś zaklepaną produkcję, dziś panuje chaos, bo właściciel oddał już twój termin innemu, lepiej płacącemu klientowi. Każdego przybysza – czy to mieszkańca Bangladeszu, czy cudzoziemca – stolica tego kraju wita tylko jednym świętym przykazaniem: *panta rhei*. Bangladesz to ziemia obiecana krętaczy i cwaniaków. Cudzoziemców, którym marzy się tu coś na kształt ekskluzywnego szycia na miarę, tylko na skalę przemysłową, czeka bolesna konfrontacja z rzeczywistością.

Zanim się tego nauczysz, minie jednak wiele dni, kilometrów w korkach i bezowocnych spotkań z nie tymi ludźmi, co trzeba. Na razie wiesz tylko, że chcesz pod prysznic. Dopiero co przyleciałeś, pod powiekami masz piasek, w głowie kręci ci się z niewyspania, a ubranie cuchnie kilkunastogodzinnym lotem. Od podzwrotnikowego upału i duchoty jeszcze chroni cię skorupa klimatyzowanego terminalu, ale przez okna już widzisz, jak powietrze gotuje się przy powierzchni asfaltu. Na sam ten widok koszula klei się do pleców.

Idziesz więc spocony do kolejki po wizę. Pierwsze zaskoczenie. Jeśli tylko nie wyglądasz na obdartego backpackera, który będzie spać po zapchlonych motelach i jeść na ulicy, prędzej czy później z ogonka wyłowi cię agent lotniska i za odpowiednią opłatą skróci twe proceduralne męki. Kolejka w cudowny sposób zniknie. Wprawdzie jakieś starsze małżeństwo francuskich turystów będzie głośno utyskiwać, dlaczego, do cholery, ktoś wchodzi po wizę poza kolejnością, lecz agent ma na takie okazje wyuczoną formułkę, coś o specjalnej procedurze dla specjalnych gości. Co dokładnie, już nie pamiętasz. Jesteś oszołomiony, jak szybko i bezboleśnie przeniosłeś się z końca długiej kolejki po wizę do stanowiska odprawy paszportowej, i zaczynasz rozumieć, że w Bangladeszu z odpowiednimi ludźmi po swojej stronie można naprawdę wiele. Agent lotniska jest troskliwy i empatyczny, pilnuje cię jak pies pasterski. Jeśli w twoich oczach dostrzeże oznaki znudzenia lub irytacji, kopniakami wykarcuje ci przejście pomiędzy tubylcami bezpośrednio do kontuaru pogranicznika, podsunie mu pod nos dokumenty i objaśni, co trzeba. Jeszcze tylko przystanek przy karuzeli z bagażami i Dhaka stoi przed tobą otworem. Rzecz jasna, za odpowiednią opłatą i z odpowiednimi ludźmi u boku.

Dobre fabryki odzieżowe w Dhace, które produkują szybko, tanio i porządnie, mają tyle zleceń, że na realizację zamówienia trzeba czekać minimum pół roku. Bez przetartych znajomościami szlaków oczekiwanie wydłuża się często w nieskończoność, bo nowy klient nieustannie spada na koniec ogonka, wypychany przez następne tak zwane ordery (zamówienia) od stałych kontrahentów. Największe marki nauczone bolesnym doświadczeniem pracują już ze sprawdzonymi zakładami na wyłączność, ale wciąż na zasadzie ograniczonego zaufania. Nawet jeśli dziewięć razy odbierałeś towar bez niemiłych niespodzianek, przy dziesiątym zamówieniu możesz się dowiedzieć, że pod nieobecność buyera fabryka zrealizowała czyjeś zlecenie za pieniądze z twojej akredytywy. To jest Bangladesz. Gwarantujemy jedynie, że będzie tanio.



Największe fabryki odzieżowe w Dhace mają dziś tyle zleceń, że część z nich oddają mniejszym zakładom, a te z kolei dzielą się nimi czasem nawet z małymi ulicznymi warsztatami krawieckimi.

Jeśli marzy ci się, żeby było również dobrze, musisz zamówić dodatkową usługę kontroli jakości. Niektóre firmy oferują to odpłatnie, ale w Dhace, gdzie prawo jazdy można kupić na ulicy jak mango czy kokosy, niczego nie gwarantuje nawet certyfikat międzynarodowej firmy zajmującej się kontrolą jakości produkcji. Chcesz mieć pewność, że towar będzie naprawdę porządny, musisz wysłać do fabryki własnych ludzi. Ale tak zwane QC, czyli *quality check*, warte jest biletu lotniczego do Dhaki w klasie biznes i pokoju w renomowanym hotelu. Pracownicy osobiście przejrzą co piątą–dziesiątą sztukę w każdej partii materiału, a w przypadku małych luksusowych kolekcji najdroższych marek – nawet każdy wykonany egzemplarz. Poszukają odstępstw od wzoru, nedoróbek, błędów w napisach, sprawdzą

też, czy na pewno użyto takich technologii i materiałów, jakie określono w zamówieniu. Jeśli partia towaru ma braki, od razu wyłącza się w koszu. Fabryka z góry przygotowała się na taką ewentualność i produkuje co najmniej o 10–15 procent więcej, niż zamówił klient – oczywiście wliczając to w koszt całej usługi. Nadwyżki, zwane w branży leftoverami, nigdy się nie marnują. Nawet gdy nie ma licznych reklamacji i transport trafia bez przygód do odbiorcy, leftovery w fabrycznym magazynie pozostają łakomym kąskiem. Klient pewnie zażąda, żeby je komisyjnie zniszczyć, ale przecież to pełnowartościowy towar, nierzadko bardzo znanej marki, lepiej więc spalić jakieś szmaty i wystawić klientowi zaświadczenie, że stało się, jak sobie życzył. Przed bramą fabryki już stoją chętni do zakupu leftoverów. Płacą bez szemrania, gotówką, nierzadko nawet lepiej od klienta, który zamówił szycie. Po zmroku, kiedy szwaczki w barwnym orszaku wyruszą do domów, a w fabryce zostanie tylko garstka zaufanych strażników i menedżerów, nadwyżka odjedzie w siną dal na ciężarówkach nowego właściciela i z nową tożsamością. Jako tak zwane podróbki.

Kilka przecznic od skrzyżowania, na którym Musa Hussein pokazywał mi swój polski T-shirt, stoi rozpadający się pawilon handlowy pamiętający chyba jeszcze czasy angielskiej administracji. Odrapaną fasadę spowija szalona arabeska poplątanych kabli telefonicznych, ale uwagę i tak natychmiast przyciąga jeszcze większe kłębowisko ludzi stłoczonych wzdłuż rzędu kramów rozstawionych na parterze. Dla ochrony przed słońcem handlarze pootwierali tu ciężkie markizy, których ciąg tworzy wzdłuż fasady budynku niewiarygodnie nagrany tunel pełen krzyżących sprzedawców, gestykujących klientów i żebraków proszących o coś do jedzenia. Piekło nie byłoby kompletne, gdyby nie kręcili się tu jeszcze kieszonkowcy. Obie dłonie najlepiej trzymać więc w kieszeniach, chroniąc portfel i komórkę.

– Teraz proponuję nie ocierać potu z twarzy – przestrzegł mnie z uśmiechem tłumacz. – W tym miejscu może cię to dużo kosztować.

Przecisnąwszy się przez kręgi piekielne na parterze, dotarliśmy wreszcie do wąskich, nadspodziewanie czystych schodów prowadzących na pierwsze piętro pawilonu, gdzie powietrze poruszały już wentylatory, a między kupującymi i sprzedającymi chwilami widać było podłogę. Część straganów miało nawet szklane witryny i drzwi, za którymi witał luksusowy chłód

klimatyzacji. Przewodnik zatoczył ręką koło.

– Kupuj. Taniej nie znajdziesz, wszystko oczywiście oryginalne – zachęcił mnie z szerokim uśmiechem i sam przystąpił do negocjowania ceny szykownych granatowych spodni.

Cena topniała w oczach, w przeciwieństwie do mojego podziwu dla zdolności negocjacyjnych cicerone, który chwilami wręcz krzyczał na złąknionego sprzedawcę. Gdy w końcu zbił cenę do akceptowalnego dla siebie poziomu, wyszczerzył się znowu.

– Twoja kolej – zaordynował.

Dobiliśmy targu. Podejrzenie szybko, ale nie mogłem wykrzesać z siebie więcej negocjacyjnej werwy, kiedy już cena wyjściowa wypatrzonogo produktu była czterokrotnie niższa od tej w polskim sklepie. Pozrzedziłem więc odrobinę dla porządku, oglądając towar, potargowałem się dla zasady i w końcu za równowartość niecałych trzystu złotych wyszedłem objuczony bokserkami, czapkami, T-shirtami i koszulami trzech wielce modnych i luksusowych marek, za które w Polsce musiałbym zapłacić minimum dwa tysiące. Wszystkie łupy były zapakowane i ometkowane na pierwszy rzut oka dokładnie tak samo jak w sklepie firmowym.

Przewodnik spojrzał na mnie pobłaźliwie.

Spróbowałem przejść do kontraktaku, pokazując mu krzykliwy podkoszulek pewnej luksusowej amerykańskiej marki, którą uwielbiają tamtejsi celebryci.

– Orientujesz się, ile taki T-shirt kosztuje na Manhattanie? Jakies sto dolarów. Tutaj zapłaciłem za niego niecałe siedem. Dalej uważasz, że to zły *deal*?

– Niecałe siedem dolarów, dobra cena. Ale pięć dolarów jeszcze lepsza. – Zaśmiał się i protekcjonalnie poklepał mnie po ramieniu.

Światowa Organizacja Ceł szacuje, że na świecie mniej więcej co dziesiąty dolar wydawany na odzież trafia do sprzedawców podróbek. Autorzy tego opracowania nie próbowali jednak odpowiedzieć na pytanie, jaką część z owych dziesięciu procent stanowiły oryginalne wyroby sprzedawane po prostu poza oficjalną dystrybucją marki. Usprawiedliwiać może ich to, że chyba nikt nie potrafi tego sensownie oszacować, nawet policja i służby celne. Oryginalne jest dla nich jedynie to, co producent uznaje za oryginalne, producenci zaś wolą udawać, że podróbki to niemal zawsze tandetne imitacje

oryginału. Czuć w tej postawie desperację. Bo jak potem przekonać klientów do kupowania bluzek i spodni za setki euro, jeśli przyzna się zgodnie z prawdą, że po rynku nieoficjalnie krąży również identyczny towar w znacznie niższej cenie?

Tyle że problem nie znika, kiedy tylko zamknie się oczy. Z portu w Ćottogramie codziennie rusza w świat prawie sto dwadzieścia tysięcy ton ładunku, z czego większość stanowi odzież zamówiona w Bangladeszu przez zagranicznych kontrahentów. Transport morski wciąż jest nie do pobicia, jeśli chodzi o koszty. Już za dwa tysiące euro można wysłać kontener w trwającą kilkanaście dni podróż morską wzdłuż wybrzeży Indii, przez Morze Czerwone, aż do portu w Pireusie, Amsterdamie czy Hamburgu; transport identycznej partii towaru samolotem kosztować będzie trzydzieści pięć – czterdzieści tysięcy euro. Jeszcze w 1977 roku przez nadbrzeże w Ćottogramie przeszło zaledwie sześć kontenerów, i to z towarem importowanym, głównie z żywnością. Dziś codziennie wypływa ich stąd blisko półtora tysiąca. Jeśli zawierają odzież, przed zamknięciem i oplombowaniem poddaje się je tak zwanej fumigacji, czyli wypełnia gazem uniemożliwiającym rozwój pleśni i innych grzybów. Przez lata używano do tego bromometanu, związku chemicznego, który zabija nie tylko grzyby i szkodniki, lecz przy okazji daje także mocno w kość warstwie ozonowej, a w większym stężeniu wywołuje u człowieka drgawki, a nawet śpiączkę. Europa już kilka lat temu porzuciła więc bromometan na rzecz bezpieczniejszego fluorku siarczynu, ale Bangladesz wyprosił sobie przedłużenie prawa do wykorzystywania tej substancji do końca 2014 roku. Import z tego kraju nie jest również oclony, bo tak zdecydowała międzynarodowa społeczność w szlachetnym geście solidarności z tym państwem plasującym się od lat w czołówce rozmaitych rankingów biedy i zacoferania.

W Europie celnicy ostrożnie otwierają więc kontenery z Bangladeszu i przeglądają je pod kątem zgodności z opisem w dokumentach. Ale wszystko ma swoją cenę. Za jakieś dwadzieścia pięć tysięcy euro w porcie w Ćottogramie można również nadać kontener z nieoficjalną, ale piekielnie skuteczną „gwarancją”, że w Europie żaden celnik nie przyczepi się do jego zawartości. Do środka wejdzie bez problemu około dwudziestu tysięcy T-shirtów cenionej marki, które w europejskim sklepie firmowym kosztują po



pięćdziesiąt–sześćdziesiąt euro, bo producent celuje w zamożniejszych klientów klasy średniej. W Dhace te same koszulki można tymczasem kupić jako leftovery za, powiedzmy, trzy euro od sztuki. Wraz z kosztem transportu wychodzi więc jakieś cztery euro z groszami za sztukę. Życ nie umierać.

Klientów na taki towar nie zabraknie. Począwszy od ulicznych handlarzy, którzy w greckich kurortach sprzedają w sezonie ubrania i akcesoria najlepszych marek, a kończąc na dużych hurtowniach w Niemczech, Holandii, Francji czy w Polsce, których właściciele zjedli zęby na handlu odzieżą i nawet obudzeni w środku nocy odróżnią oryginalną produkcję danej marki od czegoś, co jedynie uszyto tak, żeby przypominało oryginał. Hurtownik zaopatruje sklepy, także te działające oficjalnie pod szyldem danej marki. Towar bierze bezpośrednio od producenta, ale przecież ludzie z koncernu odzieżowego nie po to miesiącami gnili w tropikach, żeby teraz sprzedać swoje T-shirty do hurtowni za mniej niż dwadzieścia euro.

Tyle że hurtownik również potrafi liczyć. I wychodzi mu, że na jednym podkoszulku renomowanej marki może zarobić pięć euro, o ile sprzeda towar wzięty od producenta, i sześć razy więcej, jeśli wyśle do sklepu odzież z przemytu. Wybór jest prosty. Dlatego w nieoficjalnych rozmowach przedstawiciele firm odzieżowych przyznają, że zdarza im się nawet skupować z czarnego rynku własne produkty, by uszczelnić łańcuch dostaw do sklepów.

– Bez zaprzyjaźnionych celników i policjantów to w zasadzie niewykonalne – tłumaczył mi już w Polsce pracownik jednej z dużych krajowych firm odzieżowych. – To od nich dostajemy cynk, co i gdzie wjeżdża na teren Unii. Nie zajmuję się tym osobiście, ale wiem, że centrala przynajmniej raz kupiła od przemytników całą przemyconą partię. Czy postraszone ich policją, czy może po prostu zapłacono wystarczająco dużo, nie mam pojęcia. To były akurat leftovery z ważnej dla nas kolekcji specjalnej, którą przygotowaliśmy z inną marką, i zrobiłby się straszny syf, gdyby to nagle wypłynęło gdzieś na bazarach lub w internecie. A w policyjnym magazynie... sam pan wie. Nie ma gwarancji, że zarekwirowane rzeczy na pewno zostaną zniszczone. – Mój rozmówca uśmiechnął się znacząco.

W ten sposób koło się zamyka. Dla dwóch T-shirtów, które przyszły na świat w tej samej fabryce w Dhace, właśnie skończyły się miesiące rozłąki. Jeden z nich w tym czasie został nawet uznany za bękarta, ostatecznie jednak

szczęśliwie odnalazł się obok brata na tej samej półce sklepu firmowego. Klienci nie poznają szczegółów jego fascynującej odysei. Nie dowiedzą się, jak cichaczem wywożono go z fabryki, jak w europejskim porcie wzrok celników jedynie musnął paczkę, w której się znajdował, jak wreszcie trafił do sklepu. Klienci mierzą, cmokają z uznaniem dla jakości i kiwają ze zrozumieniem głowami: markowy T-shirt musi kosztować czterdzieści–pięćdziesiąt euro.

## Nie będziemy umierać za Mirpur



Piątek w Dhace to czas dla rodziny. Oficjalnie wolna jest też sobota, ale w fabrykach można wtedy dostać płatne nadgodziny, nad które mało kto gotów jest przedłożyć wypoczynek.

Żeliwny garnek musiał być niemiłosiernie ciężki, bo Abdul nie próbował go nawet podnieść. Przetoczył go jak beczkę w stronę paleniska, stękając przy tym i robiąc dziwne miny niczym atleta przy sztandze.

– Prawdziwe *biryani* trzeba przyrządzać na palenisku – objaśniał w przerwach między kolejnymi stęknięciami. – Na ulicach prawie wszędzie możesz kupić tanie podróbki gotowane na kuchenkach gazowych. Ale ja tam już po zapachu poznaję, które danie dochodziło, jak trzeba. Powolutku, na żarze ogniska. Poza Bangladeszem nie da się zjeść rasowego *biryani* –

upierał się Abdul. – Owszem, robią je Hindusi, lecz po swojemu, dlatego wychodzi im półpłynna papka, która ma więcej wspólnego z ich curry. Chińczyków w kontekście tak szlachetnej potrawy w ogóle nie warto wymieniać. Te ich wszędobyłskie knajpy to mizeria, brud i oszczędzanie na wszystkim, a prawdziwe *biryani* musi przecież być bogate: oczywiście w składniki, ale przede wszystkim w smak i aromat. Ma być takie, że po otwarciu garnka wszystkim dookoła powinno zakręcić się w głowie od zapachu.

– Jako dzieciak biegałem wokół paleniska i dosłownie kąsałem powietrze, tak smakowicie pachniało, ilekroć dziadek kończył przyrządzać *biryani* – perorował Abdul znad swojego wielkiego gara. – Teraz możemy sobie na nie pozwolić tylko od święta, ale nadal wiernie trzymam się tamtej receptury. Najpierw długo gotuję wywar na koźlęcych kościach i na koniec zaprawiam go szafranem. Potem mięso obsmażam z przyprawami, oczywiście nie żałuję cebuli. No i ryż. Musi się długo moczyć. W gotowym daniu nie może być ani sypki, ani zmienić się w kleik.

Gdy się nad tym dłużej zastanowić – ciągnął Abdul swoje kulinarne credo – to stosunek do *biryani* można potraktować jako specyficzny test charakteru. Niebiosa szyją go przecież każdemu na miarę z innego materiału: jednemu z muślinu, który rwie się przy pierwszym szarpnięciu, innemu z juty, która wytrzyma prawie wszystko. Albo codziennie godzisz się na kompromisy i żresz tanie podróbki narodowej potrawy, albo pozostajesz wierny ideałowi i w konsekwencji prawdziwy smak *biryani* przypominasz sobie raz na dwa-trzy lata. Chyba że jesteś bogaty. Wtedy jesz, co chcesz, i robisz to, na co masz ochotę. Milioner właściwie nie musi w ogóle mieć charakteru, pieniędzy wystarczy mu na wszystko, także na ludzki szacunek i miłość najbliższych. Na przykład ten śliski facecik, dla którego kiedyś pracował Abdul.

– W firmie czuliśmy do niego jedynie wstręt, bo nie potrafił ukryć, jak bardzo lubi młode dziewczyny. Żona i syn traktowali go z kolei jak skarbonkę, przez półtora roku pracy dla tego człowieka nie słyszałem, żeby odezwali się do niego w innej sprawie niż pieniądze. I ktoś taki uchodzi u nas za szanowanego obywatela, stawia się go za wzór innym – oburzał się Abdul. – Ci tutaj nauczyliby go szacunku w pięć minut, to twardziele, po głowach dostają od dziecka – mruknął do mnie, lustrując spojrzeniem twarze sąsiadów, którzy tymczasem zebrali się wokół nas.

Kilkadziesiąt par oczu w napięciu śledziło każdy jego ruch. Mężczyźni przestępowali z nogi na nogę i nie próbowali już ukrywać, jak bardzo leci im ślinka. Kobiety chichotały między sobą, łapiąc co chwila kolejne dziecko usiłujące zajrzeć do gara, w którym Abdul – niczym mistrz ceremonii – z namaszczeniem przekładał namoczonym ryżem kolejne warstwy mięsa i warzyw. Na koniec podlał wszystko obficie bulionem zaciągniętym szczyptą szafranu, przykrył garnek pokrywką, uszczelnił gliną, po czym z pomocą trzech mężczyzn z wysiłkiem wstawił wielkie naczynie na palenisko.

– Bądź tu z powrotem najpóźniej za jakieś półtorej godziny. – Smagłą twarz Abdula rozjaśnił szeroki uśmiech. – Założę się, że jeszcze nigdy nie jadłeś czegoś równie smakowitego.

W ostrym porannym słońcu Mirpur prezentował się zaskakująco czysto, choć niemal w każdym kącie leżały potłuczone dachówki, worki foliowe i szmaty. Jeszcze wczoraj nad dzielnicą unosił się jednak gęsty smog miejskiego jazgotu, w którym klaksony samochodów przekrzykiwały się z dzwonkami riksz, a pobliską estakadą co kilkanaście minut z piekielnym grzechem przelatywały pociągi.

Dziś w zaułkach Mirpuru królowało coś, co wedle tutejszych kryteriów z pewnością można było nazwać spokojem. Z podwórerek dolatywały śmiechy dzieci, rozmowy dorosłych i kojący zmysły chlupot wody nalewanej z wielkich cystern do prania, sprzątania, a przede wszystkim do gotowania. To samo co każdego dnia, tylko bez uciążliwego podkładu wielkomiejskiego hałasu, który wzbudza irracjonalny niepokój i wymusza pośpiech. Dziś na zaniepokojone wyglądały jedynie kury stąpające ostrożnie po małym podwórku przed domem Abdula, jakby domyślały się, że już niebawem trafią pod nóż. Gospodarz wraz z rodziną szykował się właśnie do uroczystości weselnych swojej najmłodszej siostry Simy. Reszta Mirpuru zamierzała tego dnia po prostu świętować piątek.

Mieszkańcy Dhaki uwielbiają ten dzień chyba jeszcze bardziej niż Europejczycy czy Amerykanie. Na Zachodzie piątek zwiastuje jedynie dwa dni zadekretowanego weekendowego nieróbstwa. W Bangladeszu oficjalnie wolne są piątek i w zasadzie również sobota, lecz harmonogram pracy wielkich fabryk uwzględnia najwyżej piątkową przerwę uświęconą tradycją islamu. W sobotę część zakładów pracuje już obligatoryjnie pełną parą, inne

zaś realizują dodatkowe zlecenia i kuszą ekstrapłatnymi nadgodzinami, nad które mało kto gotów jest przedłożyć czas spędzony z rodziną. Uliczne szaleństwo w Dhace nie osiąga więc jeszcze codziennego apogeum, ale w soboty korki, hałas i pośpiech powoli wracają już do stolicy, by od niedzieli zawładnąć nią ponownie. Jeśli brać ślub, to tylko w piątek lub w sobotę.



Abdul niecierpliwie czeka na *biryani*, które przygotował dla gości weselnych przybyłych na zaślubiny jego siostry. Danie to – jak mówi – musi być przyrządzone na bogato.

Abdul uwijał się więc jak w ukropie nad swoim garnkiem, wciągał dym w nozdrza niczym szaman, jednocześnie co chwila zerkał z niepokojem w stronę mężczyzn, którzy kończyli rozstawiać na podwórku biały weselny baldachim i ozdabiać go porościami i kwiatowymi girlandami. Sukces lub porażka całej uroczystości zależały wyłącznie od niego, najstarszego

mężczyzny w rodzinie. Ojciec nie żył od czternastu lat. Młodszy bracia też dawno się ożenili, ale jeden wyprowadził się z Dhaki, z drugim zaś od wielu lat łączyły Abdula napięte relacje, dlatego w tak szczególnym dniu wolał nie mieć go w pobliżu. W rodzinnym domu, w którym mieszkał teraz wraz z mamą i swoją rodziną, pozostała jeszcze dziewiętnastoletnia Sima. Za kilka godzin dziewczyna miała zgodnie z tradycją usiąść matce na kolanach, wypić z jej ręki ostatnią porcję mleka, cisnąć za siebie przez ramię drobną monetę sprezentowaną przez rodzinę, a potem na zawsze wyprowadzić się do nowego domu oraz nowej rodziny.

– Na własnym ślubie nie byłem tak zdenerwowany. Ciągłe mi się wydaje, że o czymś zapomniałem i że przez to zaraz wszystko się zawali. – Abdul zaśmiał się, ale zaraz spochmurniał i ponownie nerwowo powsuwał w ogień co większe kawałki drewna.

Wesele Simy zaczęło się wieczorem poprzedniego dnia od rytualnego preludium, w którym obie rodziny zostały sobie nawzajem oficjalnie przedstawione i upewniły się, czy młodych nie łączy przypadkiem zbyt bliskie pokrewieństwo. Sprawdzenia wypadł pozytywnie i nazajutrz można było przejść do kolejnego rytuału zwanego *gaje-holud*, czyli „kurkuma na ciele”. Kobiety z rodziny pana młodego pokryły ciało jego wybranki pastą ze sproszkowanej kurkumy, ziół i wonności. W tym samym czasie mężczyźni z jej rodziny smarowali tym pana młodego. Kurkuma działa oczyszczająco. Świetnie robi na przykład na rozmaite sensacje żołądkowe, dlaczego więc nie miałyby chronić młodych także przed życiowymi niepowodzeniami? Nawet jeśli to tylko stary ludowy przesąd, jedno jej działanie jest wręcz namacalne, pożądane i bardzo na czasie. Kobięca skóra pokryta pastą z kurkumy odzyskuje dziewczęcą jędrność. Męska traci z kolei nieprzyjemną ostrą woń, bledną też wszelkie zadrapania i zaczerwienienia.

Dawniej kurkumowy rytuał kończył się kąpielą w wodzie, którą panna młoda osobiście przynosiła dla siebie i swojego wybranka. Na wsi rozśpiewane procesje druhen towarzyszących pannie młodej nadal zmierzają w płaszcach do najbliższej rzeki lub jeziora. Wciąż żywe są też rozmaite ludowe tradycje i zabobony, jak choćby ten, który każe przyszłej żonie przejść nad starym nożem, co ma jej ponoć ułatwić bezbolesne pożegnanie z dziewictwem.

W Mirpurze można jednak najwyżej udać się do pobliskiej cysterny, dlatego procesji nie będzie. Z nożami też nikt nie chce ryzykować, odkąd



cnota przestała być niezbędnym atrybutem przyzwoitej kandydatki na żonę i zmieniła się w taki sam atut jak pracowitość czy zdolności kulinarne. Tradycja w cieniu fabryk musi ewoluować, tak jak życie pielęgnującej je społeczności już dawno musiało dopasować się do wielkomiejskiego rytmu i realiów.

Świeżo upieczeni małżonkowie zgodnie ze zwyczajem powinni również opuścić dom panny młodej w palankinie zwanym *palki*, niesionym przez rozśpiewanych braci i kuzynów pana młodego. W drzwiach nowego domostwa musi też przywitać ich ukwiecona brama, a w niej kuzyni żądający opłaty za wpuszczenie do środka. Przyszły mąż Simy mieszka jednak dosłownie za ścianą, obie rodziny doszły więc do wniosku, że oszczędzą sobie tych korowodów. Tradycyjne będą tylko ubrania młodych. Sima wzorem wielu młodych dziewczyn chciała co prawda włożyć na tę okazję białą sukienkę w europejskim stylu, w końcu uległa jednak błaganiom przyszłej teściowej i na weselnym przyjęciu będzie mieć na sobie białe sari z czerwonym szalem ozdobionym złotymi wzorami. Druhny nałożą jej jeszcze na szyję wieniec z czerwonych kwiatów, a dłonie pokryją rytualnymi malowidłami z henny. Pan młody na szczęście nigdy nie miał ciągót do odzieżowej ekstrawagancji. Włoży białe *pańdzabi*, tradycyjny strój złożony z koszuli-tuniki i spodni, a głowę ozdobi turbanem. W zamożnych rodzinach stroje weselne szyje się na miarę u renomowanych krawców, z najdroższych materiałów. Nic dziwnego, że wiele z nich przechodzi z pokolenia na pokolenie, jak gwarancja długiego i szczęśliwego życia, którym cieszyły się poprzednie generacje.

W Mirpurze rodzice mogą dziś zapewnić dzieciom najwyżej niepewność, a w spadku przekazać wspomnienia. Stroje weselne pożyczają się więc z pobliskiego sklepu z używaną odzieżą. Na uroczystości nie zjeżdżają już całe rody, zaprasza się wyłącznie kilkanaście osób z najbliższej rodziny, na stole łąduje zaś to, na co rodzice panny młodej, odpowiedzialni za wesele, mogą sobie pozwolić. Na wydanie Simy za mąż Abdul przeznaczył szesnaście tysięcy taka, które ciułał przez kilkanaście ostatnich miesięcy, polując na kolejne nadgodziny w fabrycznym grafiku. Wystarczyło na jedzenie, ustrojenie mieszkania na uroczystość i kilka drobnych napraw. Rzecz jasna, brat wyposażył siostrę również w stosowny posag, ale to już sprawa ściśle rodzinna. Tego piątkowego popołudnia Abdul miał w każdym razie powody, by czuć się spełniony jako mężczyzna, głowa rodziny oraz brat. Ciężko

pracując, zrobił wszystko, do czego zobowiązywały go tradycja i honor.

– Pożyczyć na wesele? Pod ziemię bym się zapadł ze wstydu, poza tym to by mogło przynieść siostrze pecha. – Potrząsnął głową. – Zresztą rozejrzyj się, u kogo można by się tutaj zapożyczyć?

Podążyłem za jego spojrzeniem. Jakieś dwieście metrów dalej, w głębi uliczki jeden dom wyróżniał się na tle pozostałych. Mur oddzielający go od ulicy nie był odrapany ani oklejony starymi plakatami, za to od wewnątrz – sądząc po soczystych liściach wystających znad jego krawędzi – obsadzono go gęsto rododendronami. Wejścia na posesję strzegła masywna żeliwna brama pokryta niedawno smoliście czarną farbą. Chodnik wzdłuż muru był świeżo zamieciony, całość sprawiała wrażenie wychuchanej i zadbanej. Kompozycję psuł tylko jakiś wymizerowany riksarz, który zgodnie z tutejszym zwyczajem właśnie przykucnął bezceremonialnie tuż przed wejściem do budynku, aby ulżyć jelitom. Nie zdążył jednak nawet umościć się wygodniej, gdy nagle jęknęła żeliwna brama i na ulicę wybiegła korpulentna czterdziestolatka. Kobieta rzuciła się w stronę intruza niczym ptak broniący gniazda przed węzem. Mężczyzna w popłochu podciągnął ubranie i zniknął za najbliższym zakrętem. Zlustrowawszy starannie chodnik przed wejściem, właścicielka posesji z wyraźną ulgą wyprostowała się i popatrzyła w naszym kierunku. Stała tak przez dłuższą chwilę, zerkając ku nam w sposób, który można było nazwać prowokacyjnym.

– Rojina! – jęknął nagle Abdul, który wraz ze mną obserwował to widowisko. – Tylko jej mi tu teraz brakowało.

Gdyby nie wesele u sąsiadów, czterdziestodwuletnia Rojina Begum pewnie nie wyrzałaby przed bramę posesji i nie przegoniła obrzydliwego intruza. Tego dnia od rana nie mogła jednak usiedzieć w domu i co jakiś czas pod byle pretekstem dyskretnie wyglądała na ulicę. Teraz w podłym nastroju płukała przy studni okrę na świąteczny piątkowy obiad i próbowała przywołać w pamięci dzień sprzed dwudziestu dziewięciu lat, kiedy sama wychodziła za mąż.

Jej mążnek Mahmud upierał się pół żartem, pół serio, że było to na pewno jesienią, po monsunie, ale ona dałaby sobie uciąć rękę, że pobrali się w styczniu lub lutym, bo zmarła w czasie tej uroczystości jak pies. Mąż odgryzał się, że pewnie było jej zimno ze strachu. Może faktycznie miał rację? A zresztą, czy to ważne?

– Oczywiście, że nie. – Kobieta uśmiechnęła się smutno. – Po prostu

trochę się nam tutaj udziela ten weselny nastrój – dorzuciła, machając przy tym dłońmi w sposób, który kategorycznie dawał do zrozumienia, że wątek wesela uważa za zakończony.



Rojinę Begum koleżanki nazywały pieszczotliwie sąsiadeczką. Gdy awansowała w fabryce, stała się dla nich Jaszczurką.

W innym miejscu i czasie Rojina Begum pewnie udałaby się do sąsiadów, żeby życzyć młodym równie udanego życia jak to, którym Allah obdarzył ją, u boku wiernego i troskliwego męża. Wzięłaby ze sobą prezenty i życzyłaby młodej parze, by doczekała się też tak zaradnego potomstwa jak jej ukochany jedynak Rubel Ahmed, który na przedmieściach Dhaki otworzył niedawno warsztat samochodowy. Życzenia złożyłaby im po swojemu, czyli powściągliwie, ale z całego serca. Allah dał jej maniery damy i dystans do życia, który w trudnych chwilach bywał jej atutem, lecz na co dzień stawał

się przyczyną wielu utrapień, bo wśród okolicznych mieszkańców uchodziła za wyniosłą.

Wszystko to od wielu miesięcy nie miało już jednak większego znaczenia, bo nawet w tak szczególnym dniu Rojina nie mogła i nie chciała odwiedzać żadnego z sąsiadów. Przyczyną była zaś pobliska fabryka odzieżowa. Ta sama, w której Abdul pracował od ośmiu lat, a jego siostra Sima pracę dostała dwa lata temu. I w której Rojina Begum przez prawie cztery lata była nadzorczą zmiany.

– Sąsiedzi, którzy kiedyś zaglądali do nas każdego dnia z pozdrowieniem, teraz na ulicy udają, że mnie nie widzą – westchnęła. – W moim wieku nie powinnam się już dziwić ludzkiej interesowności, ale Bóg mi świadkiem, nie potrafię sobie z tym poradzić. Kiedy miałam pieniądze, byłam dla nich sąsiadeczką – żaliła się, odwracając głowę w kierunku domu Abdula.

Pieniądze skończyły się dziesięć miesięcy temu, razem z pracą w fabryce. W mieszkaniu Rojiny zostało jeszcze sporo śladów tamtych dobrych czasów. W kącie wciąż wisi nowy wentylator, którego małżeństwo ostatnio nie włącza, bo woli zaoszczędzić na rachunkach za prąd. Na starej komodzie kurzy się telewizor, od niedawna przykryty trójkolorową serwetą, bo coś trzasnęło w tym chińskim gracie i mąż Rojiny nie potrafi sobie z tym sam poradzić, a naprawa w serwisie zrujnowałaby ich domowy budżet. Sypialnię małżonków oddziela od ulicy mały, ale zadbany dziedziniec z rododendronami i z własną studnią. To też luksus, bo niewiele domów ma własne ujęcie wody, i to zdatnej do picia po przegotowaniu. Czasami, gdy osiedlowe cysterny świecą dnem, bo spółka zaopatrująca osiedle w wodę znowu ma kłopoty organizacyjne, okoliczne kobiety na powrót nazywają Rojinę sąsiadeczką i proszą o dzban lub dwa.

– O wodę nie będziemy się przecież kłócić, więc nigdy nie odmawiam, chociaż wiem, że nazajutrz ponownie będą mnie traktować jak powietrze – opowiadała ze smutkiem Rojina.

Bo sąsiedzi nazywają ją teraz Jaszczurką. Kiedy wymawiają jej imię, na ich twarzach pojawia się grymas gniewu i determinacji, jak u kogoś, kto na swoim podwórku dostrzeże znienawidzonego jadowitego *dżati-szap*, który uwielbia chować się przed upałem w zakamarkach mieszkań, a nadepnięty przypadkiem kąsa wszystko, co się rusza w pobliżu.

Są takie jaszczurki, które dopasowują barwę skóry do otoczenia. W gałęziach są zielone, na ziemi natychmiast stają się brunatne. Rojina

przepracowała aż osiemnaście lat w różnych fabrykach, z czego pierwsze czternaście spędziła w hali jako pomocnica, a potem maszynistka. Wtedy wszyscy ją lubili. Niektóre dziewczyny z okolicy uważały ją nawet za kogoś więcej niż sąsiadkę i starszą koleżankę z pracy, przychodziły do niej na herbatę powierzać się z problemów sercowych, rodzinnych kłopotów, a czasem po prostu poplotkować. Rojina dawno już odchowwała jedyne dziecko, więc miała czas i zrozumienie dla tych dziewczynek, które z dnia na dzień z rozchichotanych nastolatek musiały się przeobrazić w żony, a czasem i w matki. Nic nie zapowiadało, że Rojina Begum może się stać dla nich kimś innym niż przyjaciółką i powierniczką. Do tego pamiętnego dnia, gdy o poranku kobieta wkroczyła do hali w towarzystwie szefa produkcji, który pogratulował jej awansu, a reszcie ekipy przedstawił jako następczynię zwolnionego niedawno nadzorcy piętra. Tamtego dnia Rojina Begum, jak twierdzą jej sąsiedzi, pokazała wreszcie, kim naprawdę jest.

– Ludzie powiadają, że pieniądze i władzę rozdają złe duchy, żeby nas sprawdzić – stwierdził Abdul z goryczą. – Jeśli to prawda, to w tym babsku znalazły bardzo łatwy cel. Z dnia na dzień z uprzejmej starszej koleżanki zmieniła się w bezwzględną jędzę.

Abdul widywał już takie metamorfozy. Przez całe lata chodzi po fabryce szary człeczyna ubrany i wystraszony jak reszta pracowników. Mieni się twoim kolegą, czasem nawet przyjacielem. Aż pewnego dnia pojawia się w pracy nadęty jak paw, w pożyczonej za dużej koszuli i uzbrojony w tyle władzy, ile łaskawie przydzielili mu przełożeni, awansując go nieoczekiwanie na nadzorcę linii produkcyjnej. Nowa koszula i kilka zdań szefa oznajmiającego awans – tyle czasem wystarczy, by z porządnego, zdawałoby się, człowieka wywabić bestię.

Gdy taką przemianę przechodzi ktoś obcy, możesz się najwyżej ukradkiem zaśmiać albo splunąć z niesmakiem. Wieczorami możesz podyskutować ze starszymi krewnymi i przyjaciółmi o przedziwnej ludzkiej naturze, która tak łatwo zapomina o własnych upokorzeniach, kiedy tylko na horyzoncie pojawia się cień nadziei na lepsze życie. Możesz się zdziwić, jak łatwo ludziom, którzy przez lata sami byli ponizani, przychodzi potem pastwienie się nad swoimi braćmi. Lecz gdy nagle w bestię zmienia się sąsiad, z którym od lat wracasz do domu po pracy, brakuje słów. Najchętniej dałbyś mu po mordzie. Ale już nie możesz.

Rojina: To prawda, że byłam wymagająca jako przełożona. To źle?

Robiłam, co do mnie należało. Dlaczego ludziom się wydaje, że jak ich szefem zostaje koleżanka, to powinna od nich wymagać mniej niż jej poprzednik?

Abdul: Pamiętam, jak żonie kolegi nie pozwoliła wrócić wcześniej do domu do umierającego ojca. Do końca zmiany dziewczyna zanosila się od płaczu przy maszynie. A ona sterczała nad nią jak wartownik i jeszcze się odgrażała, że każe jej zostać po godzinach, jeśli nie wyrobi targetu. Gdy żona kolegi dotarła wreszcie do domu, ojciec był już zimny. Od paru godzin leżał w kałuży własnych odchodów.

Rojina: A mnie kiedyś zmianowy też nie pozwolił wyjść wcześniej z pracy do syna, który paskudnie złamał rękę. Takie sytuacje w fabrykach były, są i będą na porządku dziennym, lecz gdy zmianowa nie jest twoją sąsiadką, po prostu nie oczekujesz, że będzie cię głaskać po główce. W pracy jesteśmy przełożonym i podwładnymi. Sąsiadami możemy sobie być dopiero po godzinach.

Abdul: Karierowiczka. Wobec zwierzchników potulna, przymilna aż do obrzydzenia. Za to dla podwładnych niesprawiedliwa, a czasem okrutna, jak wtedy z tym umierającym ojcem.

– W fabrykach zawsze ceniono takie kreatury – twierdził Abdul. – Są niezbędne, bo zwiększają wydajność. Tyle że po pewnym czasie atmosfera w pracy staje się nieznośna i starą kreaturę trzeba zastąpić nową. Rojinę na koniec potraktowano jak śmieć, to fakt. Wcześniej jednak przez lata ciężko na to pracowała, traktując tak samo innych.

Dziesięć miesięcy temu na piętrze zarządzanym przez Rojinę zniknęły dwie bele jeansu. Szef produkcji wezwał zmianową do siebie i dał jej dwie godziny na znalezienie winnych lub towaru, za który była odpowiedzialna. A najlepiej jednego i drugiego.

Punktualnie dwie godziny później Rojinę Begum ze skutkiem natychmiastowym zwolniono dyscyplinarnie z pracy za niedopełnienie obowiązków. Podwładne na piętrze odprowadziły ją do drzwi drwiącymi, pełnymi triumfu spojrzeniami.

– Wrobiły mnie, suki, celowo ukryły gdzieś ten przeklęty materiał – syczała była zmianowa. – Tylko idiota kradłby coś takiego. Wynieść z fabryki dwóch bel materiału praktycznie się nie da. Sprzedać jest jeszcze trudniej.

Dosłownie na kolanach, zalewając się łzami, Rojina ubłagała ostatecznie

pracodawcę, by pozwolił jej zostać w fabryce na najniższym stanowisku pomocnicy, z czterema tysiącami taka pensji zamiast dotychczasowych jedenastu tysięcy. Zgodził się zaskakująco szybko, co na chwilę wzbudziło w Rojynie podejrzenia, że inicjatorami materiałowego spisku przeciwko niej nie muszą jednak być koleżanki z piętra. Ale wtedy wydawało się jej, że ma szczęście w nieszczęściu, i postanowiła nie zawracać tym sobie dłuższej głowy.

Piekło zaczęło się już następnego dnia. Gdy ktoś nagle spada w fabrycznej hierarchii, dawni podwładni i współpracownicy robią wszystko, żeby pechowiec upadł jak najniżej. Na nowym stanowisku trzeba przecież wyznaczyć zakres obowiązków, a to świetna okazja, by zwalić mu na głowę część własnych. Nowy, który niedawno dostał kopa od samego szefostwa, jest potulny jak kundel obity kijem, nie zaprotestuje. Zwykle bierze, co mu dają. Dlatego koledzy dają mu jak najmniej, a oczekują jak najwięcej. Przełożeni też chcą dać do zrozumienia, kto tu rządzi, i zdegradowanemu byłemu koledze okazują ostentacyjną pogardę.

Pierwszego dnia na nowym stanowisku Rojina Begum zaczęła więc pracę razem ze wszystkimi, punktualnie o ósmej rano. Na początek kazano jej umyć lśniąca podłogę, najwidoczniej tylko po to, żeby najadła się wstydu, sunąc z wiadrem, szmatą i miotłą między maszynami.

Potem biegła na posyłki. Dziewczyny zatrudnione na piętrze jako operatorki maszyn natychmiast wczuły się w rolę, jaką miały odegrać w tym teatrzyku, i odzywały się do niej tylko wtedy, kiedy chciały wydać jej polecenie. Gdy piętro skończyło zmianę, nadzorca kazał Rojynie sięść jeszcze do maszyny razem z kobietami, które robiły nadgodziny. Bez słowa o dodatkowych pieniądzach.

Przez pierwsze dwa tygodnie pracy na nowym stanowisku do domu wracała najwcześniej koło dwudziestej.

– Nie wiem, czy spotkało ją to, na co zasłużyła – zadumał się Abdul nad swoim garem. – Prawdę mówiąc, niewiele mnie to obchodzi. Cieszę się, że ta kobieta już nigdy nie będzie niczym zwierchnikiem.

Krzyknął po pomocników. Razem ostrożnie zdjęli z ogniska rozgrzany garnek z *biryani*, używając do tego kijów wsuniętych w uchwyty naczynia. Abdul sięgnął po stary zakrzywiony nóż w kształcie sierpa i zeskrobał nim warstwę zaschłej już gliny uszczelniającej pokrywę. Z naczynia buchnęły kłęby pary, a zaułek faktycznie wypełnił się intensywną smakowitą wonią potrawy. Mężczyzna zamknął oczy i przez chwilę rozkoszował się tym



zapachem niczym najdroższymi perfumami.

– Ale tak naprawdę co to zmieni? Nie będzie Rojiny, to będzie Salma, Taslima, Jussuf, Jamal albo inna menda – mruknął, wróciwszy do rzeczywistości. – Osiem lat w fabryce nauczyło mnie jednego: jeśli idą zmiany, to na gorsze. Zmiany w tym kraju nigdy nie są dla nas.

\*\*\*

Odzieżowo-Tekstylna Republika Bangladeszu to kraj uszyty perfekcyjnie na miarę oczekiwań i potrzeb globalnego przemysłu modowego. Gdyby nie istniał naprawdę – oficjalnie pod nieco mylącą nazwą Ludowej Republiki Bangladeszu – należałoby go czym prędzej zszyć z dostępnych na miejscu materiałów: biedy i pogardy dla słabszych.

Skrajne ubóstwo to wprawdzie tkanina podłej jakości, ale za to bardzo tania. Poniżej statystycznego progu nędzy, wyznaczonego przez ONZ na poziomie dwóch dolarów dochodu dziennie na głowę, żyje w Bangladeszu około 47 milionów obywateli, czyli blisko jedna trzecia populacji. Nawet pensja minimalna, wprowadzona już po zawaleniu się Rana Plaza, jeśli nie byłaby wciąż powszechnie lekceważona, zapewniałaby pracownikom sektora odzieżowego dochód rządu niespełna 2,3 dolara dziennie. Zupełnie jakby w Dhace któryś z rządowych planistów zerknął w statystyki ONZ i dla świętego spokoju wyznaczył płacę minimalną symbolicznie ponad progiem nędzy, żeby przynajmniej w urzędowych statystykach mieć rozwiązany jeden problem. Znaczna część mieszkańców Bangladeszu nadal żyje przecież – a raczej wegetuje – w iście średniowiecznych warunkach. Dostęp do bieżącej wody, niekoniecznie zresztą zdatnej do picia, ma dziś niespełna 56 procent populacji kraju. Mniej więcej tyle samo gospodarstw domowych cieszy się elektrycznością. Toaletę ma już w domu lub w jego pobliżu aż 64 procent mieszkańców, lecz kolejne 2,2 procent obywateli – czyli przeszło 3 miliony ludzi – nadal biega za potrzebą w najbliższe krzaki. W murowanym domu sypia zaledwie niecałe 9 procent populacji. Większość – aż 57 procent – zamieszkuje szałas sklecone z drewna, a kolejne 13 procent gnieździ się w lepiankach. Pracownicy pomocy społecznej przyznają, że są w kraju rejony, gdzie mieszkańcy żyją w ogóle bez pieniędzy, wymieniając się między sobą towarami i usługami.

Rząd w Dhace oczywiście chwali się na forum międzynarodowym

statystykami, z których wynika, że odzieżowa prosperita ostatnich dwóch dekad wpłynęła pozytywnie również na życie biedoty, nie tylko stołecznych elit bawiących systematycznie na zakupach w Dubaju czy wakacjach na Lazurowym Wybrzeżu. Rzeczywiście, w latach 2000–2010 liczba mieszkańców kraju wegetujących poniżej progu skrajnej nędzy zmalała z zatrważających 63 milionów do wspomnianych już 47 milionów. Szkoła również przestaje być powszechna tylko z nazwy. Wśród dzieci i nastolatków odsetek analfabetów nie przekracza obecnie nawet 23 procent, choć w całym społeczeństwie czytać i pisać wciąż nie potrafi około 40 procent populacji. Wprowadzono program masowych szczepień, szybko postępuje również elektryfikacja. W 1991 roku osiem na dziesięć domostw w Bangladeszu oświetlały lampy naftowe, dziś na to archaiczne i dość niebezpieczne źródło światła skazanych jest jeszcze tylko 43 procent gospodarstw domowych.

Ale w rocznikach statystycznych można znaleźć również dane, którymi władze w Bangladeszu wolą się nie chwalić za granicą, bo pokazują, w jakim tempie rozwarstwiają się dochody oraz poziom życia poszczególnych grup społecznych. Od początku tego stulecia koszty utrzymania, głównie jedzenia i opłat za mieszkanie, wzrosły o blisko 300 procent. W całym kraju odsetek gospodarstw domowych, którym miesięczne dochody wystarczają na wszystkie niezbędne wydatki, spadł w latach 2003–2010 z 31,9 do 30,2 procent. W miastach biedota ubożeje dziś nawet szybciej niż na terenach wiejskich. Jeszcze w 2003 roku 38,7 procent miejskich rodzin w Bangladeszu wiązało jakoś koniec z końcem. Dziś radzi sobie z tym zaledwie 33,1 procent mieszkańców miast.

Czy to zbieg okoliczności, że pauperyzacja zachodzi najszybciej właśnie w największych aglomeracjach, w których koncentruje się przemysł odzieżowy? Odpowiedzi na to pytanie oficjalne bangladeskie roczniki statystyczne nie zawierają, bo nie muszą. Zna ją tu praktycznie każdy mieszkaniec.



Zahirul Islam pracuje w fabryce, którą zbudowano częściowo na terenie jego rodzinnej posiadłości. Teraz musi mieć przepustkę, by stanąć na ziemi, na której przyszedł na świat.

Zahirul Islam przyszedł na świat czterdzieści dwa lata temu niedaleko mieszkania, które wynajmuje teraz z żoną za półtora tysiąca taka miesięcznie. Rodzice mieli tu gospodarstwo rolne, kilkadziesiąt arów obsianych ryżem, przydomowy ogród, rodzący mango i okrę, a po podwórku zawsze pałętało się stadko kur. Żył też jeszcze dziadek, który potrafił wystrugać wnukom z drewna fantastyczne zabawki i śpiewał tak, że słyhać go było na drugim krańcu miejscowości.

Wieczorami, kiedy upał nieco odpuszcza, Zahirul siada czasem przed domem, opiera głowę o nagrzaną ścianę z blachy falistej pomalowanej na błękitny kolor i zastanawia się, co poszło źle. W jaki sposób gospodarstwo wyciekło jego rodzinie przez palce jak ziarenka płukanego ryżu? Kto i kiedy popełnił błąd, który skazał go na mieszkanie w czynszówce, na granicy głodu i na dodatek w miejscowości o nazwie Nitaigonj, każdemu w Bangladeszu kojarzącej się ze spokojem i dostatkiem? W starej bengalskiej pieśni, ułożonej jeszcze na początku XIX wieku, nazwa Nitaigonj pada jako synonim utraconego raj, cel, do którego warto dążyć, nawet jeśli z góry wiadomo, że nigdy się go nie osiągnie<sup>7</sup>. Interpretacje pieśni bywają zresztą rozmaite, jedno nie ulega wżak wątpliwości: autorowi na pewno nie mogło chodzić o takie miejsce jak to, gdzie Zahirul Islam wylądował z rodziną na stare lata.

– Fabryka, w której pracujemy z żoną, stoi częściowo na terenie naszej rodzinnej posiadłości – opowiadał ze wzrokiem wbitym w klepisko. – Chodzę tam codziennie od jedenastu lat, ale nadal nie mogę przywyknąć do tego, że muszę mieć przepustkę, żeby postawić stopę na ziemi, na której przyszedłem na świat i po której chodzili mój ojciec i dziadek.

Majątek zaczął się kurczyć już pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy Nazir, najstarszy brat Zahirula, założył rodzinę i poprosił ojca o swój kawałek ziemi. Gdy trzy lata później żenił się kolejny brat, odziedziczony przez Nazira grunt należał już do firmy budującej w pobliżu fabrykę odzieżową.

– Po okolicy krążyli agenci i zachęcali do sprzedaży. Zapewniali, że w fabryce rodziny zarobią więcej niż na roli i na dodatek bez ciężkiej harówki – wspominał Zahirul. – Kobiety miały szyć, mężczyźni pracować jako kierowcy, zmianowi, w ostateczności jako tragarze. Miało być o wiele lżej niż do tej pory. W fabryce nie musicie codziennie z trwogą spoglądać w niebo, czy nie lunie albo czy słońce nie wypali zbiorów. Tak nam mówili.

Czterej bracia zaczęli więc kłócić się o przyszłość. Zahirul był za tym, żeby jak najszybciej sprzedać, co jeszcze zostało, i zacząć żyć nowocześniej. Jeśli w Ameryce pracowników zakładów motoryzacyjnych stać na samochody, które sami montują, dlaczego w Bangladeszu miałyby się gorzej powodzić ludziom szyjącym ubrania? Jeden brat nakłaniał pozostałych, żeby nie dzielić ojcowizny i zostać wspólnie na jednej roli. Razem łatwiej, przecież ziemia jakoś wyżywi cztery rodziny, w ostateczności kobiety mogą poszukać pracy w fabrykach. Pozostali nie potrafili się zdecydować. W końcu decyzja podjęła się niejako sama. Kiedy kilka lat później zmarł ojciec, bracia byli już tak skłócenii, że z ulgą podzielili gospodarstwo na cztery małe parcele i każdy zaczął życie na własną rękę.

– Ożeniłem się, urodziły się nam dzieci, ale z tego kawałka ziemi, jaki odziedziczyłem, nie byliśmy w stanie się utrzymać. Zjadaliśmy właściwie wszystko, co rodziło pole. Sprzedałem więc ziemię za grosze i trzeba było poszukać pracy w fabryce. – Mężczyzna westchnął i ruszył w stronę jedynej półki w mieszkaniu, zawieszanej – jak w niemal każdym parterowym domku w Bangladeszu – wysoko nad podłogą, dla ochrony przed nagłą monsunową ulewą. Spośród papierów i innych szpargałów Zahirul wyciągnął mały jutowy woreczek. Rozsupłał go z nabożeństwem i wyciągnął zeń niewielki drewniany flecik. – Dziadek mi go wystrugał. To wszystko, co mi zostało z rodzinnego majątku.

Najstarszy brat, Nazir, jakiś czas temu wyjechał za pracą do Dubaju i słuch po nim zaginął. Drugi pięć lat temu zginął w wypadku. O pozostałych braciach Zahirul wie tylko tyle, że przeprowadzili się do Dhaki i klepią biedę gdzieś w slumsach.

– Nam się też nie przelewa. Na sześć osób w rodzinie mamy razem nieco ponad osiem tysięcy taka. Tyle, żeby nie zdechnąć z głodu – przyznał gorzko mężczyzna. – Po opłaceniu rachunków zostaje nam po tysiąc taka na głowę. Na szczęście na wsi życie jest nieco tańsze niż w stolicy.

W okolicy działają trzy zakłady odzieżowe, ale dwa z nich zajmują się przerabianiem i naprawą zużytej odzieży. Zarobek na tym jest mizerny, mizerne są więc też pensje. Zahirul otrzymał posadę strażnika z pensją wysokości pięć tysięcy taka. Żona przy maszynie wyciąga 3,3 tysiąca taka. Do tego wszystkie trzy fabryki w Nitaigonj jakby się zmówiły i płacą identycznie.

– W Dhace przy maszynie żona mogłaby zarobić i pięć–sześć tysięcy,

tylko że musiałyby dojeżdżać codziennie do pracy. Bilet w obie strony to jakieś sto taka dziennie. Gdy o tym myślę, od razu zaczynam podejrzewać, że ktoś to wszystko sprawnie zaplanował, obliczył i skalkulował. – Machnął ręką. – Nie zdziwiłbym się, gdyby kiedyś wyszło na jaw, że fabryki w Dhace i tutaj są własnością tych samych ludzi.

Przemysł odzieżowy w Bangladeszu to odpowiednik branży surowcowej w Rosji, sektora turystycznego w Hiszpanii lub motoryzacji w Niemczech. Wizytówka gospodarki kraju i jej główny filar, słowem – oczko w głowie. Około pięciu tysięcy fabryk dostarczających kontrahentom z całego świata gotowe ubrania (ang. *ready-made garments*, stąd skrót nazwy całej branży: RMG) zatrudnia dziś ponad cztery miliony osób, w zdecydowanej większości (85 procent) kobiety. Więcej ludzi wciąż pracuje tutaj na roli, a nawet para się handlem, lecz znaczenie branży RMG w gospodarce kraju jest dziś już nie do przecenienia. W 2013 roku fabryki odzieżowe Bangladeszu sprzedały za granicę towar łącznie za ponad piętnaście miliardów euro, co stanowiło 7 procent wartości całego produktu krajowego brutto i aż 76 procent wartości całego bangladeskiego eksportu. W globalnym peletonie producentów odzieży Bangladesz plasuje się obecnie już na drugim miejscu za Chinami. Władze w Dhace zdają sobie jednak sprawę, że poza tanią siłą roboczą nie mają świata do zaoferowania nic cenniejszego, dlatego gorliwie strzegą swojej odzieżowej maszyny zarówno przed zagranicznym kapitałem, jak i przed naciskami wewnętrznymi, głównie na wzrost wynagrodzeń.

Jesienią 2013 roku – już po katastrofie Rana Plaza, kiedy światowa opinia publiczna chwilowo zwróciła uwagę na warunki pracy tutejszych szwaczek – rząd w Dhace zorganizował okrągły stół, do którego zaprosił właścicieli fabryk i ich zagranicznych klientów oraz związki zawodowe i organizacje pozarządowe walczące o poprawę doli robotników. Związkowcy popierani przez zagranicznych aktywistów domagali się podniesienia płacy minimalnej w branży do aż ośmiu tysięcy taka miesięcznie. Ostatecznie rząd zgodził się na 5,3 tysiąca w trosce o konkurencyjność miejscowych fabryk na globalnym rynku. Producenci bardzo szybko dali do zrozumienia, że nie będą finansować rewolucji socjalnej w Bangladeszu. Duński koncern H&M, największy zleceniodawca tutejszych zakładów, rokrocznie wydający w Dhace około 1,1 miliarda euro, początkowo zapowiadał nawet, że przeniesie gros produkcji do Etiopii, dokąd przeprowadzają się powoli chińskie szwalnie. Ostatecznie Duńczycy zrezygnowali z tych zamierzeń, a szef H&M



Karl-Johan Persson po spotkaniu z premier Bangladeszu oficjalnie wyraził poparcie dla planu dalszego podnoszenia zarobków w bangladeskich fabrykach odzieżowych, nawet jeśli dla jego firmy będzie to oznaczać zmniejszenie marży.





W Bangladeszu pracodawcy mają w czym wybierać. Na każdy kilometr kwadratowy przypada średnio prawie tysiąc siedem osób.

Prezes Persson mógł bez obaw złożyć tak daleko idącą deklarację. Solidny krawiec daje przecież gwarancję na swoje produkty. W Bangladeszu gwarancja obejmuje w pierwszej kolejności właśnie niskie koszty produkcji – bez względu na to, co oficjalnie komunikuje pani premier. Nawet przy najszczerzych chęciach rząd nie jest bowiem w stanie wymusić skokowej podwyżki płac w kraju o powierzchni równej jednej trzeciej powierzchni Polski, ale zamieszkanym przez ponad 152 miliony ludzi. Na każdy kilometr kwadratowy – włącznie z lasami deszczowymi przy granicy z Birmą i moczarami w delcie Gangesu – przypada średnio prawie tysiąc siedem osób<sup>8</sup>, ponad osiem razy więcej niż w Polsce. Jeszcze na początku lat osiemdziesiątych przeciętna kobieta rodziła tutaj ponad ośmioro dzieci. Statystyczna dzietność spadła wprawdzie w tym czasie poniżej czworga dzieci na jedną zamężną kobietę w wieku piętnastu–czterdziestu dziewięciu lat<sup>9</sup>, ale nawet dziś, jeśli chodzi o tempo przyrostu naturalnego, Bangladesz pozostawia w tyle większość krajów na świecie, nie tylko zamożny Zachód. Populacja kraju rośnie obecnie z prędkością dwustu trzydziestu czterech osób na godzinę i to przy wciąż zatrważająco wysokiej śmiertelności niemowląt<sup>10</sup>. Przeciętny Abdul lub Rojina, którzy dziś przyjdą na świat gdzieś w Dhace lub w innej miejscowości, mają przed sobą jakieś sześćdziesiąt osiem lat życia. Prawie co dziesiąty młody człowiek z braku środków do życia będzie jednak musiał przerwać edukację przed ukończeniem szkoły podstawowej i poszukać zatrudnienia w fabryce odzieżowej. Jeśli ją dostanie, odpowiedzią na każdą prośbę o podwyżkę będzie w kółko ten sam argument: nie podoba się, droga wolna, na twoje miejsce mamy setki chętnych. W samej Dhace i na przedmieściach stolicy są dzielnice, w których gęstość zaludnienia sięga dziś nawet czterech–pięciu tysięcy osób na kilometr kwadratowy, a w promieniu kilku kilometrów od najbliższej fabryki oferującej, powiedzmy, cztery tysiące miejsc pracy, wegetuje kilkadziesiąt tysięcy zdesperowanych głodnych ludzi. To się nazywa rynek pracodawcy! Nawet związki zawodowe w Bangladeszu wyczuły już, gdzie stoją konfitury, i pod sztandarami walki z kapitalizmem

czy globalizacją cichaczem, za kilkadziesiąt tysięcy dolarów, oferują kapitalistom całkiem wolnorynkowe usługi blokowania zakładów konkurencji. Na wezwanie związkowych liderów, zwykle poparte solidną porcją darmowej strawy i kilkoma takimi na głowę, przed fabrykę ściągają czasami setki demonstrantów, rzecz jasna, z adekwatną scenografią i rekwizytami. Nie zabraknie więc transparentów z antykapitalistycznymi hasłami, kamieni dudniących o bramę zakładu, a czasem nawet *Międzynarodówki* puszczonej z głośników ku pokrzepieniu robotniczych serc. Strajk trwa oczywiście tyle, ile chce zleceniodawca, chyba że z centralą związkową szybciej dogada się właściciel blokowanego zakładu i przebije ofertę konkurencji. Trzydzieści lat temu zakup nowego zachodniego auta graniczył w Dhace z cudem, dziś kolejne zachodnie i japońskie marki otwierają tu swoje salony. Przed dekadą nikt w tym biednym kraju nie wiedział, do czego służy komórka. Dziś miejscowe sieci oferują w abonamencie nawet najnowsze iPhone'y. Właściwie dlaczego więc nie zacząć teraz handlować strajkami?

Tuż po katastrofie Rana Plaza świat na moment przyjrzał się bangladeskiemu matecznikowi krytycznym okiem. Zachodni dziennikarze – jak relacjonował mi z oburzeniem mój tłumacz Abdul, który wtedy pracował dla pewnej zachodniej stacji – znad hotelowych basenów ślali barwne reportaże, w których wytykali firmom odzieżowym błędy w biznesplanach i szacowali, o ile musi podrożeć w Bangladeszu produkcja symbolicznego T-shirtu, aby tutejsze szwaczki przestały wreszcie umierać przy maszynach. Jednym wychodziło, że wystarczy półtora dolara podwyżki na każdym wyprodukowanym podkoszulku. Innym trzy, a jeszcze innym sześć.

– Część korespondentów miała pewnie dobre intencje. W zderzeniu z realiami Dhaki, gonieni przez deadline'y, byli jednak bezsilni i w rezultacie – mówił Abdul – ślali w eter pobożne życzenia rodem z zachodniego świata, w którym między podażą a popytem na pracę istnieje w miarę zdrowa równowaga.

Odpowiedź na pytanie, o ile podnieść cenę produktów, aby zapewnić szwaczkom godziwy los, była tymczasem brutalnie prosta. Ani cena detaliczna szytej przez nie odzieży, ani nawet marża fabryk nie ma najmniejszego wpływu na wysokość zarobków szwaczek. Personel w

fabrykach Dhaki czy Óottogramu nie otrzymuje bowiem pensji w zachodnim znaczeniu, czyli kwoty odpowiadającej zapotrzebowaniu rynku pracy na dane umiejętności. Większość pracowników wciąż dostaje tutaj po prostu jałmużnę, drobną część zysku, którą wspianałomyślnie chce podzielić się z nimi pracodawca.

W Bangladeszu dowolnie wysoka podwyżka – sfinansowana naturalnie przez klientów zachodnich marek – rozplynęłaby się zresztą jak poranna mgła, nim zdążyłyby ją ujrzeć szwaczki. Gdy pod koniec 2013 roku zaczęła obowiązywać, przynajmniej w teorii, wyższa pensja minimalna, z miejsca podrożała również żywność i poszły w górę stawki wynajmu mieszkań robotniczych. Teraz scenariusz byłby zapewne identyczny.

Pierwszy w kolejce po pieniądze ustawiłby się fiskus. Pobór podatków w Bangladeszu to wciąż walka z cieniem, dlatego władze oszacowały średnią rentowność z zamówienia w odzieżówce na poziomie 5 procent i od 5 procent wartości każdego przelewu na rachunek fabryki pobierają sobie automatycznie 37 procent podatku.

Następnie po swoje 2,5–5 procent stałej prowizji od wartości zlecenia zgłosiliby się agenci z *buying houses*.

Po nich zaś – a jakże – dostawcy bawełny, farb, nici, guzików, zamków błyskawicznych, zakłady energetyczne, firmy cateringowe i wodociągowe, towarzystwa ubezpieczeniowe, agencje ochroniarskie i wszyscy inni żyjący z kontraktów z fabrykami. Komu mieliby odmówić fabrykanci, tłumacząc, że dodatkowe pieniądze dostali wyłącznie na podwyżki dla szwaczek i robotników?

Fiskus swoją dolę bierze sobie przecież bez pytania.

*Buying houses* to z kolei uciążliwi, kosztowni, lecz w gruncie rzeczy pożyteczni partnerzy, z którymi lepiej żyć w przyjaźni.

Bez bawełny, nici, barwników czy prądu fabryka stanie. Bez ochrony czy polisy ubezpieczeniowej będzie narażona na zbyt duże ryzyko biznesowe.

Owszem, suma do podziału byłaby większa, a tym samym więcej zostałoby na pensje. Ale jeśli w fabrycznym łańcuchu pokarmowym nikt nie chciałby rezygnować z zarobku w imię solidarności społecznej, dlaczego właściciel fabryki miałby wypuszczać z rąk pieniądze, z którymi nie musi się rozstawać?

Pozarządowe organizacje broniące praw pracowniczych, lepiej zorientowane w miejscowych realiach, obmyśliły prostszy sposób na

poskromienie pazerności bangladeskich fabrykantów: system certyfikacji, który podzieliłby zakłady odzieżowe na traktujące pracowników po ludzku oraz te, od których cywilizowani zachodni kontrahenci powinni trzymać się z daleka. Jeśli konsumenci podczas zakupów zaczną masowo upominać się o certyfikaty odzieżowego fair play – jak przekonywali działacze – firmy z branży szybko zmuszą fabryki w Bangladeszu do otwarcia bram dla inspektorów, a fabrykanci zaczną się ubiegać o certyfikaty i dbać wreszcie o personel. Dla – trudno powiedzieć jak dużej – części działaczy broniących azjatyckich szwaczek przed wyzyskiem to rozwiązanie proste i zarazem logiczne. Nie mniej niż to, że dystrybucją lub sprzedażą takich certyfikatów powinny się zająć te same organizacje pozarządowe, które wpadły na ten genialny pomysł. I że tak ważny dokument musiałby słono kosztować. Nie ma przecież ceny, której nie warto zapłacić za lepszy świat.

Mam wrażenie, że przypadkowo wziąłem udział w tej zabawie. W kwietniu 2014 roku, pod koniec pobytu w Dhace, skontaktowała się ze mną znajoma z organizacji pozarządowej Clean Clothes, prosząc o przysługę. Ich współpracownicy, która na miejscu przeprowadzała wywiady z pracownikami fabryk szyjących dla polskich firm odzieżowych, coś nagle pokrzyżowało plany zawodowe i nie mogła dokończyć ankiety w jednym zakładzie.

– Chodzi o fabrykę New Generation Fashion Ltd. w Dhace, która pracuje dla naszego LPP. Rozumiesz, największa polska firma w branży, dlatego bardzo nam na tym zależy. Pomożesz? – prosiła znajoma.

Nieco mnie zdziwiło, że Clean Clothes nie ma na miejscu koordynatora tego badania i polega wyłącznie na jednej bratniej duszy. Rok wcześniej, tuż po katastrofie Rana Plaza, organizacja i jej polscy działacze udzielili mi jednak wielu cennych porad przed wyjazdem do Dhaki. Wreszcie miałem okazję spłacić dług wdzięczności. Nazajutrz wraz z tłumaczem ruszyliśmy więc we wskazanym kierunku, do dzielnicy New Jurain. W tamtej okolicy nie ma akurat wielu zakładów odzieżowych. Problem w tym, że w stolicy Bangladeszu nawet dokładny adres rzadko wystarcza, żeby trafić na miejsce. Za jego pomocą można najwyżej dotrzeć w pobliże celu zagubionego w labiryncie identycznych uliczek i jednakowo zdezelowanych budynków; potem ma się koniec języka za przewodnika.

Tak było i tym razem. Po prawie trzech godzinach błądzenia trafiliśmy w końcu przed kilkupiętrowy budynek sąsiadujący przez ruchliwą

dwupasmówkę z małym targowiskiem. W pobliżu znajdowały się rozległe slumsy, zwane przez mieszkańców Rurami ze względu na biegnący opodal rurociąg; właśnie tam mieszkała większość pracowników New Generation Fashion Ltd.

Przed siedzibą fabryki, jak wszędzie w Dhace, panował chaos nie do opisania. Piesi przepychali się między riksarzami i CNG, handlarze z bazaru bezceremonialnie zaczepiali przechodniów, każdy starał się przekrzyknąć każdego, a przejeżdżające w pobliżu pociągi co jakiś czas wzbijały w powietrze tumany żółtego kurzu, który zaraz osiadał na tym wszystkim. Na szczęście sprzedawca w kramie rozstawionym u wejścia jakimś cudem dosłyszał w tym rozgardiaszu naszą rozmowę, powtarzającą się w niej nazwę fabryki i wskazał palcem dach budynku. Zakład, jak twierdził, mieścił się na kilku górnych kondygnacjach. Niestety, do środka mogliśmy wejść tylko z przepustką od dyrekcji, a bardzo nie chcieliśmy, by którykolwiek z menedżerów zakładu dowiedział się, co tam robimy.

Na szczęście za kilkanaście minut miała się zacząć przerwa obiadowa i wkrótce przed głównym wejściem faktycznie zaroilo się od drobnych kobiecych sylwetek w barwnych lokalnych strojach. Tłumacz metodycznie zaczepiał każdą wychodzącą grupkę pytaniem, czy pracują dla naszej fabryki. Większość odpowiadała twierdząco, ale potem uciekała jak oparzona; nikt nie chciał zmarnować cennej przerwy na pogaduszki z cudzoziemcem. Nie pozostało mi więc nic innego, jak zaprosić kogoś na obiad. Z tłumu wyłowiliśmy dwóch dwudziestolatków, którzy wydawali się bardziej śmiali niż kobiety. Mężczyźni przyjęli zaproszenie, wskazali nawet pobliską knajpkę, w której czasem jadal posiłki. Kiedy na stole wylądowało jedzenie, zacząłem pytać. O warunki pracy, bezpieczeństwo przeciwpożarowe, nadgodziny, podejście przełożonych do podwładnych.

Mężczyźni odpowiadali spokojnie i zgodnie. Dla jednego z nich New Generation Fashion Ltd. była trzecim miejscem pracy w karierze. Drugi wcześniej pracował tylko w jednej fabryce. Ta najnowsza – jak twierdzili – prawie nie różni się od poprzednich. Szefowie popełniają tu z grubsza te same grzeszki i grzechy wobec podwładnych, atmosfera i warunki pracy też w zasadzie nie odbiegają od branżowej średniej. Pensje zawsze są na czas. Mężczyźni zgodnie wskazali tylko na jedną różnicę. Ich zdaniem menedżerowie New Generation Fashion Ltd. śmiertelnie poważnie traktują kwestię bezpieczeństwa przeciwpożarowego. Hale produkcyjne wyposażono

niedawno w nowoczesne gaśnice, wszyscy pracownicy przeszli szkolenie z ich użycia i systematycznie odbywają się tu próbne alarmy przeciwpożarowe w godzinach pracy. W każdej hali wyznaczono nawet pracownika, który na wypadek pożaru ma koordynować ewakuację.

Jeszcze tego samego dnia przekazałem znajomej zebrane informacje. Odpowiedziała mi, że nie wie, co o tym sądzić, bo z wcześniejszych relacji pracownic (nie wiem, przez kogo zebranych, bo przecież wcześniej powiedziano mi, że do tej akurat fabryki ankierce nie udało się jeszcze dotrzeć) wyłaniał się zgoła odmienny obraz. Odpowiedziałem, że na pewno trafiliśmy pod właściwy adres, a poza tym nie wierzę, by szefowie zakładu podesłali nam kogoś na wabia, skoro nawet nie wiedzieli, że kręcimy się przed wejściem.

Odniosłem wrażenie, że to ją przekonało, na koniec wyraziłem więc nadzieję, że nasza robota nie poszła na marne.

Kilka miesięcy później Clean Clothes opublikowało w Polsce raport pod wymownym tytułem *Grubymi nićmi szyte*<sup>11</sup>, opisujący warunki w skontrolowanych zakładach, które pracują lub pracowały dla polskich firm odzieżowych. Znalazł się wśród nich także obszerny opis New Generation Fashion Ltd., a właściwie długa lista zarzutów wobec jej właścicieli i menedżerów: zmuszanie do bezpłatnych nadgodzin, brak formalnych umów o pracę, presja na wydajność, niegodziwe traktowanie. Szara, bolesna codzienność przemysłu odzieżowego w Dhace. O zabezpieczeniach przeciwpożarowych – ani słowa. A przecież właśnie ten aspekt fabrycznej codzienności wzięli na celownik sygnatariusze porozumienia „Accord on Fire and Building Safety in Bangladesh” zawartego uroczyście w blasku fleszy kilka miesięcy po katastrofie Rana Plaza.

Celem projektu są niezależne inspekcje bezpieczeństwa w fabrykach pracujących dla zachodnich kontrahentów, a następnie upublicznienie raportów pokontrolnych. Zachodnie marki odzieżowe zobowiązały się do sfinansowania niezbędnych remontów oraz do współpracy wyłącznie z podwykonawcami, którzy przestrzegają standardów bezpieczeństwa.

Pierwszy etap programu zakończył się jesienią 2014 roku. Sygnatariusze porozumienia z dumą ogłosili, że udało się skontrolować już 1103 spośród 1467 fabryk wskazanych przez nich jako zleceniobiorcy; inspektorom z różnych powodów nie udało się wejść do zaledwie ośmiu zakładów. Pozostałe muszą poczekać na swoją kolej.

W blisko czterystu zakładach wykryto ponad pięćdziesiąt dwa tysiące nieprawidłowości różnego kalibru – od niewyraźnych oznaczeń dróg ewakuacyjnych, przeładowanych magazynów, zbyt dużej ilości łatwopalnych materiałów w halach produkcyjnych aż po groźne wady konstrukcyjne budynków czy niezabezpieczoną instalację elektryczną wiszącą nad głowami pracowników.

Gdzie było trzeba, tanie chińskie podróbki drzwi przeciwpożarowych zastąpiono już porządnymi drzwiami z certyfikatem bezpieczeństwa. Tam, gdzie brakowało gaśnic, pojawiły się nowe, a personelowi pokazano, jak ich używać. Właściciele i menedżerów zakładów poinstruowano także o zagrożeniach, jakimi są dla konstrukcji budynku przeciążone lub nierównomiernie obciążone kondygnacje. W dziewiętnastu budynkach fabrycznych kontrolerzy znaleźli na tyle poważne usterki i odstępstwa od zasad bezpieczeństwa, że nieodzowna była ewakuacja personelu i zamknięcie zakładu do odwołania.

A teraz spróbujmy uważniej przyjrzeć się tym danym. W Bangladeszu działa blisko pięć tysięcy fabryk odzieżowych. To zaś oznacza, że inspektorom udało się do tej pory skontrolować zaledwie co piątą. Pod lupę trafiły oczywiście największe zakłady, z których pochodzi lwia część produkcji odzieżowej w Bangladeszu i które zatrudniają też najwięcej pracowników. Trudno odmówić logiki takiemu wyborowi, podobnie jak trudno oczekiwać, by firmy odzieżowe przystępujące do porozumienia przekazały inspektorom coś więcej niż listę największych zakładów – tych, którym płacą bezpośrednio za produkcję. W ten sposób całkowicie wyłączono jednak z inspekcji setki, a może nawet tysiące małych i średnich fabryczek, którym duże zakłady podzlecają produkcję, czasem za plecami zachodnich klientów, ale zwykle za ich milczącą zgodą. Bangladeska branża odzieżowa w świetle kamer poddała się więc oficjalnej weryfikacji. Pokazała nawet pewne niedoskonałości i łaskawie pozwoliła je naprawić za pieniądze zachodnich koncernów odzieżowych, które te wydatki, zaksięgowane jako tak zwane CSR, doliczą wkrótce swoim klientom do rachunku.

Fundamenty rentowności biznesu, głęboko ukryte w obskurnych zaułkach Mirpuru, Narayanganj czy Rampury, pozostały nietknięte. Niepiśmienni chłopcy z prowincji wciąż więc postarzają tu piaskiem jeansy dla dużych fabryk, które oficjalnie od 2012 roku nie stosują już sandblastingu. Sufity nadal trzeszczą tutaj pod zbyt dużym ciężarem zdezelowanych maszyn,



przeciążona instalacja elektryczna naśladuje noworoczne fajerwerki, a szwaczkom płaci się podług uznania albo zamyka na noc w halach produkcyjnych, żeby zamówienie dotarło na czas do dużej wzorcowej fabryki.

*Business as usual* – jak mawiają tu przy sushi producenci i ich zagraniczni klienci. W bezpiecznej odległości od kontrolnej farsy biznes odzieżowy pulsuje nadal spokojnym, właściwym sobie rytmem. Czują ten puls i politycy w Dhace, i lokalni przedstawiciele zachodnich firm odzieżowych. I wszyscy cichaczem trzymają kciuki, by to wszystko jak najdłużej funkcjonowało po staremu, zapewniając im sowite zyski, pensje, premie i dywidendy. W jednej z restauracji w centrum Dhaki, w której biesiadowałem pewnego dnia ze znajomymi z branży odzieżowej, spotkanej przypadkowo przedstawicielce dużego polskiego producenta odzieży wyrwało się po kolejnym kieliszku wina, że „cały ten burdel w Savarze w gruncie rzeczy mógł nas kosztować znacznie więcej niż kilka artykułów w gazetach, w których zrobili z nas krwiopijców”. Niestety, nie udało mi się dopytać, co dokładnie ma na myśli, mówiąc o ewentualnych kosztach. Jeden z gospodarzy wieczoru zdradził wreszcie innym moją profesję, przestałem być kolegą z branży i nastrój przy stoliku gwałtownie siadł. Skończyła się też szczerłość.

Powszechna świadomość problemu i jego skali teoretycznie powinna zagwarantować błyskawiczne rozwiązanie. Sęk w tym, że nie wiadomo, komu wysłać rachunek za kurację. Pięciogwiazdkowej fabryce docenionej przez międzynarodowych inspektorów za godziwe warunki pracy? Ona tylko dostarcza to, co chcą klienci, czyli tani towar i wizerunkowe alibi. Firmie odzieżowej z Europy lub Stanów Zjednoczonych gotowej targować się do upadłego o banalne dwadzieścia centów na każdym T-shircie? Jej nie stać na taką szczodropliwość. Ma akcjonariuszy, którzy co roku oczekują podwojenia zysku, konkurentów, którzy też nie palą się do naprawiania świata z własnej kieszeni, oraz klientów, którzy nie chcą słyszeć o podwyżkach cen na ratowanie bangladeskich szwaczek. To może samym klientom? Tylko którym? Dwudziestolatce na umowie na czas określony, której przełożeni codziennie powtarzają, że jak się nie przyłoży do pracy, to jej etat znad Wisły lub Tamizy powędruje nad Ganges lub Jangcy? W łańcuchu pokarmowym, na szczycie którego znajdują się wielkie koncerny odzieżowe, nikt nie ma ochoty na przymusową dietę.

Ale również w Dhace nikt nie zamierza umierać za Mirpur.

Wszak w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, gdy romans przemysłu odzieżowego z Bangladeszem dopiero nabierał rumieńców, praca przy maszynie do szycia była dla wielu kobiet interesującą alternatywą dla harówki w polu lub codziennej rutyny, jakiej doświadczały jako gospodynie domowe. Socjologowie i demografowie<sup>12</sup>, którzy w tamtym czasie przyjrzeni się szwalniom przez szkiełko nauk społecznych, dostrzegli nawet ciekawą prawidłowość: pierwszy rzut bangladeskich szwaczek nie rekrutował się bynajmniej spośród największej biedoty, lecz z rodzin utrzymujących się z drobnego biznesu i rozmaitych prac dorywczych; nierzadko w dość stabilnej jak na tutejsze warunki kondycji finansowej. Kobietom, które jako pierwsze odważyły się wyjść poza przypisany im przez tradycję i religię status, czasem przyświecała więc motywacja czysto finansowa, lecz o wiele częściej doskwierała rola wyłącznie gospodyni domowej. We wspomnieniach pierwszych szwaczek systematycznie przewijały się na przykład małżeńskie spory o wyposażenie mieszkania. Z chwilą, gdy żona przyniosła do domu pierwsze pieniądze, zaczynała również rościć sobie prawo do współdecydowania o tym, na co je przeznaczyć. Na radio, jak chciał mąż, czy może na nowe garnki? Dochody mężczyzn, zwłaszcza na roli, były nieregularne. W tej sytuacji comiesięczna pensja żony stawała się nierzadko podstawową pozycją rodzinnego budżetu, a ona sama – nieformalną głową rodziny. „Zyskałam nowe życie” – wspominały pierwsze szwaczki. W tradycyjnym islamskim społeczeństwie Bangladeszu fabryki odzieżowe nieoczekiwanie stały się więc katalizatorem cichej rodzinnej emancypacji.

Obecnie branża odzieżowa coraz częściej zatrudnia również mężczyzn. W fabrykach nadal stanowią oni mniejszość, ale za to zajmują najlepiej płatne stanowiska zaopatrzeniowców, nadzorców linii czy szefów zmian. W biurach z tutejszych białych kołnierzyków wystają niemal same męskie głowy. I w fabrycznych halach, i w pracowniczych rodzinach kobiety ponownie stały się więc podwładnymi. Mężczyzna z pięcioletnim stażem w branży może dziś liczyć na szeregowym stanowisku na pięć–sześć tysięcy taka pensji. Kobieta z podobnym doświadczeniem nie zarobi więcej niż pięć tysięcy.

Mimo to etat przy maszynie do szycia nadal nie jest najgorszym losem, jaki może się przytrafić młodej dziewczynie z nizin społecznych. Można trafić o wiele gorzej. Do tajskiego burdelu. Do domu sadystycznego rolnika

alkoholika gdzieś w dżungli przy granicy birmańskiej, który żonę traktuje gorzej niż psa. Można na bulwarach w centrum Dhaki polować na coś do jedzenia, będąc półnągą zarobaczoną sierotą. Można bez nóg pełzać za jałmużną pomiędzy unieruchomionymi w korku autami i wdychać spaliny. Można po wypadku w fabryce wylądować na ulicy jako bezręki ludzki kadłub lub dziwadło z twarzą wyżartą płomieniami, rywalizujące o współczucie i kilka groszy ze zniekształconymi starcami, których w dzieciństwie zdążyło jeszcze dopaść polio. W rankingu nieszczęść spotykanych w Dhace na niemal każdym kroku los szwaczki na etacie w fabryce nie plasuje się na tyle wysoko, by budzić powszechne współczucie. Etat to przecież nie wyrok.

Kushi Hassan zza lady swojej kawiarenki widziała bezdomne dzieci miażdżone przez ciężarówki. Zdarzało jej się zamykać oczy staruszków, którzy zasnęli na wieki, przysiadłszy na chwilę na krawężniku w pobliżu jej lokalu. Jakiś czas temu opatrywała przerażoną zakrwawioną kobietę, której mąż w narkotykowym amoku poharatał twarz kawałkiem szkła. Wieczorami ulice Dhaki stają się zwierciadłem miasta. Widać w nim cały jego diabelski charakter, biedę i szaleństwo. Chciałoby się uciec, ale nie można. Ulica od trzech lat karmi Kushi Hassan i jej rodzinę.

– Pięć lat, jedną piątą życia, spędziłam na szyciu spodni i sprzątaniu hal – mówiła Kushi, polerując ściereczką uchwyt starego czajnika, w którym trzymała na ogniu wrzątek na herbatę. – Wydawało mi się, że poza fabryką czeka mnie jedynie głód. Gdyby mnie nie wyrzucili, pewnie nigdy bym się nie przekonała, że można żyć inaczej.

Zwolnienie było szokiem. Ktoś gdzieś wycofał jedno, drugie, a potem kolejne zamówienia. Ktoś inny siadł pewnie do dokumentów księgowych, przeliczył firmowe wydatki oraz wpływy i wyszło mu, że z fabryką muszą się pożegnać trzydzieści dwie osoby. Ludzi do zwolnienia typowali nadzorcy linii produkcyjnych. Ponoć właściciel zakładu nakazał zwolnić tych z najkrótszym stażem, lecz nadzorcy przeprowadzili to po swojemu i w rezultacie z pracy wylecieli głównie ich nieprzyjaciele oraz konkurenci. Kushi już dawno zrozumiała, dlaczego wśród wytypowanych do zwolnienia znalazła się również ona, wówczas spokojna dwudziestodwulatka, zbyt mało ważna w fabrycznej hierarchii, aby ktoś mógł ją uznać za przeciwnika.

– Wtedy jeszcze nie miałam dziecka, mąż pracował. Gdybym była na ich miejscu i musiała kogoś zwolnić, wybrałabym właśnie kogoś takiego. – Uśmiechnęła się i dosypała do ciemnobrązowego herbacianego naparu kolejną łyżeczkę cukru. Napój był gorący i wściekle słodki, ale ponoć taki najskuteczniej gasi pragnienie w upały. Właścicielka kawiarni postawiła na stole obtłuczony niebieski talerzyk z dwoma owsianymi ciasteczkami.

– Na koszt firmy. – Uśmiechnęła się znowu miło. – Pytałeś, jak się nam teraz powodzi, więc z góry ostrzegam, że nie wezmę od ciebie pieniędzy.



Kushi Hassan zamieniła etat w fabryce na prowadzenie własnej kawiarenki, którą z mężem Wahidem urządzili w swoim mieszkaniu. Dlatego uważa, że etat w zakładzie odzieżowym to nie wyrok.

Zwolnienie z fabryki nierzadko zmienia się teraz w branżowy wilczy bilet, zwłaszcza gdy dotyczy młodych, silnych i zdrowych szwaczek. Kolejni

potencjalni chlebodawcy nie dowierzają, że za wypowiedzeniem nie kryje się na przykład jakaś przewlekła choroba, problemy psychiczne, narkotyki albo po prostu lenistwo czy lepkie palce. Po kilkunastu bezowocnych rozmowach o pracę Kushi Hassan siadła więc z mężem Wahidem w ich małym mieszkaniu i zaczęli wspólnie główkować. A gdyby i on rzucił beznadziejną posadę strażnika? Jak inaczej mogliby wspólnie zarabiać na życie? Czy jest coś, na czym się znają i co mogliby oferować za pieniądze? Czy mogą w coś zainwestować? Wyszło im, że Kushi smacznie gotuje. Pod dostatkiem mieli czasu. Mieli też mieszkanie, właściwie klitkę zbitą z bambusów i blachy falistej, lecz własną, odziedziczoną po teściach. Ale jeśli do tej pory mogli gnieździć się we dwójkę na dwunastu metrach kwadratowych, jakoś pomieszczą się przecież i na ośmiu.

– Mój Wahid to złota rączka. – Kushi znowu się uśmiechnęła, zerkając z dumą na męża, który niedawno wrócił z pracy i usadowił się w kącie kawiarni z synkiem na kolanach. – Skrzyknął szwagrów i we trójkę błyskawicznie przesunęli do środka jedną ze ścian mieszkania. Dzięki temu na zewnątrz, od strony ulicy, powstało zadaszone miejsce na mały kramik.

Teraz codziennie rano, kiedy sąsiadki w pośpiechu gnają do fabryk, Kushi razem z mężem rozstawiają przed domem swoją kawiarnię: gablotkę z tytoniem i herbatą, małe palenisko, wielki aluminiowy czajnik, kilka szklanek oraz starą ławę i krzeselka. Od zamiarów do realizacji przeszli tak szybko, że nie pomyśleli nawet o jakiejś nazwie dla lokalu, lecz mieszkającym w pobliżu klientom to nie przeszkadza. Do najbliższego sklepu mają stąd jakiś kwadrans marszu, nie sposób więc pomylić tego miejsca z innym.

– Jest tytoń, mamy też najtańsze papierosy na sztuki, ale i tak najlepiej schodzi *pan*. – Wahid z dumą prezentował przykurzoną drewnianą gablotkę z najdroższymi produktami, wiszącą na ścianie za plecami Kushi niczym handlowe tabernakulum. – Mieliśmy słodczyce dla dzieci, ale nie sprzedawały się zbyt dobrze. Do tego obrywało nam się od rodziców. Nie każdy potrafi wytłumaczyć córeczce lub synkowi, że jeśli kupi mu cukierki, rodzinie nie wystarczy potem na obiad – dodał, spoglądając z rozbawieniem na synka, który właśnie próbował uciec mu z kolan.

Pierwsze dni i tygodnie były ciężkie, głównie ze względu na złośliwości sąsiadów. Zamiast na herbatę i zakupy przychodzili pytać, kiedy Wahid i Kushi otwierają własną fabrykę odzieżową i kiedy będą szukać lokaja. Aż pewnego dnia ktoś wpadł po baterie do latarki. Ktoś inny przyszedł tu

nazajutrz ponegocjować ze znajomym spłatę długów i dla rozładowania emocji zamówili po herbatce. Herbata u Kushi kosztuje piętnaście taka za małą szklaneczkę, dokładniej za jedną porcję naparu. Jeśli szybko wypijesz do dna, gospodyni natychmiast za darmo dolewa wrzątku. Małżonkowie nie kończyli kursów techniki sprzedaży, ale szybko zauważyli, że gość siedzący długo nad szklanką herbaty prędzej czy później zamawia też ciasteczko albo orientuje się, że skończył mu się *pan*. Kawiarenka stopniowo zaczęła więc zamieniać się w sklep.

– Nie powiemy ci, ile zarabiamy, aż tak nie ufamy swoim sąsiadom – zaśmiała się znowu Kushi. – Mogę ci tylko zdradzić, że w fabryce miałam cztery i pół tysiąca taka pensji. Tutaj zarabiam więcej, a pracy mam o wiele mniej.

Dlatego Kushi Hassan uważa, że winna jest Bogu wdzięczność za wszystko, czym ją obdarzył. Gdy jeszcze pracowała w fabryce, wydawało się jej, że praca na swoim to największe błogosławieństwo. Móc zmarnotrawić poranną godzinę na zabawę z synkiem. Zjeść niespiesznie śniadanie. Zatrzymać na ulicy krewną i wymienić z nią najnowsze plotki. Być panią własnego czasu, zamiast sprzedawać go codziennie fabryce w zamian za mglistą obietnicę pensji, której ostatecznie można przecież nie zobaczyć. Ale w kawiarni też nie ma lekko. Trzeba było nauczyć się tak pilnować gości, żeby nie czuli, że właścicielka świdruje ich spojrzeniem w obawie, że uciekną przed uregulowaniem rachunku. Od czasu do czasu przypałała się też namolny typek, któremu się wydaje, że samotna dziewczyna za ladą ma na sprzedaż coś więcej niż tylko herbatę, ciasteczka i *pan*. Z kolei wieczorem, kiedy przychodzi czas na podliczanie utargu, nieprzyjemnie uwiera człowieka myśl, że gdzieś w pobliżu ich lokalik może obserwować ktoś gotowy nawet zabić dla tych paru setek taka. Jako właścicielka kawiarni Kushi nie pozbyła się więc ani grama tej strasznej niepewności o jutro, z jaką codziennie wstawiała do fabryki. Teraz jednak wstaje po to, żeby pracować dla siebie, nikomu tak nie ufa w kwestii własnej przyszłości jak sobie samej. I właśnie za to codziennie rano kobieta dziękuje Bogu.

Za to Wahid chciałby więcej. Ostatecznie nie rzucił pracy. Wtedy nie było ich na to stać. Teraz marzy mu się jednak drugi lokal na krańcu ich osiedla przyklejonego do przemysłowej dzielnicy Narayanganj. Nie musiałby sterczeć całymi dniami przy tej przeklętej bramie fabryki i przeszukiwać na polecenie szefa zwykle Bogu ducha winne kobiety, które przełożeni



podejrzewają o kradzież materiałów. Kupiłby sobie starą riksę i dowoził nią towar do obu punktów. Wie nawet, jak to wszystko rozwiązać. Kushi została w starej kawiarni, blisko domu i dziecka. On z rana jechałby do tej nowej i wracał na kolację. Odkłada już pieniądze na wynajęcie lokalu. Jeśli się nie uda, przynajmniej będzie grosz na czarną godzinę. Każdy odpowiedzialny człowiek musi umieć o sobie zadbać.

Dlatego Wahid i Kushi nie roztkliwiają się nad losem sąsiadów gnających każdego ranka do fabryki odzieżowej. Sąsiedzi jadają mięso raz na miesiąc, ale o ryż nie muszą żebrac jak sieroty. Nie śpią też pod gołym niebem czy pod wiatą miejskiego targowiska, jak najbiedniejsi riksarze. W hali fabrycznej nie smaży ich podzwrotnikowe słońce ani nie owiewa monsun, jak te starsze kobiety, które kilka groszy mogą zarobić już tylko jako tragarze na pobliskiej budowie. Co jakiś czas któraś ze szwaczek traci rękę w maszynie albo życie w pożarze. Ale czy marynarze i rybacy nie giną na morzu? Czy w wypadkach drogowych każdego dnia nie tracą życia setki kierowców ciężarówek i autobusów? Czy strażacy nie umierają w płomieniach albo w szpitalu od poparzeń?

Los szwaczki prawdziwie nieznośny zaczyna się wydawać dopiero wtedy, gdy przejrzy się w nim któryś z klientów zachodnich firm odzieżowych. Zobaczysz wtedy coś, czego się kompletnie nie spodziewa, na przykład dwunastolatki pracujące po dwanaście godzin za stawkę, która wystarcza im na jeden posiłek dziennie. Poczujesz smród fabrycznych ścieków, które spływają z nurtem rzeki do kilkuset wsi przycupniętych u jej brzegu. W uszach zadźwięczy mu kategoryczny zakaz przerywania pracy chociażby na króciutki wypad do toalety. Kto wie, może nawet usłyszy zwierzęcy skowyt szwaczek, które giną w pożarze, bo zamknięto je w hali produkcyjnej, żeby nie utrudniały ewakuacji magazynu.

Ale właściwie dlaczego fabryki odzieżowe w Mirpurze czy w Narayanganj miałyby nie płacić pracownikom żebraczych stawek i zmuszać do nadgodzin, jeśli czteroosobowej polskiej rodzinie żyjącej z jednej pensji minimalnej pieniądze na jedzenie również kończą się mniej więcej po dwóch tygodniach od wypłaty<sup>13</sup>?

Dlaczego właściciele polskich marek odzieżowych, usiłujący ukryć powiązania z Rana Plaza, mieliby być uczciwsi od amerykańskich



bankierów, którzy nacięli swoich klientów na miliardy dolarów, spektakularnie otarli się o plajtę, a potem zażądali, by ratować ich za pieniądze podatników?

Dlaczego stara garbarnia w Hazaribagh miałyby truć mniej od nowoczesnego koncernu motoryzacyjnego, który przez lata i na masową skalę fałszował dane o emisji spalin swoich silników? A zachodnie koncerny odzieżowe cichaczem lobbujące w Bangladeszu za niepodnoszeniem norm bezpieczeństwa przeciwpożarowego w fabrykach? Co różni je od firm farmaceutycznych przyłapywanych co jakiś czas na korumpowaniu lekarzy i polityków?

Przedsiębiorcy w Dhace twierdzą, że w Hazaribagh wcale nie śmierdzi. Tam unosi się zapach pieniędzy. Obowiązkowa praca po godzinach służy zwiększeniu efektywności i mocy produkcyjnych zakładu, który dzięki temu nie przegrywa w wyścigu globalizacji z wydajniejszymi rywalami. Zlecenie produkcji w kraju, gdzie minimalna pensja wystarczałaby na jeden lunch tam, dokąd trafiają potem te produkty, to po prostu optymalizacja kosztów operacyjnych. Jakie to szczęście, że odpowiednio dobrane słowa potrafią wygładzić ostre kany rzeczywistości. Szczęście nie dla koncernów odzieżowych. Nie dla właścicieli fabryk. Nawet nie dla robotników w Bangladeszu.

Jakie to szczęście dla nas. Największych ofiar przemysłu odzieżowego.

Od dawna nie potrafimy szyć na maszynie. Wielu z nas nie ma w domu nawet igły i nitki. Ostatnich krawców właśnie wysyłamy na zasiłki dla bezrobotnych, a w trosce o tak zwany styl jesteśmy gotowi pochodzić w jednym ubraniu najwyżej przez dwa sezony.

Koszula jest nam bliższa ciału tylko w przysłowiu. Dawno temu oddaliśmy swoje szafy we władanie zawodowcom, którzy mówią nam, w co i jak się ubierać. Wierzymy, że ubraniami podkreślamy osobowość, bredzimy o trendach. W rzeczywistości jesteśmy tylko ostatnim ogniwem dość skomplikowanego biznesowego łańcuszka.

W tej chwili w Paryżu, Londynie, Nowym Jorku lub w Mediolanie pracownicy tak zwanych biur prognozowania trendów obmyślają, jakim kolorem będziemy się zachwycać za dwa-trzy lata. Czy swój niepowtarzalny indywidualny styl zaczniemy podkreślać T-shirtami z grafiką inspirowaną

współczesnymi muralami, czy może – a dlaczego by nie? – antycznymi rzymskimi inskrypcjami? Czy spontanicznie wrócimy do spodni dzwonów, czy jednak pozostaniemy przy obcisłych rurkach? Czy nagle poczujemy sentyment do szalonych lat siedemdziesiątych, czy jednak tym razem pchnie nas do mody z lat czterdziestych i pięćdziesiątych? Dlaczego, do cholery, nagle miałbym zacząć nosić dwurzędowy garnitur à la Humphrey Bogart, jeśli w dwurzędówce wyglądam jak ciasno zasznurowany baleron? Przecież nawet nie przepadam za *Casablancą*.

To pytanie zawiśnie w próżni, bo przemysł odzieżowy nie zamierza się nikomu z niczego tłumaczyć. Nie pyta również nikogo o zdanie. Dyktatorzy mody i producenci odzieży oczekują od nas wyłącznie ślepego posłuszeństwa. Mamy odebrać towar, który dla nas zamówili, i zapłacić możliwie jak najszybciej i jak najwięcej. W tym celu stworzyli nam nawet nowy kalendarz z dorocznym rytuałem wiosennych i jesienno-zimowych kolekcji. Naturalny cykl życia odzieży, nawet tych przemysłowych szmat wypływanych przez fabryki w Dhace, jest niestety skandalicznie, irracjonalnie długi. Klient, który kupowałby spodnie wtedy, gdy znosi już stare, byłby klientem okazjonalnym i nieprzewidywalnym. Niepożądanym. Producenci chcą tymczasem konsumentów, którzy na wieść o dostawie najnowszej kolekcji błyskawicznie zapomną o zawartości swoich szaf i z myśliwskim błyskiem w oku przybiegną do sklepu po kolejne zakupy. Masz w domu dziesięć niebieskich koszul? W tym sezonie nosimy akurat zielone. Masz zielone? Ale o starym klasycznym kroju. Obecnie nosimy je bardziej przy ciele.

To tak ordynarna manipulacja, że w gruncie rzeczy nie powinna być skuteczna. Tymczasem naprawdę działa. Amerykańska agencja marketingowa Refuel w połowie 2015 roku spytała internautów z kilkunastu najlepiej rozwiniętych krajów świata, bez jakich rzeczy nie byłoby w stanie żyć. Nowe ubrania znalazły się na piątym miejscu dziesięciu najczęściej wskazywanych produktów. Woda do picia – pięć oczek niżej. Abraham Maslow pewnie przewraca się w grobie.

Zelotów świata mody, którym świadomość w pełni kształtuje byt w postaci najnowszej torebki znanej marki, kasuje się w tak zwanej pierwszej sprzedaży z cenami sięgającymi nawet 1000–2000 procent kosztów produkcji. Dla najbardziej opornych są z kolei wyprzedaje, w rzeczywistości ostatnia faza misternie zaplanowanego cyklu sprzedażowego, który nie ma

nic wspólnego z czyszczeniem magazynów, reklamowanym często na witrynach sklepów. Okazyjne ceny, na jakie natrafią w tym czasie klienci, wciąż z naddatkiem pokrywają nie tylko koszty produkcji, transportu, lecz nawet marketingu. W szczycie sezonu wyprzedaży często mamy więc błogie poczucie, że nasze portfele wreszcie biorą krwawy odwet na dziale handlowym ulubionego producenta, ale w rzeczywistości wciąż chodzimy na pasku odzieżowego Belfegora. Możemy nawet pokpiwać sobie z pańnek, które w internecie modlą się do najnowszych looków serwowanych przez modowych mędrców, i być dumni, że mamy tyle oleju w głowie, by ubierać się wyłącznie podczas wyprzedaży. W zasadzie niewiele jednak się różnimy od szafiarek i ich sieciowych akolitek. Im przemysł odzieżowy sprzedaje dobre samopoczucie opakowane w najnowszy rynkowy *must have*. Nam błogostan zapewnia z kolei złudne przeświadczenie, że jesteśmy wystarczająco rozsądni, aby za te fatałaszki nie przepłacać.

Odzieżowy Belfegor do perfekcji opanował zamienianie dość prozaicznej w gruncie rzeczy potrzeby ochrony ciała przed warunkami atmosferycznymi w rozmaite pragnienia wyższego rzędu. Dlatego musi kryć przed klientami wnętrza fabryk, przemęczone twarze szwaczek, brud i biedę. Nie z obawy, że wstrząśnięci konsumenci przejrzą na oczy i odrzucą na zawsze jego wdzięki. Chodzi po prostu o to, żeby nic nie zakłócało nam przyjemności konsumpcji.

Norweskie blogerki modowe, wysłane ostatnio do Kambodży, by przyjrzeć się warunkom, w jakich mieszkają i pracują tamtejsze szwaczki, przeżyły podobno wstrząs. Połowa zachodniego świata długo komentowała ten interesujący ponoć eksperyment, w rzeczywistości równie przewidywalny w skutkach jak wysłanie do rzeźni małżeństwa, które wieczorem wybrało się na stek do eleganckiej restauracji. Nikomu za to nie rzuciło się w oczy, że w materiale poświęconym tej wycieczce niepokojąco często powracał wątek przepaści między kosztami produkcji odzieży a jej cenami w zachodnich sklepach. Ten sam podejrzany ton pretensji pobrzmiwa w niemal każdej internetowej dyskusji o funkcjonowaniu branży odzieżowej. Produkują za dwa dolary, sprzedają za dwadzieścia.

W głębi duszy pragniemy bowiem tego samego co grube ryby przemysłu odzieżowego. Gdybyśmy tylko mogli dobrać się do tych ubrań w cenie kosztów ich produkcji, Rana Plaza mogłaby się walić co tydzień, a Tazreen Fashion płonąć każdego wieczoru. Kto wie, czy w trującej mgłę nad czerwonymi od zwierzęcej krwi kanałami Hazaribagh nie dopatrylibyśmy

się nawet specyficznej industrialnej romantyki.

Co z tego, że opary nad Hazaribagh cuchną tak, że człowiekowi zbiera się na wymioty? W każdym porządnym centrum handlowym jest przecież klimatyzacja.





Do najbiedniejszych dzielnic Dhaki, zamieszkaanych przez personel fabryczny, dopiero teraz doprowadza się kanalizację. Czasem montuje się też elektryczność, zwykle dzięki jakiejś zachodniej fundacji charytatywnej.





Kilogram najpodlejszego ryżu kosztuje w Dhace około trzydziestu taka.  
Ryby, zależnie od jakości, od siedemdziesięciu do dwustu taka za kilogram.  
Wołowiny nie kupi się za mniej niż dwieście pięćdziesiąt taka za kilogram.  
Dniówka w fabryce to tymczasem dwieście–trzysta taka.



Jeśli na ulicy dojdzie na przykład do sprzeczki między dwoma kierowcami, można być właściwie pewnym, że po chwili w awanturę zaangażują się – naturalnie po obydwu stronach – dziesiątki przypadkowych przechodniów i kierowców.





Fabryki takie jak ta pracownicy nazywają z przekąsem pięciogwiazdkowymi. Koszty produkcji są tu wysokie, ale właściciel może zaoszczędzić, podzlecając wykonanie części zamówienia tańszemu zakładowi, w którym nie zainwestowano w nowoczesne maszyny czy klimatyzację.



Większość dużych fabryk odzieżowych w Bangladeszu technologicznie zatrzymała się gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych XX wieku. Ich głównym atutem pozostaje kiepsko opłacany personel.



Z ruin Rana Plaza do pobliskiego szpitala przewieziono około pół tysiąca rannych. Najmłodsza z poszkodowanych miała czternaście lat.





„Modlę się, żeby skończyła szkołę i nie musiała pracować w fabryce jak ja” – to niemal powszechne życzenie młodych matek w Bangladeszu. Większość dzieci robotników fabrycznych dzieli jednak los rodziców.



Gdy oboje rodzice idą do pracy, sytuację ratuje duża rodzina. Większość dzieci w wieku szkolnym łączy naukę z opieką nad młodszym rodzeństwem.

# Podziękowania

W żadnej porządnej książce nie może zabraknąć podziękowań, które dają autorowi pretekst do pochwalenia się przed Czytelnikiem, iluż to oddanych przyjaciół zgromadził wokół siebie. W tym przypadku podziękowania nie będą jednak formalnością. Gdyby nie pomoc i życzliwość kilku bratnich dusz w Polsce i w Bangladeszu, książka ta pozostałaby w sferze planów i marzeń.

Dziękuję więc Dorocie Nowak, redaktor inicjującej w Grupie Wydawniczej Foksal, za propozycję napisania książki. Dominice Cieśli-Szymańskiej – za wszystkie uwagi merytoryczne, Andrzejowi Szewczykowi zaś – za cierpliwe przypominanie, że miesiąc to trzydzieści dni, a nie sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt pięć.

Nie potrafię też wyrazić wdzięczności dla Tomasza i Macieja Zielińskich, którzy podczas mojego pobytu w Dhace okazali mi wiele bezinteresownej gościnności, a ich uwagi pozwoliły mi spojrzeć bardziej krytycznie na to, co widziałem i słyszałem na ulicach i w slumsach.

Podziękowania zechce przyjąć również Mustak Ahmed, bez którego mój pobyt w Bangladeszu zamieniłby się z pewnością w logistyczny koszmar.

Nie mogę i nie chcę pominąć tu także Khaleda Monsoora, który już po moim powrocie do Polski bezinteresownie dzielił się ze mną swoim czasem wolnym i sprawdzał – z racji różnicy czasu nierzadko w środku nocy – mnóstwo danych, dat, nazw i szczegółów. Jemu również jestem winien wdzięczność za wsparcie i niemal braterską życzliwość.

*Last but not least*, dziękuję Magdzie, która dzielnie wzięła na siebie cały ciężar opieki nad naszym miesięcznym synem, abym ja w tym czasie mógł z pełnym komfortem psychicznym zanurzyć się w życiu Dhaki.

---

[1](#) Odmiana mangusty.

[2](#) Dopiero w czerwcu 2015 roku kampania Clean Clothes poinformowała, że firmy odzieżowe, które zlecały produkcję w Rana Plaza, wypłaciły całość z zaoferowanych trzydziestu milionów dolarów pomocy dla ofiar katastrofy.

[3](#) Oficjalne statystyki mówią o 14,9 miliona mieszkańców Dhaki. ONZ szacuje, że jeśli obecne tempo przyrostu mieszkańców stolicy Bangladeszu utrzyma się przez najbliższe lata, już około 2040 roku Dhaka może być najludniejszą metropolią świata zamieszkiwaną przez prawie 45 milionów osób.

[4](#) Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie dane statystyczne w książce pochodzą z biuletynów „Bangladesh Bureau of Statistics”.

[5](#) Do tego mechanizmu powrócimy jeszcze w rozdziale trzecim.

[6](#) W 2006 roku otrzymał za to Pokojową Nagrodę Nobla.

[7](#) Pieśni można wysłuchać na YouTube: <https://www.youtube.com/watch?v=pxhV1zkByqQ> (data dostępu: 28.10.2015).

[8](#) Jesliby odjąć miasta-państwa, jak Hongkong, Makau czy Watykan, Bangladesz wskoczyłby na pierwsze miejsce na liście najbardziej przeludnionych krajów świata.

[9](#) Metodologia badań statystycznych w kraju islamskim kładzie nacisk na urodzenia w małżeństwach. Od niedawna Bangladesz uwzględnia jednak również dzietność par żyjących bez ślubu oraz samotnych matek. W całej populacji przypada obecnie 2,2 dziecka na kobietę w wieku 15–49 lat. Problem w tym, że akurat tego wskaźnika nie można porównać z danymi historycznymi, które po prostu nie istnieją.

[10](#) Na każdy tysiąc urodzonych niemowląt umiera 26. W Europie – około 7.

[11](#) Raport jest dostępny pod adresem: [http://cleanclothes.pl/materialy/publ\\_22\\_grubymi\\_nicmi\\_szyte\\_raport\\_ccp.pdf](http://cleanclothes.pl/materialy/publ_22_grubymi_nicmi_szyte_raport_ccp.pdf) (data dostępu: 28.10.2015).

[12](#) Nazli Kibria, *Becoming a Garments Worker. The Mobilization of Women into the Garments Factories of Bangladesh*, United Nations Research Institute for Social Development, Genewa 1998.

[13](#) OECD na początku 2015 roku szacowała, że aby utrzymać cztery osoby za minimalną polską stawkę godzinową, trzeba by pracować siedemdziesiąt godzin tygodniowo zamiast kodeksowych czterdziestu.



1, 6, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 24, 25, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 40, 41: © Marek Rabij

2, 3, 4, 5, 7, 16, 23, 26, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39: © Filip Ćwik / Napo Images

Redakcja: Dominika Cieśla-Szymańska

Konsultacja: Elżbieta Walter

Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Katarzyna Pawłowska

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Larry Towell/Magnum Photos/PhotoPower

Układ typograficzny, łamanie: Magdalena Antoniuk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)

[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-3201-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)

i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

**virtualo**